

JANET EVANOVICH

***PO CZWARTE DLA
GRZECHU***

(Tłumacz: MACIEJKA MAZAN)

ROZDZIAŁ 1

Trenton w lipcu jest jak wielki piec do pizzy. Gorące, duszne, pachnące. Ponieważ nie lubię tracić letnich atrakcji, otworzyłam dach mojej hondy CRX. W związku z tym moje włosy, ściągnięte w koński ogon, bardzo szybko zmieniły się w dziko splątany brązowy kołtun. Słońce paliło mi czubek głowy żywym ogniem. Czułam strużki potu spływające spod czarnego sportowego topiku. Miałam na sobie także czarne szorty ze spandeksu i bezrękawnik z symbolem Grzmotów, miejscowej drużyny baseballowej. Fajny ubiór, tyle tylko, że nie miałam gdzie schować trzydziestkiósemki. A to oznaczało, że muszę pożyczyć broń, żeby zastrzelić kuzyna Vinniego.

Zaparkowałam przed firmą poręczycielską Vinniego, wyskoczyłam z hondy i wpadłam do biura jak oddział gestapo.

- Gdzie on? Gdzie ta mała karykatura?

- Oho - mruknęła Lula zza szafki z aktami. - Czerwony alarm.

Lula to dawna prostytutka, która pracuje w biurze i czasami pomaga mi w łapaniu zbiegów. Gdybym miała ją przyrównać do samochodu, byłby to wielki, czarny packard rocznik 53, z lśniącym chromem, gigantycznymi reflektorami i złowieszczym warkotem. Góra mięśni. Ciało, które nie mieści się byle gdzie.

Connie Rosolli, kierowniczka biura, na mój widok schowała się za biurkiem. Jej królestwo znajduje się właśnie tutaj, w gabinecie, do którego przychodzą krewni i znajomi różnych niegodziwców, by błagać o pieniądze. A w pomieszczeniu w głębi mój kuzyn Vinnie na zmianę dręczy wacusia i rozmawia ze swoim bukmacherem.

- Słuchaj - powiedziała Connie - wiem, o co jesteś taka wkurzona, ale to nie moja decyzja. Na twoim miejscu - to tak między nami - skopałabym tyłek temu małemu zbrojczy, twojemu kuzynowi.

Odgarnęłam pasmo włosów, które opadło mi na oczy.

- To mi nie wystarczy. Chcę krwi! Zastrzelę drania.

- Tak! - ucieszyła się Lula.

- Tak! - poparła ją Connie. - Zastrzel drania.

Lula zmierzyła mnie baczny wzrokiem.

- Potrzebna ci spluwa? Bo nie widzę, żebyś coś miała pod tym spandeksem. - Podniosła podkoszulek i wyciągnęła pistolet zza paska spodni. - Weź. Tylko uważaj, znosi na lewo.

- Na co ci taka pukawka! - Connie otworzyła szufladę biurka. - Ja mam czterdziestkępiątkę. Czymś takim możesz w nim zrobić bardzo ładną dziurkę.

Lula rzuciła się ku swojej torebce.

- Zaraz, moment. Jeśli chcesz dużej spluwy, dam ci dużą spluwę. Mam magnum czterdzieści cztery, naładowane pociskami wodnymi. To maleństwo naprawdę ma siłę rażenia, czujesz? Zrobi mu taką dziurę, że będzie można przejechać autobusem.

- Ja tylko żartowałam - powiadomiłam je głuchym głosem.

- Szkoda. - Connie była zawiedziona.

Lula włożyła pistolet za pasek szortów.

- No, cholerna szkoda.

- Więc gdzie on jest? U siebie?

- Vinnie! - ryknęła Connie. - Przyszła Stephanie!

Drzwi otworzyły się i Vinnie wystawił głowę na zewnątrz.

- Czego?

Mój kuzyn ma metr sześćdziesiąt osiem wzrostu, wygląda jak łasica, myśli jak łasica, śmierdzi jak francuska ulicznica i kiedyś był zakochany w kacze.

- Już ty wiesz! - wrzasnęłam, biorąc się pod boki. - Moja babcia była w salonie piękności i dowiedziała się, że przyjąłeś Joyce Barnhardt!

- No i co z tego?

- Joyce Barnhardt układa wystawy w domu towarowym!

- A ty sprzedawałaś damskie majteczki.

- To coś zupełnie innego. Zmusiłam cię szantażem, byś dał mi tę sprawę.

- No właśnie. Więc o co chodzi?

- Ach, tak? - zgrzytnęłam. - Świetnie! Trzymaj ją ode mnie z daleka! Nienawidzę Joyce Barnhardt!!

Nie musiałam nikomu tłumaczyć dlaczego. W trudnym wieku dwudziestu czterech lat, po niespełna roku małżeństwa, przyłapałam Joyce na stole w jadalni, bawiącą się z moim mężem w ginekologa. Był to pierwszy raz, kiedy zrobiła mi jakąś

przysługę. Razem chodzyliśmy do szkoły, gdzie Joyce rozpowiadała plotki, łąła jak z nut, niszczyła przyjaźnie i zaglądała do kabin w ubikacji, żeby zobaczyć majtki koleżanek.

Niegdyś była tłustą dziewczynką z fatalnym zgryzem. Zęby dały się skorygować dzięki aparatowi, a w wieku lat piętnastu Joyce schudła tak, że wyglądała jak Barbie na sterydach, Ma włosy w absolutnie nieprawdziwym miedzianym kolorze, skrzycone w wielkie kuszące loki, długie i polakierowane paznokcie, usta na wysoki połysk, oczy obwiedzione granatowym eyelinerem i rzęsy ciężkie od granatowego tuszu. Jest ode mnie niższa, grubsza o dwa kilo, ale biust ma o dwa rozmiary większe od mojego. Trzech byłych mężów i żadnych dzieci. Plotka głosi, że zdarzało się jej uprawiać seks z dużymi psami.

Joyce i Vinnie są dla siebie stworzeni. Szkoda tylko, że Vinnie ma już żonę, całkiem miłą kobietę, córkę Harry'ego Młota. Harry zajmuje się czymś, co można by nazwać fachową perswazją. Często przebywa w towarzystwie mężczyzn w kapeluszach nasuniętych na czoło i długich czarnych płaszczach.

- Rób, co do ciebie należy - poradził mi Vinnie. - Zachowuj się jak zawodowiec. - Machnął ręką na Connie. - Daj jej coś. Tę nową sprawę.

Connie wyjęła teczkę z aktami.

- Maxine Nowicki. Oskarżona o kradzież samochodu swego byłego chłopaka. Wpłaciliśmy za nią kaucję, a ona nie pojawiła się na rozprawie.

Dzięki kaucji Nowicki mogła opuścić więzienie i wrócić na łono społeczeństwa, by oczekiwać rozprawy. Na którą nie przyszła. W ten sposób stała się poszukiwana, a kuzyn Vinnie nabrał uzasadnionych obaw, iż nigdy więcej nie zobaczy swoich pieniędzy.

Ja, łowca nagród, miałam odnaleźć Maxine Nowicki i oddać jaw ręce sprawiedliwości. Za wywiązanie się z tego zadania w terminie powinnam otrzymać dziesięć procent kaucji. Całkiem sympatyczna kwota, zwłaszcza że cała sprawa wyglądała na kłótnię kochanków i nie wydawało mi się, żeby Maxine Nowicki zechciała mi rozwalić głowę z czterdziestkiątki.

Zaczęłam przeglądać dokumenty, które zawierały umowę z

naszą firmą, fotografię i kopię policyjnego raportu.

- Wiesz, co bym zrobiła? - odezwała się Lula. - Pogadałabym z jej chłopakiem. Jeśli się wściekł tak, że kazał ją aresztować, to pewnie zechce na nią nakablować. Tylko na to czeka.

Mnie też się tak wydawało. Odczytałam głośno tekst dokumentu.

- Edward Kuntz. Biały, stan wolny. Dwadzieścia siedem lat. Zamieszkały na Muffet Street 17. Twierdzi, że jest kucharzem.

Zatrzymałam samochód przed domem i zaczęłam się zastanawiać nad jego właścicielem. Budynek był biały, miał niebieskie framugi okien i pomarańczowe drzwi. Stanowił połowę bliźniaka z mikroskopijnym trawniczkiem. Na ślicznie przystryżonej łące trawy stał metrowy posązek Matki Boskiej, cały w bładym błękicie i bieli. Na drzwiach bliźniaka obok znajdowało się rzeźbione drewniane serce z czerwonymi literami i białymi stokrotkami. Widniejący na nim napis informował, że dom ten zamieszkują Glickowie. Drzwi Kuntza były pozbawione ozdóbek.

Zbliżyłam się do ganku wyłożonego zielonym, odpornym na warunki atmosferyczne chodnikiem. Nacisnęłam dzwonek z nazwiskiem „Kuntz”. Otworzył mi spocony, muskularny i na pół nagi mężczyzna.

- No?

- Eddie Kuntz?

- No?

Podaliśmy mu wizytówkę.

- Stephanie Plum. Jestem pracownikiem firmy poręczycielskiej i szukam Maxine Nowicki. Miałam nadzieję, że mi pan pomoże.

- No, pewnie że tak. Zabrała mój samochód. Masz pojęcie? - Zrobił ruch zarośniętym podbródkiem w stronę krawężnika. - Tam stoi. Ma szczęście, że go nie porysowała. Gliniarze ją zatrzymali, jak nim jechała i oddali mi wózek.

Zerknęłam na samochód. Biały chevy blazer. Świeżo umyty. Sama bym go ukradła.

- Mieszkaliście razem?

- No, przez jakiś czas. Tak że cztery miesiące. A potem żeśmy się pokłócili, no i masz od razu buchnęła mi samochód. Nie chodzi

o to, że chciałem ją wsadzić... zależało mi tylko na tym, żeby odzyskać wózek. To dlatego zadzwoniłem na policję.

- Jak pan sądzi, gdzie mogę ją znaleźć?

- Nie mam pojęcia. Próbowałem jej szukać, żeby się pogodzić. Odeszła z restauracji i nikt jej więcej nie widział. Parę razy byłem u niej, ale nikt nie otwierał. Dzwoniłem do jej matki. I do koleżanek. Nikt nic nie wie. Pewnie mogły mnie okłamywać, ale nie sądzę. - Puścił do mnie oko. - Kobiety nie potrafią mi skłamać, kapujesz?

- Nie - powiedziałam. - Nie kapuję.

- No, nie chciałbym się chwalić, ale mam rękę do kobiet.

- Mhm. - Pewnie pociągał je ten przenikliwy odór. A może przerośnięte, napompowane sterydami mięśnie, przez które wyglądał, jakby powinien nosić biustonosz. A może chodziło o ten uroczy zwyczaj drapania się po jajach podczas rozmowy.

- Więc jak mogę ci pomóc? - spytał Kuntz.

Pół godziny później miałam już spis przyjaciół i krewnych Maxine. Wiedziałam, gdzie ma bank, gdzie kupuje procenty i jedzenie, do której pralni oddaje ubrania i u jakiego fryzjera się czesze. Kuntz obiecał zadzwonić, jeśli Maxine się do niego odezwie, a ja obiecałam go poinformować, gdybym wpadła na jakiś jej ślad. Oczywiście nie zamierzałam dotrzymać tej obietnicy. Podejrzewałam, że słynna ręka do kobiet Eddiego Kuntza ma coś wspólnego z przemocą fizyczną.

Eddie stał na ganku, kiedy wsiadałam do samochodu.

- Fajno! - zawołał. - Lubię, jak laski jeżdżą takimi sportowymi samochodzikami!

Posłałam mu uśmiech, który powinien go położyć trupem na miejscu, i ruszyłam z piskiem opon. Kupiłam hondę w lutym, zwabiona lśniącym nowością lakierem i licznikiem wskazującym sześć tysięcy kilometrów. Prawie nie używany, zapewnił mnie właściciel. Nawet miał rację. Licznik rzeczywiście był prawie nie używany. Oczywiście nie to było ważne. Samochód nie był zbyt drogi, a mnie było w nim do twarzy. Co prawda rura wydechowa zaczęła ostatnio zdradzać objawy poważnej choroby, lecz puszczałam sobie Metallicę tak głośno, że nie słyszałam ryku. Gdybym wiedziała, że Eddie Kuntz zachwyci się tym

samochodem, pewnie bym się wstrzymała z kupnem.

Mój pierwszy przypadek wypadł przy jadłodajni „Srebrny Dolar”. Maxine pracowała tu od siedmiu lat i nie zgłosiła żadnego innego źródła przychodów. W jadłodajni serwowali solidne porcje jedzenia, więc zawsze było tu pełno grubasów i oszczędnych staruszków. Rodziny tuściochów wymiatały talerze, a staruszkowie wynosili pełne torby resztek... Kostki masła, koszyki bułek, pacuszki cukru, nie dojedzone kawałki smażonych ryb, sałatki, owoców, nasiąkniętych tłuszczem frytek. Pewnie żyli przez trzy dni na jednym posiłku ze „Srebrnego Dolara”.

Jadłodajnia znajdowała się przy ulicy pełnej hurtowni i magazynów. Dochodziło południe; stali bywalcy wsuwali hamburgery i kanapki. Przedstawiłam się kobiecie przy kasie i spytałam o Maxine.

- Coś takiego! Trudno uwierzyć - odparła. - Maxine jest odpowiedzialna. Naprawdę można było na niej polegać. - Wyglądziła stosik jadłospisów. - I jeszcze ten numer z samochodem! - Pokręciła głową. - Maxine bardzo często jeździła nim do pracy. On dał jej kluczyki. I nagle kazał ją aresztować za kradzież. - Parsknęła pogardliwie. - Mężczyźni!

Ustałam miejsca paru klientom, którzy chcieli zapłacić. Kiedy już zabrali wszystkie przysługujące im miętówki, zapalki i wykałaczki, wróciłam do kasjerki.

- Maxine nie zjawiała się na rozprawie. Czy powiedziała, że opuszcza miasto?

- Powiedziała, że jedzie na wakacje. Pracowała tu od siedmiu lat i ani razu nie zrobiła sobie urlopu.

- Czy ktoś dostał od niej jakąś wiadomość?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Może Margie? Zawsze pracowały na tej samej zmianie. Od czwartej do dziesiątej. Jeśli chcesz pogadać z Margie, powinnaś przyjść koło ósmej. O czwartej mamy tu urwanie głowy, ale koło ósmej robi się luźniej.

Podziękowałam jej i pojechałam do mieszkania Maxine. Kuntz powiedział, że mieszkała z nim przez cztery miesiące, ale nie zdecydowała się wyprowadzić z własnego mieszkania. Znajdowało się o parę kroków od jadłodajni, a Maxine podała w umowie o wpłacie kaucji, że mieszkała pod tym adresem od

sześciu lat. Wszystkie poprzednie adresy znajdowały się w obrębie Trenton. Maxine Nowicki była naszą dziewczyną, od stóp do końców tlenionych włosów.

Mieszkanie znajdowało się na osiedlu dwupiętrowych budynków z czerwonej cegły, rozrzuconych pomiędzy wysepkami spłowiełej trawy i betonowymi parkingami. Maxine mieszkała na pierwszym piętrze z prywatną windą. Podglądanie przez okna wykluczone. Wszystkie mieszkania na pierwszym piętrze miały małe balkoniki, ale musiałabym znaleźć jakąś drabinę, żeby się na nie dostać. Kobieta na drabinie pewnie wzbudziłaby podejrzenia.

Postanowiłam wziąć byka za rogi i zapukałam do drzwi. Gdyby nikt nie odpowiedział, mogłabym poprosić gospodarza, żeby mnie wpuścił. Często dozorczy okazywali się bardzo uczynni, zwłaszcza jeśli działał na nich widok fałszywej odznaki.

Na jednej ścianie znajdowało się dwoje drzwi. Jedne od mieszkania na górze, drugie od lokalu na dole. Na plakietce przy pierwszym dzwonku widniało nazwisko Nowicki. Na plakietce przy drugim - Pease.

Wcisnęłam ten pierwszy, a jednocześnie drzwi na dole się otworzyły i w ich progu stanęła starsza kobieta. Nie ma jej w domu.

- Pani Pease? - spytałam.

- Tak.

- Czy Maxine na pewno nie ma w domu?

- Chybabym wiedziała. W tej ruderze wszystko słychać. Gdyby była w domu, usłyszałabym jej telewizor albo kroki. Poza tym zawsze do mnie wstępuje, żeby powiedzieć, że przyszła, i odebrać pocztę.

Aha! Więc ta kobieta odbierała korespondencję Maxine! Może miała także klucz od jej mieszkania.

- Tak, ale przypuścimy, że przyszła do domu późno i nie chciała pani budzić - odsunęłam. - A potem dostała na przykład zawału...

- O tym nie pomyślałam.

- Może teraz leży u siebie i walczy o ostatni łyk powietrza?

Kobieta zerknęła na sufit, jakby mogła przebić wzrokiem mur.

- Hm...

- Ma pani klucz?

- Tak, ale...

- A jej rośliny? Podlewała je pani?

- Nie prosiła mnie o to.

- Powinnyśmy tam zajrzeć. Żeby się upewnić, że wszystko w porządku.

- Pani jest przyjaciółką Maxine?

- Najlepszą - zapewniłam ją z uczuciem.

- No, sprawdzić nie zaszkodzi. Zaraz wrócę. Mam klucz w kuchni.

Trochę nakłamałam, no i co z tego? Przyświecał mi szczytny cel. Poza tym Maxine naprawdę mogła tam leżeć. A jej rośliny mogły umierać z pragnienia.

- Jestem - odezwała się pani Pease, dzierżąc klucz jak pochodnię. Wsadziła go do zamka i otworzyła drzwi.

- Halo! - zawołała drżącym starczym głosem. - Jest tam kto? Nikt nie odpowiedział, więc weszliśmy na górę. Stanęliśmy w małym przedpokoju i zajrzaliśmy do salonu.

- Kiepska z niej gospodyni - zauważyła pani Pease.

Zdolności gospodarskie nie miały nic wspólnego z tym, co zobaczyliśmy. Na pewno nie były to ślady kłótni, ponieważ nic nie zostało rozbite. Nie był to bałagan po wyjeździe w pośpiechu. Zrzucone z kanapy poduszki leżały na podłodze. Drzwi szafek były pootwierane. Szuflady wyjęte i wytrząśnięte. Szybko sprawdziłam resztę mieszkania i przekonałam się, że tak samo wygląda sypialnia i łazienka. Ktoś tu czegoś szukał. Pieniądzy? Narkotyków? Może to włamanie, ale bardzo niekonwencjonalne, ponieważ telewizor i magnetowid stały na swoim miejscu.

- Ktoś tu czegoś szukał - powiedziałam do pani Pease. - Dziwne, że pani nie słyszała hałasu.

- Usłyszałabym, gdybym była w domu. Pewnie poszłam na bingo. Chodzę na bingo w każdą środę i piątek. Nie wracam przed jedenastą. I co, powinnam zawiadomić policję?

- Teraz to chyba nie da zbyt wiele. - Nie wspominałam już, że będziemy musiały przyznać, że byliśmy w mieszkaniu Maxine nie do końca legalnie. - Nie wiemy, czy coś zginęło. Lepiej poczekać, aż Maxine wróci. Niech sama zadzwoni na policję.

Nie zauważyliśmy żadnych kwiatków, które trzeba by podlać,

więc zeszyliśmy cicho po schodach i zamknęliśmy drzwi.

Dałam pani Pease moją wizytówkę i poprosiłam, żeby zadzwoniła, jeśli zobaczy albo usłyszy coś podejrzanego.

Przyjrzała się moim danym.

- Łowca nagród - odczytała z zaskoczeniem.

- Kobiety muszą na siebie zarabiać - powiedziałam.

Spojrzała na mnie i skinęła głową.

- Święta prawda. Zerknęłam na parking.

- Podobno Maxine ma fairlane rocznik 84. Nie widzę tutaj nic takiego.

- Wyjechała nim. Stary gruchot. Zawsze coś się w nim psuło, ale wrzuciła do niego walizkę i wyjechała.

- Powiedziała dokąd?

- Na wakacje.

- I tyle?

- Mhm - przyświadczyła pani Pease. - I tyle. Zwykle jest bardzo rozmowna, ale tym razem nie powiedziała nic więcej. Spieszyła się i nie powiedziała więcej ani słowa.

Matka Maxine Nowicki mieszkała na Howser Street. Jako poręczenie za kaucję zgłosiła własny dom. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że kuzyn Vinnie zrobił dobry interes. Tylko na pierwszy. Wyrzucenie kogoś na bruk nie robi dobrej reklamy żadnej firmie poręczycielskiej.

Wyciągnęłam mapę i znalazłam ulicę Howser. Znajdowała się w pomocnej dzielnicy Trenton, więc ruszyłam w kierunku, z którego przyjechałam, i przekonałam się, że pani Nowicki mieszkała dwie przecznice za domem Eddiego Kuntza. Dzielnica schludnych domków. Wyjąwszy domostwo matki Maxine. Jednorodzinny dom stanowił ruinę. Obłaząca farba, kruszące się dachówki, zapadnięty ganek, udeptana ziemia z kępkami trawy zamiast trawnika.

Weszłam po gnijących schodkach i zapukałam. Otworzyła mi emerytowana piękność w szlafroku. Było już późne popołudnie, ale pani Nowicki wyglądała, jakby dopiero wygrzebała się z łóżka. Miała jakieś sześćdziesiąt lat, roztaczała wokół siebie opary wódeczki i rozczarowania życiem. Na ziemistej, opuchniętej

twarzy pozostały jeszcze resztki wczorajszego makijażu. Jej głos świadczył, że pani Nowicki wypala co najmniej dwie paczki dziennie, a oddech potwierdzał to w stu procentach.

- Pani Nowicki?

- Aha.

- Szukam Maxine.

- Znasz ją?

Dałam jej moją wizytówkę.

- Jestem z agencji Pluma. Maxine nie stawiała się na rozprawę. Usiłuję ją znaleźć, żebyśmy mogli ustalić termin nowej rozprawy.

Pani Nowicki uniosła wydepilowaną brew.

- Słonko, nie urodziłam się wczoraj. Jesteś łowcą nagród i chcesz złapać moją córeczkę.

- Wie pani, gdzie ją mogę znaleźć?

- Nie powiedziałałabym ci, gdybym wiedziała. Pokaże się, jak zechce.

- Zgłosiła pani ten dom jako poręczenie. Jeśli Maxine się nie pojawi, mogłaby go pani stracić.

- Aha, to by dopiero była tragedia - zgodziła się, grzebiąc w kieszeniach szlafroka. Wyciągnęła z nich paczkę papierosów. - „Przegląd Architektoniczny” chce koniecznie zrobić tu zdjęcia na rozkładówkę, ale jakoś nie mogę znaleźć czasu. - Wetknęła papieros w usta i zapaliła go. Zaciągnęła się głęboko i spojrzała na mnie zmrużonymi oczami przez nikotynową chmurkę. - Zalegam z podatkami za pięć lat. Jak chcecie dostać ten dom, to weźcie numerki i stańcie w kolejce.

Zdarza się, że ludzie, którzy nie stawili się przed sądem, siedzą spokojnie w domu i udają, że nie schrzanili sobie życia. Mają nadzieję, że wszystko wróci do normy, jeśli zignorują wezwanie do sądu. Początkowo sądziłam, że Maxine do nich należy. Nie była kryminalistką i nie oskarżono jej o nic poważnego. Naprawdę nie miała powodu, żeby uciekać.

Teraz nie byłam tego taka pewna. Zaczęłam doznawać dziwnie nieprzyjemnego uczucia. Mieszkanie Maxine zostało przewrócone do góry nogami, a pani Nowicki zasugerowała, że być może, jej córka nie chce zostać odnaleziona. Powlokłam się do samochodu i po drodze doszłam do wniosku, że moje zdolności dedukcyjne

wydatnie by się zwiększyły, gdybym zjadła coś słodkiego. Więc ruszyłam z kopyta na Hamilton i zatrzymałam się dopiero przed cukiernią „Słodki Pączuś”.

W liceum pracowałam na pół etatu w „Słodkim Pączusiu”. Od tego czasu nic tu się nie zmieniło. To samo zielono- białe linoleum na podłodze. Ta sama lśniąca czystością wystawa pełna włoskich ciasteczek, czekoladowych rożków, biszkoptów, napoleonek, murzynków i świeżego chleba. Ten sam błogi zapach smażonego słodkiego ciasta i cynamonu.

Lennie Smulenski i Anthony Zuck pieką te pyszności w pomieszczeniu na zapleczu, gdzie stoją wielkie stalowe piekarniki i rzędy rynienek z wrzącym olejem. Tumany maki wirują w powietrzu, cukier zgrzyta pod stopami. I codziennie przekłada się smalec z wielkich kadzi do kuchennych beczek.

Kupiłam dwie kremówki i wepchnęłam sobie do kieszeni garść serwetek. Na zewnątrz zastałam Joego Morellego, który czekał na mnie, oparty o hondę. Znam Morellego od początku świata. Znałam go, kiedy był lubieżnym dzieciakiem i niebezpiecznym nastolatkiem. Znałam go także jako osiemnastolatka, kiedy to pewnego dnia po godzinach pracy skłonił mnie do pozbycia się bielizny, położył za ladą z ekierkami i uwolnił od dziewictwa. Teraz był gliniarzem, a do zdjęcia majtek skłoniłby mnie dopiero po przyłożeniu mi pistoletu do głowy. Pracował w obyczajówce i robił wrażenie człowieka dobrze znającego życie. Miał na sobie sprane levisy i granatowy podkoszulek. Jego włosy wymagały przystrzyżenia, ale za to ciało nie miało żadnych wad. Było szczupłe, umięśnione i miało najlepszy tyłek w Trenton. Może nawet na świecie. W takich pączusiach miałyby się ochotę zatopić zęby.

Oczywiście nie zamierzałam zabierać się do Morellego. Ten człowiek ma irytujący zwyczaj: regularnie pojawia się w moim życiu, doprowadza mnie do szaleństwa i odchodzi w stronę zachodzącego słońca. Nie miałam wpływu na pojawianie się i odchodzenie, ale mogłam coś zrobić z tym, co znajdowało się pomiędzy nimi. Musiałam przyjąć do wiadomości, że Morelli jest dla mnie nieosiągalny. Dotykanie surowo wzbronione - tak brzmiało moje motto.

Morelli wyszczerzył zęby tytułem powitania.

- Chyba nie zjesz tego sama, co?

- Tak właśnie zrobię. Co tu robisz?

- Przejeżdżałem obok. Pomyślałem, że przyda ci się pomoc przy tych kremówkach.

- Skąd wiesz, że to kremówki?

- Zawsze kupujesz tylko to.

Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, był luty, a my siedzieliśmy przytuleni na mojej kanapie. Ręka Morellego wędrowała po moim udzie, ale nagle rozległ się pisk jego pagera i zanim oprzytomniałam, zostałam sama. Nie widziałam go przez pięć miesięcy. A teraz nagle się zjawia i chce mi zeżreć ciastko!

- Dawnośmy się nie widzieli - zauważyłam jadownicę.

- Miałem tajną misję.

Akurat.

- No więc tak, mogłem zadzwonić.

- Myślałam, że nie żyjesz.

Uśmiech nieco mu przywiął.

- Zawiodłaś się?

- Morelli, jesteś szuja.

Westchnął ciężko.

- Więc pewnie nie dasz mi ciastka?

Wskoczyłam do samochodu, trzasnęłam drzwiami, ruszyłam z piskiem opon i pomknęłam przed siebie. Zanim dotarłam do mojego mieszkania, zjadłam już obie kremówki i poczułam się znacznie lepiej. Rozmyślałam o Maxine Nowicki. Była o pięć lat starsza od Kuntza. Skończone liceum. Dwa małżeństwa. Bezdzietna. Jej fotografia w aktach przedstawiała zaniedbaną, drobną blondynkę z wielką szopą włosów i mocnym makijażem. Mrużyła oczy w zbyt mocnym świetle i uśmiechała się. Miała niebotyczne obcasy, obcisłe czarne spodnie i luźny sweter z podciągniętymi do łokci rękawami oraz spiczastym dekoltem, tak głębokim, że ukazywał jej mostek. Prawie się spodziewałam, że na odwrocie zdjęcia widnieje napis: „Jeśli chcesz się zabawić, zadzwoń do Maxine Nowicki”.

Pewnie zrobiła dokładnie to, co zapowiedziała. Wyjechała na wakacje. Najprawdopodobniej nie powinnam wątpić w jej rychły

powrót.

Ale to mieszkanie? To, co w nim zobaczyłam, trochę mnie niepokoiło. To świadczyło, że Maxine ma kłopoty większe niż zwykłe oskarżenie o kradzież samochodu. Lepiej nie myśleć o tym mieszkaniu. Tylko mąci obraz sytuacji i nie ma nic wspólnego z moim zadaniem. Moje zadanie jest proste. Znaleźć Maxine, przyprowadzić ją przed sąd.

Zamknęłam samochód i ruszyłam w stronę domu. Pan Landowski wyszedł z bocznych drzwi. Ma osiemdziesiąt dwa lata i pierś skurczyła się mu tak bardzo, że pasek jego spodni zatrzymuje się pod pachami.

- Oj, oj - odezwał się. - Ten upał! Nie sposób oddychać. Ktoś powinien na to wpłynąć.

Prawdopodobnie miał na myśli Pana Boga.

- Ten facet, co zapowiada pogodę w dzienniku... Trzeba go zastrzelić. Jak mam żyć w takich warunkach? A kiedy się robi tak gorąco, w sklepach za bardzo podkrecają klimatyzację. Jest za zimno! Gorąco, zimno. Gorąco, zimno. Dostaję od tego biegunki.

Poczułam zadowolenie, że mam broń. Kiedy zestarzeję się tak, jak pan Landowski, zamierzam palnąć sobie w łeb. Natychmiast, gdy po raz pierwszy dostanę biegunki w supermarkecie. Bum, i po wszystkim.

Pojechałam windą na swoje piętro i weszłam do mieszkania. Jedna sypialnia, jedna łazienka, salonik, kuchnia skromna, lecz odpowiednia dla mnie, mały przedpokój z kołkami, na których można wieszać płaszcze, kapelusze i pasy z bronią.

Mój chomik Rex biegał sobie w kołowrotku. Opowiedziałam, co mi się przydarzyło, i przeprosiłam, że nie zostawiłam dla niego ciastka. Wydawało mi się, że jest zawiedziony, więc przetrząsnęłam lodówkę i znalazłam parę winogron. Rex przyjął je i zniknął w puszcze po zupie. Życie chomika jest proste.

Powlokłam się znowu do kuchni i puściłam wiadomości na sekretarce.

„Stephanie, tu twoja matka. Nie zapomnij o kolacji. Będzie pyszny pieczony kurczak”.

Jest sobotni wieczór, a ja mam w planach tylko kolację u rodziców. I to nie po raz pierwszy. Jak co tydzień. Moje życie

towarzyskie to pustynia.

Poszłam do sypialni, rzuciłam się na łóżko i przyglądałam się, jak wskazówka zatacza kółka na tarczy zegarka. Rodzice jedzą kolację o szóstej. Co do minuty. Tak to już jest. Kolacja o szóstej, bo inaczej świat legnie w gruzach.

Rodzice mieszkają w wąskim bliźniaku na wąskiej działce przy wąskiej ulicy w mieszkalnej części Trenton, zwanej tu Miasteczkiem. Matka czekała na mnie w drzwiach.

- Coś ty na sobie włożyła? - spytała bez wstępów. - Jesteś prawie goła! Jak tak można?

- To sweter Gromów - wyjaśniłam. - Kibicuję miejscowej drużynie.

Babcia Mazurowa wyjrzała zza pleców mojej matki. Wprowadziła się do moich rodziców wkrótce po tym, jak dziadek udał się na spotkanie z Elvisem. Babcia uważa, że jest w wieku, który wyklucza konwenanse. Ojciec sądzi, że jest to wiek wykluczający dalsze życie.

- Chcę mieć taki sweter - oznajmiła. - Zakładam się, że mężczyźni by za mną latali, gdybym się ubrała w coś takiego.

- Zwłaszcza Stiva - mruknął ojciec z salonu, zasłonięty gazetą. - Przedsiębiorca pogrzebowy. Z taśmą mierniczą.

Babcia wzięła mnie pod ramię.

- Mam dla ciebie niespodziankę. Tylko poczekaj!

W salonie gazeta powędrowała w dół, a brwi ojca w górę.

Matka przeżegnała się pospiesznie.

- Powiedz, o co chodzi - zażądałam podejrzliwie.

- Chciałam to zachować na ostatnią chwilę, ale chyba możesz się już dowiedzieć. On lada chwila tu będzie.

W domu zapanowała martwa cisza.

- Zaprosiłam na kolację twojego chłopca - powiadomiła mnie babcia z uciechą,

- Ja nie mam chłopca.

- Już masz. Wszystko zorganizowałam. Odwróciłam się na pięcie i ruszyłam do drzwi. Wychodzę.

- Nie możesz! - krzyknęła babcia. - Zrobisz mu przykrość. Rozmawiałam z nim. Wcale mu nie przeszkadza, że strzelasz do

ludzi.

- Nie strzelam! Prawie nigdy nie strzelam! - Walnęłam głową w ścianę. - nie znoszę takich randek. Zawsze są okropne.

- Ten facet nie może być gorszy niż twój mąż. Po tej kłęsce trzeba się otrząsnąć.

Miała rację. Moje krótkie małżeństwo było kłęską. Ktoś zapukał i wszyscy odwróciliśmy się, żeby spojrzeć, kto stoi po drugiej stronie oszklonych drzwi.

- Eddie Kuntz! - jęknęłam zdławionym głosem.

- Aha - przyświadczyła dziarsko babcia. - Tak się nazywa. Zadzwoił i pytał u ciebie, więc zaprosiłam go na kolację.

- Hej, hej! - zawołał Eddie.

Miał na sobie szarą koszulę z krótkimi rękawami, rozpiętą do połowy brzucha, ażurowe spodenki i mokasyny od Gucciego. Za to nie miał skarpetek. I trzymał butelkę czerwonego wina.

- Dzień dobry - powiedzieliśmy jednocześnie.

- Mogę wejść?

- No pewnie! - Babcia pospieszyła ku niemu. - Przecież nie zostawimy takiego przystojniaka pod drzwiami.

Eddie wręczył jej wino i puścił perskie oko.

- To dla ciebie, laluniu. Babcia zachichotała.

- A to ci zbytnik!

- Prawie nigdy nie strzelam do ludzi - powiedziałam. - Prawie.

- Ja też - zapewnił mnie. - Jestem przeciwny nieuzasadnionej przemocy. Zaczęłam się wycofywać.

- Przepraszam, muszę pomóc w kuchni.

Matka ruszyła za mną,

- Nawet nie próbuj!

- Czego?

- Już ty wiesz czego. Chcesz wyjść tylnymi drzwiami.

- On nie jest w moim typie.

Matka zaczęła nakładać jedzenie na półmiski. Tłuczone ziemniaki, fasolka, czerwona kapusta.

- Co ci się w nim nie podoba?

- Ma za bardzo rozpiętą koszulę.

- Może się okazać, że jest bardzo miły. Daj mu szansę, co ci szkodzi? A kolacja? Będzie bardzo dobry kurczak. Szkoda, żeby

się zmarnował. Co ty tam jesz u siebie?

- Powiedział do babci „laluniu”!

Matka zaczęła kroić kurczaka. Jedno udko upuściła na podłogę.

Trochę je podeptała i odłożyła na brzeg półmiska.

- Proszę - oznajmiła. - Damy mu to udko.

- W porządku.

- A na deser będzie placek z kremem bananowym - dorzuciła, żeby mnie dobić. - Więc lepiej zostań do końca kolacji.

Milcz, serce moje.

ROZDZIAŁ 2

Zajęłam miejsce przy stole - obok Eddiego Kuntza.

- Szukałeś mnie?

- No. Zgubiłem twoją wizytówkę. Gdzieś ją wsadziłem i zniknęła. Więc szukałem cię w książce telefonicznej... ale znalazłem tylko twoich rodziców. Też dobrze. Twoja babcia powiedziała mi, że teraz trzeba ci faceta, a ja akurat jestem wolny i nie mam nic przeciwko starszym laseczkom. No więc masz wielkie szczęście.

Laseczka uczyniła mężny wysiłek i udało się jej nie dziabnąć widelcem w gałkę oczną Eddiego Kuntza.

- W jakiej sprawie chciałeś ze mną porozmawiać?

- Maxine do mnie zadzwoniła. Powiedziała, że ma dla mnie wiadomość i przyśle mi ją jutro pocztą lotniczą. Więc ja jej na to, że jutro jest niedziela, a w niedzielę poczta nie pracuje. I dodałem, żeby się nie wygłupiała i powiedziała, co ma do powiedzenia. A ona zaczęła się wyrażać. Bardzo brzydko - dodał dla wyjaśnienia.

- I tyle?

- Tyle. Jeszcze powiedziała, że będę się wił jak robak na widelcu. I odłożyła słuchawkę.

Kiedy ciasto z bananowym kremem stanęło na stole, byłam już bliska szaleństwa. Maxine dzwoniła do Kuntza, a zatem żyła. To dobrze. Niestety, zamierzała mu przesłać list pocztą lotniczą, a to znaczyło, że znajduje się daleko stąd. To niedobrze. Jeszcze gorsze było to, że serwetka na kolanach Eddiego Kuntza poruszała się, jakby żyła własnym życiem. W pierwszej chwili miałam ochotę wrzasnąć „wąż!” i zacząć strzelać, ale przyszło mi do głowy, że sędzia by tego nie rozumiał. Poza tym, mimo całego wstępu do Eddiego Kuntza, mogłam do pewnego stopnia zrozumieć kogoś, kto by się podniecił plackiem z kremem bananowym.

Wrębałam kawałek ciasta i zatarłam dłonie. Spojrzałam na zegarek.

- Jejku, jak późno!

Matka rzuciła mi zrezygnowane macierzyńskie spojrzenie. Mówiło ono: idź, skoro musisz... przynajmniej wiem, że raz na

tydzień zjesz porządny posiłek. I dlaczego nie możesz być taka, jak twoja siostra Valerie, która wyszła za męża, ma dwoje dzieci i umie upiec kurczaka?

- Przepraszam, muszę uciekać - powiedziałam, wstając.

Kuntz znieruchomiał z widelcem w powietrzu.

- Co? Wychodzimy?

Przyniosłam z kuchni torbę.

- Ja wychodzę.

- On też - mruknął ojciec znad ciasta.

- Ale było miło, co? - upewniła się babcia. - Nie poszło tak źle!

Kuntz podrygiwał za moimi plecami, kiedy otwierałam samochód. Energia go rozpierała. Tony Testosteron.

- Może byśmy gdzieś skoczyli na piwko?

- Nie mogę. Mam robotę. Muszę coś sprawdzić.

- Chodzi o Maxine? Mógłbym pojechać z tobą.

Usiadłam za kierownicą i przekręciłam kluczyk w stacyjce.

- Lepiej nie. Ale dam ci znać, kiedy się czegoś dowiem.

Patrzajcie, ludzie. Nadchodzi łowca nagród.

Jadłodajnia świeciła pustkami. Większość klientów siedziała nad kawą. Za jakąś godzinę pojawi się tu tłum wracającej z kina młodzieży.

Za kasą siedziała kobieta, której nie znałam. Przedstawiłam się i spytałam u Margie.

- Margie nie przyszła dziś do pracy. Zadzwoniła i powiedziała, że jest chora. Jutro też jej nie będzie.

Wróciłam do samochodu i zaczęłam grzebać w torbie, szukając spisu krewnych i znajomych Maxine. Przyjrzałam się mu w słabym świetle. Znalazłam jedną Margie. Bez nazwiska, bez telefonu, a zamiast adresu Kuntz napisał: „Żółty dom na Bamet Street”. Dodał też, że Margie jeździ czerwonym isuzu.

Na miejscu słońca pojawiła się cienka szkarłatna smużka na horyzoncie, ale nawet w ciemnościach zdołałam odnaleźć żółty dom na Bamet i czerwony samochód przed nim. W drzwiach domu pojawiła się kobieta z grubym opatrunkiem na ręce. Złapała szarego kota, zauważyła mnie i pospiesznie schowała się w domu.

Nawet z tej odległości dotarł do mnie szcęk zasuw.

Przynajmniej ustaliłam, że Margie jest w domu. W głębi duszy obawiałam się, że także zniknęła i znajduje się teraz w Meksyku, razem z Maxine. Zarzuciłam torbę na ramię, przykleiłam do twarzy przyjazny uśmiech i pomaszerowałam cementowym podjazdem. Zapukałam do drzwi.

Uchyliły się odrobinę, zabezpieczone łańcuchem.

- Tak?

Podaliśmy kobiecie wizytówkę.

- Stephanie Plum. Chciałabym porozmawiać z panią o Maxine Nowicki.

- Przykro mi, nie mam nic do powiedzenia. I nie czuję się dobrze.

Zerknęłam przez wąską szczelinę w drzwiach. Kobieta przyciskała zabandażowaną rękę do piersi.

- Co się stało?

Miała tępy wyraz twarzy i błędne spojrzenie. Najwyraźniej była naszpikowana środkami przeciwbólowymi.

- Miałam wypadek. W kuchni.

- Kiepsko to wygląda.

Zamrugnęła parę razy.

- Straciłam palec. No, tak naprawdę to niezupełnie go straciłam. Leżał na stole. Zabrałam go do szpitala i mi go przyszyli.

W ułamku chwili ujrzałam wyrazistą wizję palca na kuchennym stole. Przed oczami zatańczyły mi czarne kropeczki, a na górną wargę wystąpił pot.

- Straszne!

- To był wypadek - powtórzyła. - Wypadek.

- Który to palec?

- Środkowy.

- Jejku, mój ulubiony.

- Mhm. Muszę już kończyć.

- Chwileczkę! Jeszcze minutka. Naprawdę muszę się czegoś dowiedzieć o Maxine.

- Nie ma się czego dowiadywać. Wyjechała. Nie mogę powiedzieć nic więcej.

Usiadłam w samochodzie i wzięłam głęboki oddech. Od tej pory

będę bardzo uważać w kuchni. Koniec z grzebaniem w śmietniku w poszukiwaniu zakrętek do butelek. Koniec z beztroskim siekaniem warzyw.

Zrobiło się za późno, żeby szukać innych osób z listy, więc wzięłam kurs na dom. Temperatura spadła o parę stopni, a wiaterek wpadający przez dach zrobił się całkiem przyjemny. Zaparkowałam na tyłach domu.

Kiedy weszłam do salonu, Rex stanął w kołowrotku i spojrzał na mnie, rugując wąsikami.

- Nawet nie pytaj - powiedziałam. - Nie chcesz tego wiedzieć.

Rexowi robi się niedobrze od takich rzeczy jak odcięte palce.

Matka dała mi kawałek kurczaka i trochę placka z kremem bananowym. Odłamałam kawałek ciasta i dałam Rexowi. Wypchał nim sobie policzki, a lśniące oczkaomal nie wyszły mu z głowy.

Pewnie wyglądałam tak samo, kiedy Morelli chciał zjeść moją kremówkę.

Zawsze wiem, kiedy przypada niedziela, ponieważ budzę się z poczuciem winy. To jedna z tych fajnych rzeczy, kiedy się jest katoliczką... wielopłaszczyznowość doznań. Jeśli traci się wiarę, zawsze istnieje szansa, że poczucie winy pozostanie, więc i tak nie jest się zupełnym szubrawcem bez sumienia. Odwróciłam się i spojrzałam na tarczę elektronicznego budzika. Ósma. Jeszcze bym zdążyła na mszę. Naprawdę, powinnam wstać. Na tę myśl oczy same mi się zamknęły.

Kiedy je znowu otworzyłam, była jedenasta. A niech to! Za późno, żeby pójść do kościoła. Wygrzebałam się z łóżka i poczłapałam do łazienki, tłumacząc sobie po drodze, że nic się nie stało, ponieważ Bóg wybacza takie drobiazgi jak nieregularne uczęszczanie do kościoła. Z biegiem lat skonstruowałam postać Boga Dobrotliwego. Dobrotliwy Bóg nie zwraca uwagi także na takie detale, jak przeklinanie i kłamstwa. Spogląda prosto w serce i wie, czy jest się człowiekiem dobrym, czy podłym - na szerszą skalę. W moim świecie Bóg nie jest drobiazgowy. Oczywiście to znaczy, że nie można na niego liczyć także w kwestii stracenia paru kilo.

Wysłałam spod prysznica i potrząsnęłam głową, by włosy same się

ułożyły. Ubrałam się w codzienny spandeksowy mundurek, składający się z szortów i sportowego biustonosza, narzuciłam sweter Rangersów, spojrzałam w lustro i doszłam do wniosku, że moje włosy nie należą do tego rodzaju, który się sam układa. A zatem potraktowałam je żelem, suszarką i lakierem. Kiedy skończyłam, byłam parę centymetrów wyższa. Stałam w pozie Wonder Woman: nogi rozstawione, ręce na biodrach.

- Giń, łajdaku - powiedziałam do lustra. Potem stałam się Scarlett: ręka na sercu, bojaźliwy uśmiech. - Rett, ty przystojny diable, jakże się miewasz?

Ani to, ani to nie wydawało się odpowiednie na ten dzień, więc ruszyłam do kuchni, by poszukać tożsamości w lodówce. Kiedy zadzwonił telefon, pochłaniałam spory kawał mrożonego sernika.

- Hej - powiedział Eddie Kuntz.

- Hej - wybełkotałam.

- Otrzymałem list od Maxine. Pomyślałem, że pewnie zechcesz na niego spojrzeć.

Zastałam Eddiego Kuntza na mikroskopijnym trawniczku przed domem. Eddie stał w pozie kompletnego przygnębienia, zgarbiony, z opuszczonymi rękami i patrzył na swoje frontowe okno. Szyba praktycznie już nie istniała. Wielka dziura w środku. Masa pęknięć po bokach.

Trzasnęłam drzwiczkami przy wysiadaniu, ale Kuntz się nie obejrzał. Nie spojrzął na mnie, kiedy stanęłam u jego boku. Staliśmy przez chwilę obok siebie i napawaliśmy się widokiem wybitego okna.

- Dobra robota - zauważyłam.

Eddie pokiwał głową.

- W sam środek. Maxine grała w liceum w drużynie piłki ręcznej.

- Zrobiła to w nocy?

Znowu przytaknięcie.

- Właśnie kładłem się spać. Zgasilem światło, a tu brzdęk! I przez moje okno wpadła cegła.

- Poczta lotnicza - domyśliłam się.

- Właśnie, cholera. Poczta lotnicza. Ciotka wynajmuje mi mieszkanie. Razem z wujkiem Leo mieszkają w drugiej połowie tej

rudery. Nie stoi tu i nie lamentuje tylko dlatego, że poszła do kościoła.

- Nie wiedziałam, że wynajmujesz mieszkanie.

- A co, myślałaś, że tak bym pomalował własne ściany? Wyglądam jak słodki chłoptas?

O nie. Słodkie chłoptasie nie uważają, że rozdarty podkoszulek stanowi ostatni krzyk mody.

Eddie podał mi kawałek papieru.

- Cegła była tym owinięta.

List był zaadresowany ręcznie do Kuntza. Maxine pisała, że Eddie jest szmatą, a jeśli chce odzyskać swoją własność, musi się wybrać na poszukiwanie skarbów. Pierwsza wskazówka znajduje się „w dużym”. Potem widniała dziwna płatanina liter.

- Co to znaczy? - spytałam.

- Gdybym wiedział, chyba bym do ciebie nie zadzwonił, co? Już bym ruszył na poszukiwanie skarbów. - Złapał się za głowę. - To wariatka! Powinienem się domyślić od samego początku. Ma kręcka na punkcie szpiegów. Ciągle oglądała te głupie filmy o Bondzie. Ja ją posuwałem od tyłu, a ona oglądała Bonda. Uwierzyłybyś?

O tak.

- Poniuchaj trochę, dobra? - dodał Kuntz. - Chyba znasz się na szpiegowaniu? I na łamaniu szyfrów?

- Nie znam się na szpiegowaniu - powiadomiłam go. - I nie wiem, co znaczy ten szyfr.

W gruncie rzeczy nie tylko nie znałam się na szpiegowaniu, ale nawet niespecjalnie sobie radziłam jako łowca nagród. Obijałam się po mieście, usiłując zarobić na czynsz, ale przez cały czas się modliłam, żeby wygrać na loterii.

- I co teraz? - spytał Kuntz.

Jeszcze raz przeczytałam liścik.

- Co to za własność?

Spojrzał na mnie ciężkim wzrokiem, który nie wyrażał niczego.

- Listy miłosne - powiedział wreszcie. - Kiedyś do niej pisałem i chcę je mieć z powrotem. Nie życzę sobie, żeby dostały się w czyjeś ręce. Są w nich bardzo osobiste sprawy.

Eddie Kuntz nie wyglądał mi na kogoś, kto by pisał listy miłosne, ale czyja go znam? Z pewnością wyglądał na kogoś, kto

by mógł przewrócić mieszkanie do góry nogami.

- Poszedłeś do jej mieszkania po te listy?

- No, ale było zamknięte.

- Nie włamałeś się? Nie miałaś klucza?

- Czy się włamałem? To znaczy, czy wyważyłem drzwi?

- Wczoraj byłam w mieszkaniu Maxine. Ktoś je przetrząsał.

Znowu to nieruchome spojrzenie.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Zdaje się, że ktoś tam czegoś szukał. Czy Maxine mogła przechowywać narkotyki?

Wzruszył ramionami.

Kto tam ją wie. Jak powiedziałem, Maxine jest pokręcona.

Miło było się przekonać, że Maxine znajduje się w pobliżu, ale nie mogłam się specjalnie cieszyć wiadomością, której nie potrafiłam odczytać. I na pewno nie chciałam się dowiadywać o innych szczegółach z życia intymnego Kuntza. Eddie objął mnie za ramiona i pochylił się nade mną.

- Powiem ci bez ogródek, malutka. Chcę odzyskać te listy. Może nawet są dla mnie coś warte. Chwytasz? To, że pracujesz dla tego gościa od kaucji, nie oznacza jeszcze, że nie możesz pracować i dla mnie, no nie? Dobrze ci zapłacę. Musisz mi tylko pozwolić pogadać z Maxie, zanim odstawisz ją na policję.

- Niektórzy mogliby pomyśleć, że to gra na dwa fronty.

- Tysiąc dolców. To ostatnie słowo. Bierzesz?

Wyciągnęłam rękę.

- Umowa stoi.

No więc można mnie kupić. Przynajmniej nie jestem tania. A cel był szlachetny. Eddie Kuntz nie podobał mi się specjalnie, ale mogłam zrozumieć problem listów miłosnych, bo sama napisałam parę podobnych. Zaadresowałam je do mojego parszywego byłego męża, a gdybym mogła je odzyskać, tysiąc dolców wydałoby mi się całkiem rozsądną sumą.

- Daj mi ten list - powiedziałam.

Oddał mi go i szturchnął mnie lekko w ramię.

- No to do dzieła!

Pierwsza wskazówka miała się znajdować „w dużym”.

Spojrzałam na splątane litery, ale do niczego nie doszłam. Nic dziwnego, ponieważ brakuje mi jakiegoś krzyżówkowego chromosomu i nie potrafię rozwiązać zagadek przeznaczonych dla dziewięciolatków. Na szczęście mieszkam w budynku pełnym staruszków, którzy spędzają życie na rozwiązywaniu rozmaitych łamigłówek. A to chyba jakaś łamigłówka, prawda?

Na pierwszy ogień poszedł pan Kleinschmidt spod 315.

- Ho, ho - powiedział, otworzywszy drzwi. - Nieustraszona łowczyni nagród. Złapałaś dziś kogoś?

- Jeszcze nie, ale nad tym pracuję. - Wręczyłam mu przesyłkę lotniczą. - Może pan to rozwiązać?

Pan Kleinschmidt pokręcił głową.

- Ja się zajmuję tylko krzyżówkami. To jest skreślanka. Musisz zwrócić się do Lorraine Klausner z pierwszego piętra. Ona rozwiązuje skreślanki.

- W obecnych czasach wszyscy się specjalizują.

- Gdyby Myszka Miki umiała latać, byłaby Kaczorem Donaldem.

Nie całkiem zrozumiałam, ale podziękowałam grzecznie i zesłam po schodach. Właśnie wyciągałam palec ku dzwonnkowi Lorraine, kiedy drzwi otworzyły się znienacka.

- Sol Kleinschmidt do mnie zadzwonił i powiedział o tej wiadomości - oznajmiła Lorraine. - Wejdz, upiekłam ciasteczka.

Usiadłam przy kuchennym stole i zaczęłam się przyglądać, jak Lorraine zмага się z zagadką.

- To nie jest skreślanka - stwierdziła w końcu. - Nie wiem, jak to rozwiązać. Ja robię tylko skreślania. - Popukała palcem w blat. - Znam kogoś, kto mógłby ci pomóc, ale...

- Ale?

- Mój siostrzeniec, Salvatore, jest bardzo zmyślny w takich rzeczach. Od małego umiał rozwiązywać wszystkie łamigłówki.

Umilkła, więc spojrzałam na nią pytająco.

- Tylko że czasami bywa dziwny. Chyba przechodzi przez etap kontestacji. Miałam nadzieję, że jej siostrzeniec nie ma kolczyka w języku. Kiedy widywałam ludzi z kolczykami w językach, z trudem powstrzymywałam się przed jękiem.

- Gdzie mieszka?

Lorraine napisała mi adres na odwrocie kartki.

- Jest muzykiem i przeważnie pracuje w nocy, więc teraz powinien być w domu, ale chyba lepiej będzie, jeśli najpierw zadzwonię.

Salvatore Sweet mieszkał w bloku z widokiem na rzekę. Cementowy budynek z dużą ilością czarnego szkła. Trawnik minimalny, lecz dobrze utrzymany. Hol świeżo malowany i wyłożony szaro- fiołkowym chodnikiem. Raczej nie robiło to wrażenia lokum dla kontestatorów. Na pewno nie dla ubogich kontestatorów.

Pojechałam windą na dziewiąte piętro i zadzwoniłam. W chwilę później stanęłam twarzą w twarz z kimś, kto musiał być albo zdecydowanie brzydką kobietą, albo zdecydowanym gejem.

- Ty pewnie jesteś Stephanie?

Skinęłam głową.

- Jestem Sally Sweet. Ciocia Lorraine już do mnie dzwoniła. Podobno masz jakiś problem?

Siostrzeniec Lorraine miał na sobie obcisłe spodnie z czarnej skóry, zasnurowane po bokach rzemykiem, przez który widać było pasek białego ciała od kostki po pas, oraz czarną skórzaną kamizelkę ze spiczastymi piersiami, na widok których Madonna rozchorowałaby się z zazdrości. W czarnych szpilkach na platformach Sally mierzył z pewnością powyżej dwóch metrów. Miał wielki garbaty nos, czerwone róże wytatuowane na bicepsach i - dzięki Ci, Panie! - nie wsadził sobie kolczyka w język. Natomiast włożył wielką perukę a la Farrah Fawcett i sztuczne rzęsy, a usta pomalował lśniąca brązową szminką. Paznokcie miał pod kolor szminki.

- Może przyszłam nie w porę... - zaczęłam.

- Nie, pora jest w sam raz.

Nie miałam pojęcia, co powiedzieć ani gdzie spojrzeć. Muszę przyznać, że Sally stanowił fascynujący widok. Jak katastrofa samochodowa. Trudno było oczy oderwać.

Spojrzał na siebie.

- Pewnie dziwi cię ten strój?

- Jest bardzo ładny.

- Aha, kamizelkę kazałem zrobić na zamówienie. Jestem gitarą prowadzącą w Ślicznotkach. I zapewniam cię, kurewsko trudno jest zachować dobry manikiur przez weekend, kiedy się jest gitarzystą. Gdybym wiedział, jak to jest, wziąłbym się za gary.

- Zdaje się, że dobrze ci się wiecie.

- Mam sukces zapisany w genach. Dwa lata temu byłem normalny do obrzydliwości i grałem we Wściekłych Psach. Słyszałaś o nich?

Pokręciłam głową.

Nikt o nich, kurwa, nie słyszał. Mieszkałem w skrzynce po pomarańczach na zapleczu Pizza Romano. Grałem punk, funk, grunge i rocka. Byłem z różnymi grupami, z Wściekłymi Psami najdłużej. Kurewsko przygnębiające doświadczenie. Nic mogłem znieść śpiewania tych kurewskich piosenek o pierdolonych serduszkach, co cierpią, i o jakichś pierdolonych złotych rybkach, co idą do nieba. A potem, kurwa, musiałem wyglądać jak kowboj. Jak mam zachować szacunek dla siebie, skoro muszę wychodzić na scenę w pierdolonym kowbojskim kapeluszu?

Ja też bardzo dobrze przeklinam, ale Sally'emu nie dotrzymałabym kroku. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach nie zdołałabym z siebie wydusić tyle inwektyw.

- Kurczę, ale ty przeklinasz - powiedziałam z podziwem.

- Nie można być, kurwa, muzykiem, jeśli się, kurwa, nie przeklina.

To była prawda, przecież czasami oglądałam wywiady z gwiazdami w MTV. Spojrzałam na jego włosy.

- Ale teraz nosisz perukę a la Farrah Fawcett. Czy to nie jest jakby kowbojski kapeluszek?

- No, tylko że to jest deklaracja. To jest kurewsko poprawne politycznie. Widzisz, oto cholernie wrażliwy facet. Nie kryje swojej kobiecej, kurwa, natury. Kapujesz?

- Aha.

- Poza tym zarabiam na tym kurewsko dużo pieniędzy. Tym razem trafiłem w dziesiątkę. To jest rok drag queen. Jak pierdolona inwazja. - Wyjął mi kartkę z ręki i przyjrzał się jej. - Nie tylko mam pełne ręce roboty w każdy weekend na dwa lata do przodu... ale jeszcze wszyscy wtykają mi pieniądze w gacie. Już

sam nie wiem, co mam robić z kasą.

- Opłaciło się być gejem.

- Tak między nami, wcale nie jestem gejem.

- Tylko transwestytą.

- No. Mniej więcej. Właściwie mógłbym być gejem... do pewnego stopnia. Mogę zatańczyć z facetem, ale ręce precz od mojego tyłka.

Skinęłam głową. Moje poglądy w kwestii facetów przedstawiały się tak samo.

Sally wziął pióro ze stolika w przedpokoju i zaczął robić znaczki na kartce.

- Lorraine powiedziała, że jesteś łowcą nagród.

- Prawie nigdy do nikogo nie strzelam - zastrzegłam się z miejsca.

- Gdybym ja był łowcą nagród, strzelałbym, kurwa, do wszystkich. - Skończył gryzmolić i oddał mi kartkę. - Może się zdziwisz, ale jako dziecko byłem cholernie dziwny.

- Nie!

- Tak. Jakby... z innej planety. Prawie cały czas rozmawiałem ze Spockiem. I przysyłał mi do siebie zaszyfrowane wiadomości.

- Z tym Spockiem ze „Star Trek”?

- Z tym samym. Kurde, byliśmy ze sobą blisko. Codziennie przez wiele lat pisaliśmy te szyfry. Ale prawdziwe, trudne. Ten tutaj to łatwizna. To tylko masa zbitych liter i takie gówno w środku: „Czerwony, zielony, niebieski. Wiadomość czeka na ciebie w „Smakowitym Kubelku”.

- Wiem, gdzie to jest! - ucieszyłam się. - Tuż przy agencji poręczycielskiej.

Kubły na śmieci przed „Smakowitym Kubelkiem” były pomalowane na czerwono, zielono i niebiesko. Zielony i niebieski na papier i aluminium. Czerwony na odpadki. Założyłabym się o całe honorarium, że następna wiadomość będzie w czerwonym.

Do drzwi zbliżył się drugi mężczyzna, ubrany w schludne spodnie i idealnie wyprasowaną koszulę. Był niższy od Sally'ego. Mógł mieć jakieś sto siedemdziesiąt centymetrów. Szczupły i zupełnie łysy. Wyglądał jak piesek chihuahua, z łagodnymi brązowymi oczami za grubymi szklami okularów i ustami, które

wydawały się zbyt pełne i zmysłowe w tej małej ściągniętej twarzyczce o nosku jak guziczek.

- Co się dzieje? - spytał.

- To jest Stephanie Plum - powiedział Sally. - Ta, o której ci mówiła Lorraine

Facet wyciągnął do mnie rękę.

- Gregory Stern. Wszyscy mówią do mnie Kiki.

- Kiki i ja mieszkamy razem - wyjaśnił Sally. - I razem gramy.

- Jestem maskotką zespołu - dodał Kiki. - Czasami nawet śpiewam.

- Zawsze chciałam śpiewać w zespole - powiedziałam. - Tylko nie mam słuchu.

- Na pewno byś mogła - zapewnił mnie Kiki. - Na pewno byłabyś boska.

- Lepiej się ubieraj - przerwał mu Sally. - Znowu się spóźnisz.

- Mamy dziś występ - wyjaśnił Kiki. - Przyjście weselne.

Rany kota.

„Smakowity Kubełek” mieści się przy ulicy Hamilton - cementowa bryła z oknami z trzech stron, znana nie tyle ze znakomitego jedzenia, ile z wielkiego obracającego się kurczaka, wbitego na pal na parkingu.

Zatrzymałam samochód tuż przed czerwonym kubłem. Temperatura wynosiła pewnie ze czterdzieści stopni w cieniu, wilgotność powietrza dochodziła stu procent. Otworzyłam dach, a kiedy zatrzymałam samochód, poczułam, że upał wbija mnie w siedzenie. Może kiedy znajdę Maxine Nowicki, będę mogła naprawić klimatyzację albo spędzę parę dni na plaży... albo zapłacę czynsz i w ten sposób uniknę eksmisji.

Podeszłam do kubła ze śmieciami, zastanawiając się, czy by nie zamówić czegoś na obiad. Dwa kawałki kurczaka, biszkopt, sałatka i duża cola. Tak, to brzmiało rozsądnie.

Zajrzałam do kubła, wydałam mimowolny okrzyk i odskoczyłam. Większość odpadków była w workach, ale parę z nich pękło i zawartość wypłynęła jak wnętrzności zabitego zwierzęcia. Smród gnijących warzyw i kawałków kurczaka skłonił mnie do zmiany planów odnośnie do obiadu. A także zmiany

planów zawodowych. Pod żadnym pozorem nie zamierzałam przeszukać tego okropieństwa dla jakiejś głupiej wiadomości.

Wróciłam do samochodu i zadzwoniłam do Eddiego Kuntza.

- Złamałam szyfr. Jestem przy „Smakowitym Kubelku”, gdzie czeka na ciebie następna wiadomość. Przyjedź.

Minęło pół godziny i Kuntz zaparkował obok mnie. Siedziałam w samochodzie, piłam kolejną colę light i spływałam potem. Kuntz wyglądał świeżo. Jego sportowy samochód miał klimatyzację. Sam Kuntz przebrał się z przepoconych bokserów, które nosił rano, w czarny siatkowy podkoszulek, czarne szorty ze spandeksu, które niczego nie kryły, dwa złote łańcuszki i nowiutkie air Jordany.

- Jaki elegancki - powiedziałam.

- Muszę dbać o wygląd. Nie chcę zawieść lasek.

Wręczyłam mu odszyfrowaną wiadomość.

- Następna wskazówka jest w czerwonym kubku.

Podszedł do niego, wsadził głowę i odskoczył.

- Może jednak się przebierz w coś starego - poradziłam.

- Coś ty, zgłupiałas? Nie tknę tego gówna.

- Wiadomość jest do ciebie.

- Tak, ale cię wynająłem.

- Nie wynająłeś mnie do grzebania w śmietniku.

- Ale żebyś znalazła Maxine. Tylko o to mi chodzi. Chcę, żebyś ją namierzyła.

Przy szortach miał dwa pagery. Jeden zapiszczał i wyświetlił wiadomość. Kuntz odczytał ją i westchnął.

- Laski - powiedział. - Nie dają mi spokoju.

Akurat. Pewnie to jego matka.

Eddie poszedł do samochodu i odbył parę rozmów. Potem wrócił.

- Dobra - oznajmił z zadowoleniem. - Załatwione. Musisz tylko tu zostać i poczekać na Carlosa. Posiedziałbym z tobą, ale mam robotę.

Poczekaliśmy, aż zniknie mi z oczu, po czym odwróciłam się i omiotłam wzrokiem parking.

- Hej, Maxine! - wrzasnęłam. - Jesteś tu? - Gdyby tu była, na pewno chciałyby zobaczyć, jak Kuntz grzebie w tym paskudztwie.

- Miałaś dobry pomysł, ale się nie udało! Może się spotkamy?
Zapraszam cię na kurczaka!

Maxine nie wyszła, więc usiadłam w samochodzie i zaczęłam czekać na Carlosa. Mniej więcej po dwudziestu minutach nadjechała koparka podsiębierna. Kierowca podjechał do kubła i chwycił go za podstawę. Kubeł wolniutko przechylił się i grzmotnął o chodnik jak martwy dinozaur. Worki z odpadkami wysypały się na ziemię i pękły, jeden po drugim, a jakiś szklany słój potoczył się po betonie tuż do moich stóp. Ktoś napisał na nim flamastrem „wiadomość”.

Kierowca wychylił się przez okno.

- Ty jesteś Stephanie?

Stałam jak wryta, wytrzeszczałam oczy na pobojowisko u moich stóp, a serce biło mi w gardle.

- Aha.

- Mam jeszcze rozwlec te śmiecie?

- Nie!

W drzwiach i przy oknach restauracji stali ludzie. Dwoje młodych sprzedawców w żółto- czerwonych uniformach rzuciło się ku nam.

- Co pan robił Co pan robi! - krzyczał jeden.

- Po co te nerwy - mruknął kierowca. - Życie jest za krótkie. - Schował się do szoferki, zsalutował i odjechał.

Staliśmy jak sparaliżowani i patrzyliśmy za nim bez słowa.

Potem sprzedawca odwrócił się do mnie.

- Pani go zna?

- Nie - powiedziałam stanowczo. - Widzę go pierwszy raz w życiu.

Do mojego mieszkania było bardzo blisko, więc chwyciłam słój, wskoczyłam do samochodu i ruszyłam. Przez całą drogę patrzyłam za siebie, spodziewając się zobaczyć ścigającą mnie ekologiczną policję.

Otworzyłam drzwi.

- Znowu okropny dzień! - zawołałam do Rexa.

Mój chomik spał w puszcze po zupie i nie odpowiedział, więc poszłam do kuchni i zrobiłam sobie kanapkę z masłem

orzechowym i oliwką. Otworzyłam piwo i przyjrzałam się nowej zaszyfrowanej wiadomości. Patrzyłam i patrzyłam, ale jakoś nic nie rozumiałam. Wreszcie dałam za wygraną i zadzwoniłam do Sally'ego. Usłyszałam trzy sygnały i włączyła się sekretarka. „Sally i Kiki wyszli, ale chętnie z tobą pogadają, kochanie, więc zostaw wiadomość”.

Podaliśmy swoje imię i numer telefonu, po czym wróciłam do przyglądania się notatce. Do trzeciej oczy mi się zmęczyły, a Sally się nie zgłosił, więc postanowiłam znowu ruszyć w obchód po mieszkaniach starsuszków. Pan Kleinschmidt powiedział, że to nie jest krzyżówka. Lorraine oznajmiła, że to nie skreślanka. Pan Markowitz wyjaśnił mi, że ogląda telewizję i nie ma czasu na bzdury.

Kiedy wróciłam do domu, na sekretarce mrugało światełko.

Pierwsza wiadomość była od Eddiego Kuntza.

„Więc gdzie ona jest?”

I tyle.

Następna od Rangera.

„Zadzwoń”.

Ranger to mężczyzna, który nie rzuca słów na wiatr. Kubańczyk z pochodzenia, był w służbach specjalnych i lepiej mieć w nim przyjaciela niż wroga. Poza tym jest najlepszym łowcą nagród w stajni Vinniego. Wykreśliłam jego numer i zaczęłam na podniesienie słuchawki. Czasami Ranger się odzywał, a czasami nie.

- No?

- No cześć.

- Musisz mi pomóc zdjąć jednego.

Tu oznaczało, że Ranger chce się uśmieć albo potrzebna mu biała kobieta jako przynęta. Gdyby potrzebował prawdziwej pomocy, nie dzwoniłby do mnie. Znał ludzi, którzy pomogliby mu złapać Terminatora za paczkę cameli i obietnicę, że będzie dobry ubaw.

- Muszę wywabić jednego zbiega z budynku i nie mam tego, co trzeba.

- A co trzeba?.

- Białej skóry ledwie ukrytej za krótką spódniczką i obcisłym

sweterkiem. Dwa dni temu Sammy Żyłka odwalił kitę. Jest wystawiony u Leoniego i mój klient, Kenny Martin, składa mu ostatnią wizytę.

- Więc dlaczego nie poczekaasz, aż wyjdzie?

- Jest z matką, siostrą i wujkiem Vito. Podejrzewam, że mieszkają razem, a nie chcę wchodzić pomiędzy całą rodzinę Grizoli, żeby dopaść tego typu.

Bez żartów. Okolica jest usłana szczątkami tych, którzy odważyli się wejść pomiędzy rodzinę Grizoli.

- Właściwie miałam już plany na ten wieczór. Dlatego muszę jeszcze trochę pożyć.

- Chcę tylko, żebyś wywabiła faceta przez tylne wyjście. Resztą zajmę się sam.

Rozłączył się, ale i tak wrzasnęłam w słuchawkę:

- Z byka spadłeś?!

Piętnaście minut później miałam już na nogach szpilki, w których wyglądałam jak królowa nocy, oraz czarną wydekoltowaną ażurową sukienkę, którą niegdyś kupiłam z zamiarem schudnięcia o trzy kilo. Oczy podkreśliłam grubą czarną krechą, a rozmiary biustu powiększyłam za pomocą chusteczek higienicznych.

Ranger czekał na Roebing, o pół przecznicy przed domem pogrzebowym. Nie odwrócił się, kiedy zaparkowałam, ale zobaczyłam jego oczy w lusterku.

Uśmiechał się.

- Ładna sukieneczka. Myślałaś kiedyś o zmianie zawodu?

- Nieustannie. Na przykład w tej chwili.

Podał mi fotografię.

- Kenny Martin. Dwadzieścia dwa lata. Drobna płotka. Aresztowany za kradzież i rozbój. - Zerknął na czarną torebkę, którą miałam na ramieniu. - Masz broń?

- Tak.

- Naładowaną?

Zaczęłam grzebać w torebce.

- Nie jestem pewna, ale chyba mam tu gdzieś parę naboii...

- Kajdanki?

- Kajdanki mam na pewno.
- Gaz?
- Aha. Gaz też.
- Więc bierz ich, tygrysico.

Ruszyłam w stronę domu pogrzebowego. Na ganku stała grupka starych Włochów. Rozmowy umilkły, kiedy się zbliżyłam, a mężczyźni rozstąpili się na boki, robiąc mi przejście. W holu znajdowało się jeszcze więcej osób. Żadna nie przypominała Kenny'ego Martina. Weszłam do pomieszczenia, w którym spoczywał Sammy Żyłka, ładnie upozowany w ozdobnej mahoniowej trumnie, wśród masy kwiatów i starych Włoszek. Nikt nie wydawał się zbyt wstrząśnięty jego zejściem. Nie zauważyłam żadnej wdowy w żałobie. Ani łkającej matki. Ani Kenny'ego.

Pożegnałam się z Sammym i podreptałam dalej, z trudem zachowując równowagę. Na końcu korytarza znajdował się nieduży hol, wychodzący na tyły domu, a tuż przed drzwiami na zapleczu stał sobie Kenny Martin i palił papieroska. Za drzwiami znajdował się kryty podjazd, a gdzieś za tym podjazdem czekał Ranger.

Oparłam się o ścianę obok Kenny'ego i uśmiechnęłam się przyjaźnie.

- Cześć.

Wbił spojrzenie w mój udoskonalony dekolot.

- Przyszłaś do Sammy'ego?

Pokręciłam głową.

- Do pani Kowalskiej w sali numer dwa.

- Nie wyglądasz na przygnębioną.

Wzruszyłam ramionami.

- Bo gdybyś była przygnębiona, mógłbym cię pocieszyć. Znam się na pocieszaniu.

Uniosłam brew.

- Hmmm?

Kenny miał metr sześćdziesiąt wzrostu i ważył pewnie ze sto kilo. Był ubrany w ciemnoniebieski garnitur i białą koszulę rozpiętą pod szyją.

- Co lubisz, lalczko? - spytał.

Zmierzyłam go wzrokiem i uśmiechnęłam się, jakby spodobało mi się to, co ujrzałam.

- Jak się nazywasz?

- Kenny. Kenny Macho Martin.

Kenny Macho. Ho, ho! Wyciągnęłam rękę.

- Stephanie.

Splótł swoje palce z moimi i przystąpił o krok bliżej.

- Ładne imię.

- Zamierzałam wyjść na świeże powietrze. Chcesz mi towarzyszyć?

- Jasne. Tutaj są tylko same umarlaki. Nawet ci, co jeszcze żyją.

Wiesz, co mam na myśli?

Z głębi korytarza nadbiegła jakaś dziewczynka.

- Kenny, mama mówi, że musimy już iść.

- Powiedz jej, że zaraz przyjdę.

- Powiedziała, że masz przyjść już!

Kenny uniósł obie ręce. Wszyscy wiedzą, że nigdy się nie wygra z matką Włoszką.

- Mógłbym do ciebie zadzwonić? Spotkalibyśmy się później.

Nigdy nie lekceważ mocy udoskonalonego dekoltu.

- Jasne. Wyjdźmy na zewnątrz, zapiszę ci mój numer. Naprawdę, duszno tu.

- Już! - wrzasnęła dziewczynka.

Kenny zamachnął się na nią, a ona popędziła do mamy, wrzeszcząc na całe gardło.

- Muszę iść - powiedział Kenny.

- Chwileczkę. Dam ci wizytówkę. - Zaczęłam ryc w torebce, szukając gazu. Skoro nie mogę wyprowadzić faceta po dobroci, zagazuję łobuza i wywlokę go stąd.

Usłyszałam zbliżające się kroki i podniosłam głowę. W naszą stronę zbliżała się szczupła i ładna blondynka o krótko obciętych włosach. Miała na sobie szary garnitur i szpilki. Spoważniała, ujrzawszy mnie z Kennym.

- Teraz już rozumiem - odezwała się. - Twoja matka kazała mi cię przyprowadzić, ale zdaje się, że mamy tu jakiś problem.

- Żadnego problemu nie ma - warknął Kenny. - Powiedz jej, żeby się nie wtrącała.

- Jasne. Mam powiedzieć twojej matce, żeby się nie wtrącała. To jak samobójstwo. - Powiodła spojrzeniem ode mnie do niego i z powrotem. Uśmiechnęła się. - Nie wiesz, prawda?

Ciągle przetrząsałam torebkę. Grzebień, latarka, paczka tamponów... Gdzie ten gaz, do cholery?

- Czego nie wiem? - chciał wiedzieć Kenny. - O co ci chodzi?

- Nie czytujesz gazet? To Stephanie Plum. W zeszłym roku wysadziła w powietrze dom pogrzebowy. To łowca nagród.

O mamusiu!

ROZDZIAŁ 3

Kenny szturchnął mnie w ramię tak, że zatoczyłam się do tyłu.

- To prawda? Jesteś łowcą nagród?

- E, łapy z daleka! - zareagowałam z godnością.

Kenny popchnął mnie jeszcze raz; wpadłam na ścianę.

- Może ktoś musi dać ci nauczkę, żebyś więcej nie okłamywała Kenny'ego?

- Może ktoś musi ci dać nauczkę, żebyś się stawiał przed sądem! - Ciągle grzebałam w torebce, a skoro ciągle nie mogłam znaleźć tego cholernego gazu, wyciągnęłam pojemnik ekstramocnego lakieru do włosów i puściłam strumień prosto w twarz Kenny'ego, który zawył cienko i chwycił się za oczy.

- y cholerna babo! - wrzasnął dyszkantem.- Czekaaj, już ja cię załatwię. Już ja cię... - Cofnął ręce. - Zaraz, minuta. Co to za gówno?

Terry uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Zostałeś polakierowany, Kenny.

Korytarzem zmierzała ku nam mała dziewczynka i jakaś starsza kobieta.

- Co się tu dzieje? - spytała ta ostatnia.

Za nimi ukazał się starszy mężczyzna. Vito Grizolli, jakby prosto z „Ojca chrzestnego”.

- Kenny dostał po oczach lakierem - poinformowała wszystkich Terry. - Stoczył wspaniałą walkę, ale nie dał rady ekstramocnemu lakierowi.

Kobieta odwróciła się do mnie.

- Zrobiłaś to mojemu synkowi?

Staralam się opanować, ale i tak z piersi wyrwało mi się westchnienie. Są takie dni, kiedy po prostu nie opłaca się wstawać z łóżka.

- Jestem z agencji poręczycielskiej - oznajmiłam. - Pracuję dla Vincenta Pluma. Pani syn nie stawił się w sądzie, a ja muszę go przyprowadzić na policję w celu ustalenia nowej daty rozprawy.

Pani Martin wciągnęła ze świstem powietrze.

- Tak było? Nie poszedłeś na rozprawę? Co się z tobą dzieje? Jak ty się zachowujesz?

- To wszystko gówniecznie - wypowiedział się Kenny.

Pani Martin palnęła go w głowę.

- Jak się wyrażasz?! - Potem odwróciła się do mnie. - A ty? Co to za strój? Gdybyś była moją córką, nie wypuściłabym cię z domu!

Cofnęłam się, żeby też nie oberwać.

- Te dzieci wpędzą mnie do grobu - odezwał się Vito Grizolli. - Dokąd zmierza ten świat?

I to mówi człowiek, który regularnie popełnia morderstwa.

Vito pogroził Kenny'emu palcem.

- Powinieneś stawić się w sądzie. I zrobisz to, jak mężczyzna. Teraz z nią pójdziesz i niech prawnicy czynią swoją powinność.

- Mam lakier w oczach - zaprotestował Kenny. - Łzy mi leczą! Muszę do doktora!

Otworzyłam przed nim drzwi.

- Nie bądź dzieckiem - powiedziałam. - Ja bez przerwy psikam sobie lakierem w oczy.

Ranger czekał na nas pod płóciennym daszkiem. Miał na sobie czarny podkoszulek i także wojskowe spodnie, wpuszczone w cholewy butów. Ranger ma ciało jak Schwarzenegger, ciemne włosy gładko zaczesane do tyłu i dwustuwatowy uśmiech. Jest powalające seksowny, śmiertelnie poważny jak Batman i nie istnieje lepszy od niego łowca nagród.

Na mój widok błysnął oślepiającym uśmiechem. Dwieście watów jak nic.

- Dobry pomysł z tym lakierem.

- Nawet nie zaczynaj.

W poniedziałek rano obudziłam się dręczona niepokojem. Chciałam dopaść Maxine Nowicki, ale z powodu szyfru stałam na jałowym biegu. Jeszcze raz spojrzałam na wiadomość i poczułam, że się załamuję. Sally Sweet nie oddzwonił. Kusiło mnie, żeby z nim porozmawiać już teraz, ale była ósma rano i coś mi mówiło, że drag queens mogą nie wstawać z pierwszymi kurami.

Siedziałam nad drugą filiżanką kawy, kiedy zadzwonił telefon.

- To ja - odezwał się Sally.

Odczytałam mu wiadomość, litera po literze.

Cisza.

- Sally?

- Myślę. Myślę. Nie spałem przez całą noc, musiałem być śliczny, kręcić tyłeczkiem... To niełatwy kawałek chleba, wiesz?

W słuchawce usłyszałam jakieś krzyki.

- Co się tam dzieje?

- To Kiki. Zrobił mi śniadanie.

- Kiki robi ci śniadania?

- Rozmawiam ze Stephanie! - odwrzasnęła Sally.

- Kurczę, mnie to nikt nie robi śniadań.

- Musisz zamieszkać z gejem - poinformował mnie Sally. - Oni lubią, kurna, gotować.

Oto coś, nad czym warto się zastanowić.

- Nie chciałam ci przeszkadzać - powiedziałam. - Będę w domu jeszcze przez godzinę, a potem jadę do biura. Jeśli rozwiązesz tę łamigłówkę, złap mnie w pracy albo zostaw wiadomość na sekretarce.

- Spoko wodza.

Wzięłam prysznic i ubrałam się w przewidywaniu kolejnego upalnego dnia. Dałam Rexowi świeżej wody i jakąś chomiczą karmę, na którą nie raczył spojrzeć.

Chwyciłam torbę na ramię, zamknęłam drzwi i zeszłam po schodach. Asphalt na jezdni przybrał postać półpłynną, a słońce pulsowało białym blaskiem w rozprężonym niebie. Przez całą drogę do agencji słuchałam Savage Garden i przybyłam w dobrym nastroju, ponieważ los się do mnie uśmiechnął i trafiałam na same zielone światła.

Connie siedziała zgarbiona nad biurkiem. Czarne włosy spiętrzyła wysoko wokół twarzy. Wyglądało to trochę jak filmowa dekoracja: wszystko z przodu, nic z tyłu. Fantastyczna fryzura, ale tylko od frontu.

- Nie ma go, jeśli chcesz z nim porozmawiać - powiedziała.

Lula wyloniła się zza rzędu szafek z aktami.

- Dziś jest umówiony na numer z kozą. Widziałam, miał zapisane w kalendarzu.

- I jak ci idzie? - spytała Connie. - Jakies postępy z tą Nowicki?

Podaliśmy jej kopię wiadomości.

- Zostawiła list pisany szyfrem.

- Ja odpadam - oświadczyła Lula. - Zawsze byłam kiepska w te klocki.

Connie przygryzła mocno umalowaną dolną wargę.

- Może te liczby to litery?

- też tak pomyślałam, ale nic mi nie wychodzi.

Wszystkie wpatrywałyśmy się przez chwilę w kartkę.

- Może to nic nie znaczy - powiedziała wreszcie Lula. - Może to żart.

Pokiwałam głową. To też było możliwe.

- Wczoraj pomogłam Rangerowi przy zdjęciu poszukiwanego - oznajmiłam. - Denny'ego Martina.

Connie parsknęła cichym śmiechem.

- Siostrzeńca Vita Grizolli? Na pewno było fajnie.

- Była z nim kobieta, której nie potrafię sobie przypomnieć. Wiem, że ją gdzieś widziałam, ale nie mam pojęcia gdzie i kiedy.

- Jak wyglądała?

- Szczupła, ładna, krótkie jasne włosy. Ma na imię Terry.

- Terry Gilman - zawyrokowała Connie. - Niegdyś Terry Grizolli. Przez jakieś sześć godzin była żoną Billy'ego Gilmana i zachowała jego nazwisko.

- Terry Grizolli! To była Terry Grizolli? - Terry była dwa lata starsza ode mnie i przez całą szkołę chodziła z Joe Morellim. Została królową balu maturalnego i wywołała skandal, wybierając Joego na swojego partnera. Potem została zawodową cheerleaderką nowojorskich Gigantów.

- Nie widziałam jej od lat - powiedziałam. - Co teraz robi? Ciągle skacze z pomponami?

- Podobno pracuje dla Vita. Ma masę pieniędzy i żadnego zawodu.

- Chcesz powiedzieć, że jest jego doradcą?

- Coś w tym rodzaju.

Drzwi gabinetu się otworzyły i wszystkie odwróciłyśmy się, żeby spojrzeć, kto wchodzi. Lula zdołała przemówić jako pierwsza.

- Zabójczy kolczyk.

Mówiła o papudze na złotym kółku, dyndającym w uchu

Sally'ego.

- Kupiłem na plaży - wyjaśnił. - Dodają ją, jeśli się kupi parę stringów. - złapał się za tyłek i jakby lekko podskoczył. - Chryste, nie mam pojęcia, jak się to nosi. Hemoroidów od nich dostanę, strasznie mnie piją.

Sally pozbył się blond peruki, a jego włosy przypominały pęk brązowych świderków. Wyglądał jak rasta, tylko bez dredów. Miał na sobie wycięte szorty, biały podkoszulek i czerwone chodaczki, a jego paznokcie lśniły świeżym srebrnym lakierem.

- To jest Sally Sweet - powiadomiłam Connie i Lulę.

- No myślę - mruknęła Lula.

Sally dał mi przekład zaszyfrowanej wiadomości i rozejrzał się.

- Myślałem, że na ścianach macie portrety poszukiwanych i wszędzie jest pełno broni.

- Tu nie Dziki Zachód - odparła Lula z urazą. - Staramy się zachować klasę. Broń trzymamy na zapleczu, razem ze zbrojeńcem.

Odczytałam wiadomość na głos:

„Jeden, trzydzieści dwa, Howser Street. Pod ławką”. To adres matki Maxine.

Sally osunął się na kanapę.

- W dzieciństwie oglądałem powtórki filmów ze Steve'em McQueenem. Ten to był dopiero łowcą nagród.

- No. Dobry był, skórkojad - przyświadczyła Lula.

- I co teraz? - poinformował się Sally. - Jedziemy na Howser Street?

My? Poczulałam, że robi mi się trochę niedobrze.

Lula zatrzasnęła szufladę katalogów.

- Chwila. Chyba nie pojedziecie beze mnie! A jeśli coś się wydarzy? A jeśli będziesz potrzebować dużej kobiety w pełni sił - na przykład mnie - żeby wyprostować sytuację?

Bardzo lubię Lulę, ale kiedy ostatnio pracowałyśmy razem, przytyłam prawie cztery kilogramy i niemal mnie aresztowano za zastrzelenie martwego faceta.

- To ja jadę na Howser Street - oznajmiłam. - Ja i tylko ja. Jedna osoba. Steve McQueen pracował sam.

- Nie chciałabym cię urazić - zareplikowała Lula - ale nie jesteś

Steve'em McQueenem. I może się zdarzyć, że będę ci potrzebna. Poza tym będzie fajnie. Znowu razem, ty i ja!

- I ja - upomniał się Sally. - Ja też jadę.
- O kurczę! Trzy muszkietierki!

Lula objęła dom pani Nowicki jednym spojrzeniem

- Mama Maxine chyba nie bardzo dba o swoje gniazdko.

Siedzieliśmy w firebirdzie Luli. Sally na tylnym siedzeniu dorabiał partię gitary do rapu Luli. Lula wyłączyła silnik, muzyka ucichła, a Sally oprzytomniał.

- Trochę tu niesamowicie - zauważył. - Macie chyba broń, nie?

- Nie - odparłam. - Nie bierzemy broni po to, żeby znaleźć wiadomość.

- A to, kurna, rozczarowanie. Myślałem, że otworzycie drzwi z kopa, wlecicie do środka i od razu puścicie serię! No, żeby im pokazać.

- Musisz przestać brać prochy od samego rana - powiadomiła go Lula. - Jak tak dalej będziesz robić, wypadną ci wszystkie włosy z nosa.

Rozpięłam pasy.

- Na ganku widzę jakąś ławeczkę. Jeśli szczęście nam dopisze, nie będziemy musieli wchodzić do domu.

Przeszliśmy przez wyłysiały trawnik. Lula postawiła nogę na pierwszym schodku i zawahała się, gdy jęknął pod jej ciężarem. Stała na drugim, starannie omijając przegniłe deski.

Sally usiłował iść na palcach. W drewniakach. Klik, klak, klik, klak. I to ma być podstępny transwestyta.

Oboje chwycili ławeczkę z dwóch stron i przewrócili ją.

Na spodzie nie było żadnej kartki.

- Może ją związało? - podsunęła Lula.

W całym Jersey od dawna nie odnotowano ani jednego podmuchu wiatru, ale przeszukaliśmy całe podwórko, idąc tyralierą.

I nic.

- Ha - sapnęła Lula. - Zostaliśmy wpuszczeni w maliny.

Pod gankiem znajdowała się wolna przestrzeń ogrodzona drewnianą kratą. Zajrzałam tam na czworakach.

- W liście było napisane: pod ławką. To może znaczyć pod gankiem, pod ławką.

Pobiegłam truchtem do samochodu i wróciłam z latarką, którą trzymałam ukrytą w schowku na rękawiczki. Znowu kucnęłam i omiotłam czarną przejrzeń promieniem światła. Owszem, dokładnie pod ławką znajdował się szklany słoje.

W snopie światła zabłysło dwoje złotych oczu, które po chwili zniknęły.

- I co? Jest? - dopytywała się Lula.

- Mhm.

- No więc?

- Są tam jakieś oczy. Małe, żółte, brzydkie. I pająki. Masa pająków.

Lula wzdrygnęła się mimowolnie.

Sally dokonał kolejnej poprawki stringów.

- Weszłabym tam, ale kobieta moich rozmiarów nie zmieści się pod gankiem - powiedziała Lula. - Wielka szkoda.

- Myślę, że się zmieścisz.

- O nie, nic z tego. Na pewno się nie zmieszczę.

Rozważyłam kwestię pająków.

- Tak. Ja też się chyba nie zmieszczę.

- Ja się zmieszczę - oznajmił Sally. - Ale tam nie wejść. Zapłaciłem dwadzieścia dolców za ten manikiur i na pewno nie będę grzebać pod jakimś zaszczurzonym gankiem.

Schyliłam się i znowu spojrzałam.

- Może moglibyśmy wyciągnąć słoje grabiami?

- E, nie - zniechęciła mnie Lula. - Grabie nie dosięgną. Trzeba je włożyć z tej strony, a to za daleko. Zresztą skąd wziąć grabie?

- Moglibyśmy pożyczyć od pani Nowicki.

- Jasne. Spójrz tylko na ten trawnik. Zakładam się, że pani Nowicki nie zajmuje się ogrodem. - Lula wspięła się na palce i zajrzała do okna. - Może nawet nic ma jej w domu. Pewnie by już wyszła, żeby spytać, co robimy na jej ganku. - podeszła do innego okna i przycisnęła nos do szyby. - Oho!

- Co: oho? - nie znosiłam tych jej „oho”.

- Sama zobacz.

Sally i ja podbiegliśmy do okna i rozpląszczyliśmy nosy na

szkle.

Pani Nowicki leżała bezwładnie na podłodze kuchni. Głowę miała owiniętą żółtym zakrwawionym ręcznikiem, obok poniewierała się pusta butelka po whisky.

- Pogrom - obwieściła Lula grobowym głosem. - Chcesz grabie, to sobie sama weź.

Zapukałam do okna.

- Proszę pani!

Pani Nowicki nawet nie drgnęła.

- To się musiało zdarzyć całkiem niedawno - powiedziała Lula.

- Gdyby leżała dłużej w tym upale, byłaby już spuchnięta jak plażowa piłka. Mogłaby nawet eksplodować. Wszędzie flaki i robale.

- Chciałbym to zobaczyć - odezwał się Sally. - Może wrócimy tu za parę godzin?

Odwrociłam się i znowu pomaszerowałam do samochodu.

- Musimy zadzwonić na policję.

Lula ruszyła tuż za mną.

- Tylko nie „my”. Dostaję gęziej skórki na widok policjantów.

- Już nie jesteś prostytutką. Nie musisz się ich bać.

- To trauma - powiadomiła mnie Lula z godnością.

Po dziesięciu minutach wokół nas błyskały błękitne i białe światła. Carl Constanza wysiadł z pierwszego samochodu i pokręcił głową. Znam go od podstawówki. Zawsze był chudym dzieciakiem z kiepską fryzurą, wygadany jak wszyscy diabli. Przez ostatnie lata nabrał trochę ciała i znalazł lepszego fryzjera. Nadal jest wygadany, ale pod tym wszystkim kryje się dobry człowiek i świetny gliniarz.

- Znowu trup? - spytał. - Co jest, chcesz się dostać do Księgi Guinnessa? Najwięcej trupów znalezionych przez jedną osobę w Trenton?

- Leży w kuchni, na podłodze. Nie weszliśmy do domu. Drzwi są zamknięte.

- Skąd wiesz, że leży na podłodze, skoro drzwi są zamknięte?

- No, bo przypadkiem spojrzałam w okno i...

Carl uniósł dłoń.

- Nie mów, nie chcę tego słyszeć. Przepraszam, że spytałem.

Policjant z drugiego samochodu podszedł do okna i stanął z ręką na kaburze.

- No fakt, leży na podłodze - zaraportował. Zastukał do okna. - Proszę pani! - Odwrócił się do nas, mrużąc oczy przed rażącym słońcem. - Wygląda, jakby nie żyła.

Carl podszedł do drzwi i zapukał.

- Proszę pani! Policja! - Zapukał głośniej. - Wchodzimy! - Rąbnął pięścią drzwi, przegniłe drewno puściło i dom stanął przed nami otworem.

Poszłam za Carlem i przyjrzałam się, jak usiłuje wyczuć puls pani Nowicki. Na zlewie leżały inne zakrwawione ręczniki oraz umazany krwią nóż do obierania warzyw. W pierwszej chwili sądziłam, że pani Nowicki została zastrzelona, ale nigdzie nie widziałam broni i śladów walki.

- Lepiej zadzwonić po koronera - odezwał się Carl. - Nie wiem, co tu właściwie mamy.

Sally i Lula zajęły stanowiska pod ścianą.

- I co o tym sądzisz? - spytała Lula, zwracając się do Carla.

Wzruszył ramionami.

- Nic. Wygląda na martwą.

Lula pokiwała głową.

- Też tak sądziłam. Jak tylko ją zobaczyłam, powiedziałam sobie: niech to, ta kobieta jest martwa.

Drugi policjant zniknął, żeby zadzwonić, a Lula zbliżyła się do pani Nowicki.

- Co jej się mogło stać? Pewnie upadła, uderzyła się w głowę, potem zawięła ją w ręcznik i zemdląca.

Brzmiało to całkiem rozsądnie... jeśli pominąć zakrwawiony nóż, do którego przyłgnęły kawałki włosów.

Lula zgięła się wpool i przyjrzała się turbanowi z ręcznika.

- Musiała się niezłe rąbnąć. Masa krwi.

Zwykle ludzkie zwłoki szybko zaczynają wydzielać fetor. Pani Nowicki nie wydzielała zapachu zwłok. Wydzielała silny zapach whisky.

Carl i ja zarejestrowaliśmy tę osobliwość i zerknęliśmy na siebie z ukosa. Tymczasem pani Nowicki otworzyła jedno oko i wbiła spojrzenie w Lulę.

- Aaaa! - Lula odskoczyła i wpadła na Sally'ego. - Oko się jej otworzyło!

- Tak cię lepiej widzę - wyrzęziła pani Nowicki ochryplym kontraltem znamionującym bliskość raka płuc.

Carl stanął przed nią.

- Myśleliśmy, że pani nie żyje.

- Nie tak szybko, kotku - chrypnęła pani Nowicki. - Ale coś ci powiem. Piekielnie boli mnie głowa. - Uniosła drżącą rękę i dotknęła ręcznika. - A, teraz tobie przypominam.

- Co się stało?

- A, nic. Miałam wypadek. Chciałam sobie obciąć włosy, ręka mi się omsknęła i lekko się zacięłam. Poleciało trochę krwi, więc owinęłam głowę ręcznikiem i łyknęłam sobie dla celów leczniczych. - Usiadła z wysiłkiem. - Właściwie nie wiem, co było potem.

Lula podparła się pod boki.

- Według mnie obaliłaś tę flaszkę, koleżanko, i film ci się urwał. Za dużo tych leczniczych łyków.

- Według mnie za mało - mruknął Sally. - Bardziej mi się podobała, kiedy była martwa.

- Muszę zapalić - oznajmiła pani Nowicki. - Ktoś ma papierosa?

Na zewnątrz zatrzymało się jeszcze kilka samochodów; w domu rozległy się kroki. Do kuchni wszedł mundurowy, a za nim facet w cywilu.

- Jednak żyje - wyjaśnił Carl.

- Albo i nie - dodała Lula. - Może to jeden z tych żywych trupów.

- A może ty jesteś jednym z tych świrusów - warknęła pani Nowicki.

Przez okno zauważyłam błyskającego koguta na sanitarce koronera. Do kuchni weszli dwaj sanitariusze.

Wycofałam się na ganek, a z ganku na trawnik. Nie zależało mi na ujrzeniu, co jest pod ręcznikiem.

- Nie wiem jak ty - odezwała się Lula - ale ja mogłabym już opuścić tę imprezę.

Nie miałam nic przeciwko temu. Carl wiedział, gdzie mnie szukać, jeśli będzie chciał mi zadać jakieś pytanie. Wyglądało na

to, że nikt nie popełnił zbrodni. Pijana baba rani się w głowę nożem do ziemniaków i mdleje. To się pewnie zdarza codziennie.

Wbiliśmy się do firebirda i wróciliśmy do biura. Pożegnałam się z Lula i Sallym, wsiadłam do mojej hondy i poparułam do domu. Kiedy wszystko się uspokoi, wrócę tam z jakimś narzędziem i wyciągnę słój. Nie miałam ochoty wyjaśniać policji tej całej hecy z wiadomościami od Maxine.

Tymczasem mogłam wykonać parę rozmów. Nie sprawdziłam jeszcze wszystkich z listy Eddiego Kuntza. Nie zaszkodzi do nich podzwonić.

Kiedy wpadłam do budynku, natknęłam się na jedną z moich sąsiadek, panią Williams.

- Strasznie dzwoni mi w uszach - pożałowała się. - I mam zawroty głowy.

Inna sąsiadka, pani Balog, stała tuż obok i dokładnie sprawdzała skrzynkę pocztową.

- To stwardnienie naczyń krwionośnych. Evelyn Krutchka z trzeciego piętra to ma. Coś strasznego. Podobno jej naczynia krwionośne prawie zmieniły się w kamień.

Większość moich sąsiadów to staruszkowie. Jest też parę samotnych matek, Ernie Wall i jego dziewczyna May i jeszcze jedna kobieta w moim wieku, która mówi tylko po hiszpańsku. Stanowimy grupę ludzi zarabiających niewiele bądź nieregularnie. Nie interesuje nas tenis ani wylegiwanie się nad basenem. Przeważnie jesteśmy spokojnymi, miłującymi pokój obywatelami, uzbrojonymi po zęby właściwie bez powodu, choć uciekamy się do przemocy tylko w przypadku walki o lepsze miejsce na parking,

Ruszyłam po schodach na piętro, licząc, iż wywrze to jakiś wpływ na ciasto, które zjadłam na śniadanie. Weszłam do mieszkania i niezwłocznie skręciłam do kuchni. Wsadziłam głowę do lodówki, szukając obiadu doskonałego. Po paru minutach zdecydowałam się na jajko na twardo i banan.

Wsiadłam przy stole jadalnym, który znajduje się w niewielkiej niszy salonu, zjadłam jajko i zabrałam się do otrzymanej od Kuntza listy nazwisk. Najpierw wykręciłam numer pralni, do której chodziła Maxine. Nie, ostatnio jej nie widzieli. Nie, nie ma

żadnych rzeczy do odebrania. Zadzwoiłam do kuzynki Marion, która pracuje w banku Maxine, i spytałam, czy na jej konto nie wpłynęły jakieś pieniądze. Nie, powiedziała Marion. Ostatnia transakcja miała miejsce przed dwoma tygodniami, kiedy Maxine pobrała trzysta dolarów z bankomatu.

Ostatnim punktem listy były delikatesy w północnej dzielnicy Trenton, o rzut beretem od domu Eddiego Kuntza i mamy Nowicki. Kierowniczka nocnej zmiany zjawiła się właśnie wtedy, gdy zadzwoniłam. Powiedziała, że kobieta odpowiadająca opisowi odwiedziła ich wczoraj w nocy. Zapamiętała ją, ponieważ to stała klientka. Zjawiła się późno, a ludzi w sklepie było niewiele. Była rozmowna i nieco rozweseliła kierowniczkę.

Włożyłam fotografię Maxine do torebki i ruszyłam, by potwierdzić identyfikację. Zaparkowałam przed delikatesami i spojrzałam przez szybę do środka. W kolejce stali czterej mężczyźni. Trzej w garniturach, wymiętych po całym dniu pracy w upale. Kiedy weszłam, zostało tylko dwóch. Odczekałam, aż załatwią interesy, po czym przedstawiłam się kobiecie za kontuarem. Wyciągnęła rękę.

- Helen Badijan. Rozmawialiśmy przez telefon. Jestem kierowniczką nocnej zmiany.

Miała warkocz sięgający łopatek. Twarz bez makijażu, nie licząc rozmazanej czarnej kreski na powiekach.

- Nie ustaliłyśmy tego przez telefon - powiedziała Helen. - Czy jest pani z policji?

Zwykle staram się unikać odpowiedzi wprost.

- Oficer agencji poręczycielskiej.

Niech się zastanawia. Oczywiście nie zamierzałam kłaniać. Nie jest mądrze podszywać się pod policję. Ale jeśli ktoś mnie nie zrozumie, bo nie słucha uważnie... to już nie mój problem.

Helen spojrzała na fotografię Maxine i skinęła głową.

- Tak, to ona. Tylko teraz jest bardziej opalona.

A zatem wiedziałam już dwie rzeczy. Maxine żyje i ma czas, żeby siedzieć na słoneczku.

- Kupiła parę paczek papierosów. Mentolowych. I dużą colę. Powiedziała, że ma przed sobą długą jazdę. Spytałam, czy chce kupić los na loterię, ponieważ tak zawsze robiła... Co tydzień

kupowała los. Ale nie chciała. Powiedziała, że już jej to niepotrzebne.

- Coś jeszcze?

- To wszystko.

- Zauważyła pani, jakim samochodem przyjechała?

- Nie, przykro mi.

Zostawiłam jej wizytówkę i poprosiłam, żeby do mnie zadzwoniła, jeśli Maxine pojawi się w sklepie. Uznałam, że wizytówka trafi do kosza na śmieci, jeszcze zanim uruchomię silnik, ale co tam. Ludzie przeważnie rozmawiają ze mną, jak stanę z nimi twarzą w twarz, ale nie lubią podejmować tak zdecydowanych kroków, jak telefonowanie z własnej woli. To już pachnie donosicielstwem, a donosicielstwo nie jest w porządku.

Wyjechałam z parkingu i ruszyłam, mijając po drodze punkty zapalne... Dom Margie, mieszkanie Maxine, dom Kuntza, dom mamy Nowicki i jadłodajnia. Nic nie wzbudzało podejrzeń. Nie mogłam się już doczekać, żeby zdobyć następną wiadomość, ale na Howser Street ciągle kręcili się ludzie. Sąsiad pani Nowicki podlewał trawnik. Parę dzieciaków jeździło na deskorolkach. Lepiej poczekać, aż się ściemni. Za jakieś dwie godziny słońce zajdzie i wszyscy schowają się w domach. Wtedy ruszę do akcji, a jeśli szczęście mi dopisze, nikt się mną nie zainteresuje.

Wróciłam do siebie. Pod moimi drzwiami siedział Joe Morelli z nogami wyciągniętymi na całą długość. Obok niego stała papierowa torba, a w korytarzu unosił się aromat klopsików i pizzy marinara.

Rzuciłam Morellemu pytające spojrzenie.

- Wstąpiłem, żeby się przywitać - oznajmił i wstał.

Moje spojrzenie powędrowało ku torbie. Morelli wyszczerzył zęby.

- Kolacja.

- Ładnie pachnie.

- Klopsiki od Pina. Jeszcze gorące. Właśnie przyszedłem.

W normalnych warunkach nie wpuściłabym Morellego, ale zrezygnowanie z klopsików Pina byłoby grzechem. Otworzyłam drzwi. Morelli wszedł, nie czekając na zaproszenie. Rzuciłam torbę na stolik w korytarzu i ruszyłam do kuchni. Wyjęłam z

szafki dwa talerze.

- Trudno mi uwierzyć, że to wizyta towarzyska.

- Może niezupełnie - przyznał Morelli. Stał tak blisko mnie, że czułam jego oddech, laskoczący mnie w kark. - Pomyślałem, że pewnie będziesz ciekawa doniesień o zdrowiu matki Maxine Nowicki.

Wysypałam klopsiki na talerze i podzieliłam na równe porcje pojemnik sałatki coleslaw.

- Czy to mi odbierze apetyt?

Morelli otworzył moją lodówkę i zaczął w niej szukać piwa.

- Została oskalpowana. Jak w westernach. Tylko w tym wypadku nie zdjęto jej tyle skóry, żeby umarła.

- Co za sadyzm! Kto mógłby zrobić coś takiego?

- Doskonałe pytanie. Nowicki nie chce powiedzieć.

Zaniosłam talerze do pokoju.

- A odciski palców na nożu?

- Brak.

- Nawet jej?

- Właśnie. Nawet jej.

Zjadłam swoje klopsiki i zaczęłam się zastanawiać. Oskalpowana. Fuj!

- Szukasz jej córki - powiedział Morelli. Było to stwierdzenie, nie pytanie.

- Mhm.

- Myślisz, że to się z czymś wiąże?

- Dwa dni temu rozmawiałam z koleżanką Maxine z jadłodajni. Miała obandażowaną rękę. Podobno niechcący odcięła sobie palec.

- Jak się nazywa ta koleżanka?

- Margie jakoś tam. Mieszka gdzieś na Barnet. Pracuje w jadłodajni „Srebrny Dolar”.

- Chcesz mi powiedzieć o innych okaleczeniach?

Spróbowałam sałatki.

- Nie. To już koniec. Kiepski tydzień.

Morelli przyjrzał mi się podejrzliwie.

- Coś przede mną ukrywasz.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Widzę.

- Nic nie widzisz.

- Ciągłe się na mnie wściekasz, bo nie zadzwoniłem?

- Wcale się nie wściekam! - Walnęłam pięścią w stół, aż butelka piwa podskoczyła lekko.

- Chciałem zadzwonić - powiedział Morelli.

Wstałam, by zebrać talerze i sztućce.

- Ty chyba jesteś ciężko upośledzony!

- A ty jesteś cholernie przerażająca!

- Chcesz powiedzieć, że się mnie boisz?

- Każdy facet przy zdrowych zmysłach powinien się ciebie bać. Pamiętasz „Szkarłatną literę”? Powinnaś mieć wytatuowane na czole: „Niebezpieczna kobieta, nie zbliżać się!”

Pognałam do kuchni i rzuciłam talerze na stół.

- Tak się składa, że jestem bardzo sympatyczna! - Odwróciłam się i spojrzałam na niego zmrużonymi oczami. - Niby co jest we mnie takiego strasznego?

- Masa rzeczy. Na przykład to spojrzenie. Jakbyś chciała wybrać mi zasłony do kuchni.

- Wcale nie mam takiego spojrzenia! - wrzasnęłam. - A gdyby nawet, to na pewno bym nie patrzyła na twoje zasłony!

Morelli przyparł mnie do lodówki.

- Poza tym jeszcze jest to, że serce bije mi szybciej, kiedy się tak wściekasz. Pochylił się i pocałował mnie w ucho. - I twoje włosy... uwielbiam twoje włosy, Znowu mnie pocałował. - To niebezpieczne włosy, kochanie.

O rety!

Jego kolano wparło się pomiędzy moje nogi.

- Niebezpieczne ciało. - Musnął moje wargi. - Niebezpieczne usta.

To nie powinno się zdarzyć. Postanowiłam, że się nie zdarzy.

- Słuchaj, Morelli... dzięki za klopsiki i w ogóle, ale...

- Zamknij się, Stephanie.

A potem mnie pocałował. Poczułam dotknięcie jego języka i pomyślałam: a co, może i jestem niebezpieczna. Może to nie taki zły pomysł. W końcu bywało już, że marzyłam o spowodowanym przez Morellego orgazmie. No więc mam szansę. W końcu nie jesteśmy sobie obcy. W końcu na to zasługuję.

- Może powinniśmy się przenieść do sypialni - wymamrotałam. Byle dalej od szuflady ze sztukami, bo może przyjdzie mi do głowy go zasztyletować.

Morelli był w dżinsach i granatowym podkoszulku. Miał też pager i trzydziestkęósemkę. Odpiął pager i położył go na lodówce. Zamknął drzwi na zasuwę i zrzucił buty.

A broń? - spytałam.

- Broń zostaje. Tym razem nic mnie nie powstrzyma. Spróbuj zmienić zdanie, a cię zastrzelę.

- Jest jeszcze... hm, kwestia bezpieczeństwa.

Położył rękę na suwaku.

- Dobrze, zostawię go na szafce.

- Nie chodzi mi o broń.

Morelli zatrzymał się w pół ruchu.

- Nie bierzesz pigułek?

- Nie. - Nie sądziłam, żeby było warto, skoro okazja trafia mi się raz na tysiąclecie.

- A może...

- Tego też nie mam.

- Cholera - powiedział Morelli.

- Nie masz nic w portfelu?

- Może nie uwierzysz, ale gliniarze nie muszą nosić awaryjnych kondomów.

- Tak, ale...

- Nie mam już osiemnastu lat. Nie zaliczam dziewięciu kobiet na dziesięć.

To mi się spodobało.

- Pewnie nie zechcesz mi powiedzieć, jak wygląda obecne saldo?

- Zero na zero.

- Moglibyśmy spróbować z foliową torebką.

Morelli wyszczerzył zęby.

- Bardzo mnie pragniesz.

- Chwilowe szaleństwo.

Uśmiech stał się szerszy.

- Nie sądzę. Pragniesz mnie od lat. Odkąd skończyłaś sześć lat, ciągle chodzi ci tylko o to, żebyś się dotknął.

Poczułam, że szczeka mi opada, i natychmiast zamknęłam usta. Zacisnęłam pięści, żeby nie udusić gada.

- Ależ z ciebie palant!

- Wiem - przyznał Morelli. - To wada wrodzona. Dobrze, że jestem taki słodki.

Morelli jest człowiekiem, o którym można wiele powiedzieć. Na pewno nie to, że jest słodki. Słodkie są małe pieseczki. I niemowlęce buciki. Ale nie Morelli. Morelli mógłby zagotować wodę samym spojrzeniem. „Słodki” to zbyt bezbarwny przymiotnik w odniesieniu do niego.

Morelli pociągnął mnie za włosy.

- Pobiegnę do najbliższego sklepu, ale podejrzewam, że po powrocie zastałbym zamknięte drzwi.

- Istnieje taka możliwość.

- Więc zostaje nam tylko jedno.

Zamknęłam oczy.

ROZDZIAŁ 4

Morelli poszedł do salonu i wziął pilota.

- Możemy pooglądać mecz. Grają Yankersi. Masz lody?
- Odzyskanie głosu zajęło mi dokładnie sześćdziesiąt sekund.
- Malinowe.
- Mogą być.

Zostałam zastąpiona malinowym lodem na patyku, a Morelli nie wydawał się ani trochę nieszczęśliwy. Natomiast ja miałam ochotę coś rozbić. Morelli miał rację... bardzo go pragnęłam. Może miał rację także co do tych zasłon, ale w to nie chciałam się zagłębiać. Mogłam się pogodzić z požądaniem, lecz myśl o związku z Morellem przejmowała mnie zgrozą.

Wręczyłam mu tego cholernego loda i usiadłam w fotelu. Nie ufałam sobie na tyle, żeby zająć miejsce obok Morellego na kanapie. Bałam się, że się na niego rzucę.

W okolicach wpół do dziesiątej zaczęłam spoglądać na zegarek. Myślałam o wiadomości pod gankiem i zastanawiałam się, jak mam ją wydostać. Mogłabym pożyczyć grabie od rodziców. I przedłużyć czymś stylisko. Będę musiała skorzystać z latarki i muszę się spieszyć, bo ludzie na pewno zobaczą światło. Gdybym zaczekała do drugiej, pewnie nie musiałabym się martwić, że na kogoś wpadnę. Ale światło latarki o drugiej w nocy jest o wiele bardziej podejrzane niż dziesiątej.

- No dobra - odezwał się Morelli. - O co chodzi? Dlaczego ciągle patrzysz na zegarek?

Przeciągnęłam się i ziewnęłam.

- Robi się późno.
- Jest wpół do dziesiątej.
- Wcześniej się kładę.

Morelli cmoknął z dezaprobatą.

- Nie powinnaś okłamywać gliniarza.
- Mam sprawy do załatwienia.
- Jakie sprawy?
- Nic szczególnego. Takie tam.

Do drzwi ktoś zapukał i oboje spojrzeliśmy w ich stronę. Morelli zmierzył mnie podejrzliwym wzrokiem.

- Spodziewasz się kogoś?

- To pewnie pani Bestler z trzeciego piętra. Czasami zapomina, gdzie mieszka. - Spojrzałam przez wizjer. - Nie. To nie pani Bestler. - Pani Bestler nie ma gigantycznej rudej fryzury. Pani Bestler nie nosi obcisłych skórzanych ciuszków. Pani Bestler nie ma piersi w kształcie stożków.

Odwrociłam się do Morellego.

- Może zechciałbyś być tak dobry i poczekać w sypialni...

- Nigdy w życiu! - oznajmił. - Nie przepuszczę tego za skarby świata.

Odciągnęłam zasuwę i otworzyłam drzwi.

- Nie wiem, dlaczego to robię - powiedział Sally. - To poszukiwanie zbiegów mnie wciąga jak bagno.

- Gorączka pościgu.

- Tak. O to chodzi. O tę, kurwa, gorączkę. - Podał mi słój. - Wróciłem i wyciągnąłem. Pożyczyłem to takie do odkurzania, z długą rączką. Złamałem szyfr, ale nie wiem, co to znaczy.

- Ludzie cię widzieli? Nie pytali, co robisz?

- Nikt nie ma ochoty zadawać pytań komuś, kto wygląda tak jak ja. Wszyscy są szczęśliwi, że nie tańczę przytulanki z wujkiem Fredem na trawniku. - Sally zmierzył Morellego nieufnym spojrzeniem. - A to kto?

- Joe Morelli. Właśnie wychodzi.

- Wcale nie - powiedział Morelli.

Sally zrobił krok w jego stronę.

- Skoro ona mówi, że wychodzisz, to wychodzisz.

Morelli zakołysał się na piętach i wyszczerzył zęby.

- Chcesz mi przywalić?

- Myślisz, że nie potrafię?

- Myślę, że ktoś powinien ci kupić nowy stanik. W tym roku nosi się zaokrąglone.

Sally spojrzał zezem na swoje stożki.

- To mój znak firmowy. Zrobiłem, kurwa, fortunę na tych gołąbeczkach. - Podniósł wzrok i zniechęcony walnął Morellego w brzuch.

Morelli stęknął, zmrużył oczy i rzucił się na Sally'ego.

- Nie! - wrzasnęłam, stając pomiędzy nimi.

Przez jakiś czas trwało zamieszanie. W końcu oberwałam w brodę i gruchnęłam na podłogę jak worek kartofli. Obaj zaczęli mnie podnosić.

- Won! - ryknęłam, oganiając się. - Nie dotykać mnie! Obaj!! Nie życzę sobie pomocy od dwóch infantylnych kretynów.

- On się śmiał z moich piersi - powiedział Sally.
- Tak to już jest, jak się ma piersi! - krzyknęłam. - Ludzie się z nich śmieją. Lepiej do tego przywyknij.

Joe zmierzył Sally'ego nieprzyjemnym spojrzeniem.

- Coś ty za jeden? I co to za słoik?

Sally wyciągnął do niego rękę.

- Jestem Sally Sweet.

Joe uścisnął ją.

- Joe Morelli.

Stali tak przez parę minut. Na policzki Sally'ego napłynął ciemny rumieniec. Ściągną na szyi Morellego napięły się, żyły nabrzmiały. Ci kretyni siłowali się na rękę.

- Dość tego - wysyczałam. - Idę po broń. I zastrzelę tego, który wygra.

Zerknęli na mnie.

- Właściwie to już wychodzę - powiedział Sally. - Dziś mamy koncert na wybrzeżu i Kiki czeka w samochodzie.

- Sally jest muzykiem - wyjaśniłam.

Morelli odstąpił o krok.

- Poznanie przyjaciół Stephanie to dla mnie zawsze przyjemność.

- Taaa - mruknął Sally. - Dla mnie też.

Zamknęłam drzwi, odwróciłam się i spojrzałam prosto w uśmiechniętą twarz Morellego.

- O co wam poszło?

- Bawiliśmy się. - Spojrzał na słoik. - Opowiedz mi o tym.

- Maxine Nowicki zostawia wiadomości dla Eddiego Kuntza. Rodzaj zemsty. Wiadomości są zawsze zaszyfrowane. To dlatego Sally ze mną pracuje. Jest dobry w łamaniu szyfrów. - Otworzyłam słoik, wyjęłam kartkę i odczytałam: -"Nasze miejsce. Środa o trzeciej".

- Mają swoje miejsce. Znowu doznałem przyływu

romantycznych uczuć. Może jednak pobiegnę do apteki?

- Powiedzmy, że pobiegiesz. Ile byś przyniósł? Jeden? Miesięczny przydział? Całe pudełko?

- O rany. To znowu te zasłony, tak?

- Chcę tylko ustalić zasady.

- Może byśmy rozwiązywali problemy na bieżąco?

- Dobry pomysł. Chyba.

- Więc jeśli pójdę do tej apteki, czy mnie wpuścisz?

- Nie. Nie jestem w nastroju. - Prawdę mówiąc, zaczął mnie trafiać szlag. I z jakiejś nieznanej mi przyczyny bez przerwy myślałam o Terry Gilman.

Morelli przesunął palcem po moim policzku.

- Może mógłbym zmienić ten nastrój?

Założyłam ręce na piersi i spojrzałam na niego oczami jak szparki.

- Nie sądzę.

- Hmm. Może rzeczywiście nie. - Morelli przeciągnął się, poszedł niespiesznie do kuchni i wziął pager z lodówki. - Jesteś w złym nastroju, bo nie chcę się zdecydować na stały związek.

- Nieprawda! Absolutnie nie chcę żadnego związku z tobą!

Jesteś słodka, kiedy tak kłamiesz.

Wskazałam mu drzwi.

- Precz!

Następnego ranka mogłam zadzwonić do Eddiego Kuntza i powiedzieć, że znalazłam nową wiadomość, ale chciałam z nim porozmawiać osobiście. Mieszkanie Maxine Nowicki zostało przetrząśnięte, a dwie bliskie jej osoby odniosły poważne obrażenia. Zaczęłam podejrzewać, że ktoś zamierza ją odnaleźć z powodu innego niż listy miłosne. I może tym kimś był Eddie Kuntz.

Zastałam go przy myciu samochodu. Radio na chodniku ryczało na cały regulator. Wyłączył je na mój widok.

- Znalazłaś Maxine?

Dałam mu kartkę z tłumaczeniem wiadomości.

- Znalazłam to.

Odczytał tekst i jęknął z obrzydzeniem.

- „Nasze miejsce”. I co to ma znaczyć?

- Nie wiedziałaś, że mieliście miejsce?

- Mieliśmy masę miejsc. Skąd mam wiedzieć, o które jej chodzi?

- Zastanów się.

Eddie Kuntz wbił we mnie ciężkie spojrzenie. Prawie widziałam, jak obracają mu się kółeczka w mózgu.

- Pewnie chodzi o taką ławkę - powiedział wreszcie. - Po raz pierwszy spotkaliśmy się w parku, a ona siedziała na ławce i patrzyła na wodę. Zawsze mówiła o tej ławce jak o jakiejś świątyni.

- Kto by pomyślał.

Kuntz uniósł obie ręce.

- Kobiety!

Przy krawężniku zatrzymał się wielki lincoln. Przyciemnione szyby, długi na pół dzielnicy.

- Ciocia Betty i wujek Leo - wyjaśnił Eddie.

- Duży samochód.

- No. Czasami go pożyczam, żeby zarobić parę doków ekstra.

Nie wiedziałam, czy chodzi mu o wożenie ludzi, czy o rozjeżdżanie ich na marmoladę.

- Podałeś, że z zawodu jesteś kucharzem, ale dużo siedzisz w domu.

- Bo chwilowo jestem bezrobotny.

- Kiedy ostatnio pracowałeś jako kucharz?

- A, nie wiem. Dziś rano. Zrobiłem sobie tosta. O co ci chodzi?

- Jestem ciekawa.

- Spróbuj się zaciekawić Maxine.

Ciocia Betty i wujek Leo zbliżyli się do nas.

- Dzień dobry! - zawołała ciocia. - Jesteś nową dziewczyną Eddiego?

- Znajomą.

- Mam nadzieję, że będziesz jego dziewczyną. Jesteś rodowitą Włoszką, prawda?

- W połowie. A w połowie Węgierką.

- Nikt nie jest doskonały. Wejdz, poczęstuj się ciastem. Kupiłam bardzo dobry biszkopt.

- Znowu będzie gorąco - zauważył wujek Leo. - Dobrze, że mamy klimatyzację.

- Wy macie - burknął Eddie. - U mnie jest gorąco jak w piekle.

- Muszę wejść do środka - powiedział wujek. - Ten upał mnie zabija.

- Nie zapomnijcie o cieście! - dodała ciocia, podążając za nim. - Ciasto czeka, jeśli tylko będziecie mieli ochotę.

- Mam nadzieję, że się starasz? - spytał Eddie. - No wiesz, nie czekasz tylko na te wiadomości?

- Sprawdziłam wszystkich z listy, którą mi dałeś. Kierowniczka zmiany powiedziała, że Maxine pojawiła się w sklepie w niedzielę w nocy. Poza tym nikt jej nie widział.

- Chryste! Ona mi będzie wysyłać te głupie wiadomości do końca świata. Dlaczego nikt jej nie widział? Co jest, ma czapkę niewidkę?

- Kierowniczka ze sklepu powiedziała coś, co mi utkwiło w pamięci. Maxine zawsze kupowała los na loterię, ale tym razem powiedziała, że już nie musi grać.

Kuntz zacisnął usta.

- Maxine jest wariatką. Kto wie, co jej chodzi po głowie.

- Musisz przyjść na tę ławkę jutro o trzeciej - powiadomiłam go. - Zadzwoń rano i umówimy się.

- Nie wiem, czy mi się to podoba. Wybiła mi okno. Co jej jeszcze strzeli do głowy? A jeśli będzie chciała mnie zabić?

- Rzucenie kamieniem nie równa się morderstwu. - Przyjrzałam mu się bacznie. - Czy Maxine ma powód, żeby cię zabić?

- Wniosłem sprawę przeciwko niej. To nie dosyć?

- Nie dla mnie. - Ten pętał nie zasługiwał na to, żeby za niego siedzieć. - Trudno powiedzieć, co o tym sądzi Maxine.

Zostawiłam Kuntza razem z jego radiem. Właściwie nie wiem, czego się spodziewałam po tym spotkaniu. Pewnie chciałam mu spojrzeć prosto w oczy i spytać, czy to on oskalpował matkę Maxine. Niestety, z mojego doświadczenia wynika, że oczy bywają bardzo przereklamowane jako zwierciadło duszy. W oczach Eddiego Kuntza ujrzałam jedynie bardzo długi rejestr wypitych wczoraj kolejek.

Okrążyłam dom pani Nowicki i nie zauważyłam żadnego śladu życia. Zamknięte okna. Zaciągnięte rolety. Zatrzymałam samochód i podeszłam do drzwi. Na pukanie nikt nie zareagował.

- Pani Nowicki! - krzyknęłam. - Tu Stephanie Plum. - Zapukałam znowu i już miałam wrócić do samochodu, kiedy drzwi się odrobinę uchyliły.

- Co znowu? - spytała pani Nowicki.

- Chciałam porozmawiać.

- Ależ mam szczęście.

- Mogę wejść?

- Nie.

Miała zabandażowaną głowę. Bez makijażu i papierosa wyglądała bardzo, bardzo staro.

- Jak się pani czuje?

- Bywało gorzej.

- Chodzi mi o tę ranę.

Zerknęła ku górze.

- A, to...

- Muszę się dowiedzieć, kto to zrobił.

- Ja.

- Widziałam krew. Widziałam nóż. I wiem, że pani sama się nie okaleczyła. Ktoś szuka Maxine. I skrzywdził panią.

- Chcesz wszystko wiedzieć? To idź na policję i przeczytaj moje zeznanie.

- Wie pani, że ktoś złożył wizytę koleżance Maxine i odciął jej palec?

- I myślisz, że ten sam gość załatwił nas obie?

- Tak mi się wydaje. I sędzę, że będzie lepiej dla Maxine, jeśli ją znajdę przed nim.

- Życie jest podłe. Biedna Maxie. Nie wiem, co zrobiła. I nie wiem, gdzie jest. Za to wiem, że się wpakowała w duże kłopoty.

- A ten gość?

- Powiedział, że jeśli komuś powiem, wróci i mnie zabije. Uwierzyłam mu.

- To zostanie między nami.

- Wszystko jedno. Nie mam ci nic do powiedzenia. Było ich dwóch. Odwróciłam się, a oni już stali za mną. Przeciętnego

wzrostu. Przeciętnej budowy ciała. W kombinezonach i maskach z pończochy. Mieli nawet jednorazowe gumowe rękawiczki, takie jak w szpitalach.

- A głosy?

- Mówił tylko jeden i w jego głosie nie było nic szczególnego.

Ani stary, ani młody.

- Rozpoznałaby go pani?

- Nie wiem. Jak powiedziałam, nie było w nim nic szczególnego.

- I nie wie pani, gdzie jest Maxine?

- Nie wiem.

- Spróbujmy z innej strony. Gdyby Maxine nie była w swoim mieszkaniu i nie musiała codziennie chodzić do pracy, to gdzie by poszła?

- A to łatwe. Poszłaby na plażę. Lubi morskie powietrze i często grywa na deptaku.

- Seaside czy Point Pleasant?

- Point Pleasant. Tam chodzi zawsze.

To brzmiało nawet sensownie. I tłumaczyło opaleniznę oraz fakt, iż nikt nie widywał Maxine w Trenton.

Dałam pani Nowicki moją wizytówkę.

- Proszę do mnie zadzwonić, jeśli Maxine się odezwie albo jeśli przyjdzie pani do głowy coś, co by mi mogło pomóc. Niech pani nie otwiera drzwi i nie rozmawia z obcymi.

- Zaczęłam się zastanawiać, czy nie zamieszkać razem z siostrą w Wirginii.

- To całkiem niezły pomysł.

Skręciłam w Olden i zauważyłam w lusterku wstecznym czarnego jeepa cherokee. Czarne jeepy są w Jersey popularne. Zwykle ich nie zauważam, ale tym razem gdzieś w głębi mojej podświadomości rozległo się stuknięcie mentalnego liczydła i zrozumiałam, że czarny jeep pojawił się o jeden raz za dużo. Wjechałam w Hamilton, a potem w St. James. Zatrzymałam samochód na moim parkingu i rozejrzałam się w poszukiwaniu jeepa, ale nigdzie go nie zauważyłam. Zbieg okoliczności, powiedziałam sobie. Rozszalała wyobraźnia.

Pobiegłam do mieszkania, sprawdziłam sekretarkę, przebrałam się w kostium plażowy, chwyciłam ręcznik, podkoszulek i krem z filtrem, włożyłam szorty i ruszyłam nad morze.

Dziura w tłumiku zrobiła się większa, więc puściłam Metallicę głośniej. Do Point Pleasant dotarłam w niespełna godzinę, po czym przez dwadzieścia minut szukałam taniego parkingu. Wreszcie znalazłam wolne miejsce o dwie przecznice od deptaka, zamknęłam samochód i zarzuciłam torbę na ramię.

Kiedy mieszka się w Jersey, plaża nie wystarcza. Miejscowi mają mnóstwo energii. Potrzebują rozrywek. Chcą mieć plażę z deptakiem. A ten deptak musi być pełen atrakcji i straganów z tanim żarciem. I obowiązkowo musi być mini- golf. Plus parę sklepów z podkoszulkami, na których widnieją obsceniczne rysunki. Nie ma nic lepszego niż takie życie.

A najlepszy jest zapach. Mówiono mi, że są takie miejsca, gdzie ocean pachnie solą i dzikością. W Jersey ocean ma zapach masła kokosowego, włoskich kielbasek ze smażoną cebulką i papryką oraz hot dogów z chili. Upojna, egzotyczna woń, która rozchodzi się falami wśród opalonych ciał na deptaku.

Szum uderzających o piasek fal miesza się z rytmicznym zgrzytem karuzeli i przeraźliwym „iiiiii!!!”, które wydają z siebie ludzie mknący po gigantycznej zjeżdżalni. Na wybrzeże przyjeżdżają wszyscy - gwiazdy rocka, kieszonkowcy, alfonsi, dealerzy, ciężarne kobiety w bikini, przyszli astronauty, politycy, szaleńcy, przyjezdne rodziny z dziećmi i miejscowi. Wszyscy kupują gadżety i jedzą włoskie jedzenie.

Kiedy byłam mała, jeździłam razem z siostrą na karuzeli i opychałam się watą cukrową. Miałam żołądek jak struś, ale Valerie regularnie wymiotowała w drodze powrotnej. Później plaża stała się świetnym miejscem do spotykania chłopców. A teraz zjawiłam się tu w pościgu za człowiekiem. Kto by pomyślał.

Zatrzymałam się przy stoisku z watą cukrową i pokazałam fotografię Maxine.

- Czy ktoś ją widział?

Nikt nie potrafił powiedzieć na pewno.

Ruszyłam przez deptak, pokazując fotografię i siejąc na prawo i lewo moimi wizytówkami. Zjadłam trochę frytek, kawałek pizzy,

dwie ciągutki, wypłam szklanę lemoniady i pozwoliłam sobie jeszcze na rożek lodów waniliowo- pomarańczowych. W połowie deptaka poczułam zew białego piaseczku na plaży, więc zrezygnowałam z polowania na rzecz udoskonalenia opalenizny.

Nie można nie kochać roboty, w której przez całe popołudnie można leżeć na słoneczku.

Światelko automatycznej sekretarki migało jak oszalałe. Moja sekretarka dostaje małego rozumu już przy trzech wiadomościach. Mig, mig, mig, mig, mig - szybciej, niż Rex rusza wąsikami.

Przesłuchałam taśmę. Wszystkie wiadomości były puste.

- Nic wielkiego - powiedziałam do Rexa. - Jak im zależy, zadzwonią jeszcze raz.

Rex zatrzymał się w kołowrotku i spojrzał na mnie. Rex cholernie nie lubi tłustych wiadomości. Nie ma cierpliwości, żeby czekać, aż ktoś zadzwoni jeszcze raz. Jest zdecydowanie zbyt ciekawski.

Telefon zadzwonił. Rzuciłam się na słuchawkę jak tygrys.

- Halo?

- Czy to Stephanie?

- Tak.

- Tu Kiki. Czy Sally jest z tobą?

- Nie. Nie widziałam go przez cały dzień.

- Spóźnił się na kolację. Powiedział, że przyjdzie, ale nie przyszedł. Pomyślałem, że może znowu ściga jakiegoś zbiega, bo o niczym innym już nie mówi.

- Nie. Dziś pracowałam sama.

Wyjrzałam na parking. Był późny ranek; asfalt już zaczął się topić w upale. Jakiś pies zaszczekał na Stiller Street, na tyłach parkingu. Trzasnęły drzwi. Spojrzałam w tamtym kierunku i zobaczyłam czarnego jeepa cherokee, stojącego o dwie przecznice dalej.

No i co z tego, pomyślałam, mnóstwo osób jeździ takimi jeepami. Choć tutaj dotąd nie widziałam żadnego. A ten jeep naprawdę przypominał samochód, który za mną jeździł. Lepiej to

sprawdzić.

Miałam na sobie dżinsowe szorty i zielony podkoszulek. Wetknęłam trzydziestkęósemkę za pasek spodenek i przykryłam ją podkoszulkiem. Przeszłam się po pokoju, usiłując przywyknąć, ale czułam się jak idiotka. Więc w końcu wyjęłam broń i na powrót schowałam ją w baryłeczce na ciastka.

Zjechałam windą na parter, wyszłam przez drzwi frontowe i przeszłam się na St. James. Skręciłam w lewo, przeszłam przez dwie przecznice, skręciłam i wyloniłam się za jeepem. Miał przyciemniane szyby, ale widziałam ciemną sylwetkę za kierownicą. Podkradłam się bliżej i zapukałam do okna. Szyba opuściła się i ujrzałam uśmiechniętą Joyce Barnhardt.

- Ciao - powiedziała.

- Co tu robisz, do cholery?

- Śledzę cię, a co myślałaś?

- Zakładam, że masz powód.

Joyce wzruszyła ramionami.

- Obie szukamy tej samej osoby. Pomyślałam, że nie zaszkodzi przyjrzeć się twoim rozpaczliwym wysiłkom... zanim wezmę się do roboty na poważnie.

- Nie szukamy tej samej osoby. Tego się po prostu nie robi. Vinnie nigdy nie daje sprawy dwóm osobom.

- Co ty tam wiesz.

Zmrużyłam oczy.

- Vinnie uważa, że nie robisz postępów, więc dał Maxine Nowicki mnie.

- Nie wierzę.

Joyce pokazała mi umowę.

- „Agencja Victora Pluma zleca aresztowanie Maxine Nowicki...” - odczytała.

- Jeszcze zobaczymy!

Joyce złożyła usteczka jak do pocałunku.

- I przestań za mną jeździć!

- To wolny kraj. Mogę za tobą jeździć, jeśli mi się spodoba.

Pogalopowałam do domu, złapałam kluczyki i torbę na ramię, wskoczyłam do samochodu i ruszyłam z kopyta do agencji... a Joyce za mną. Nie starałam się jej zgubić.

Skręciłam w Hamilton i mniej więcej po pięciu minutach byłam już pod agencją. Joyce zaparkowała w pewnym oddaleniu i pozostała w samochodzie. Ja wpadłam do biura jak burza.

- Gdzie on? Gdzie ten mały parszywy padalec?

- Oho - powiedziała Lula. - Powtórka z rozrywki.

- Co znowu? - chciała wiedzieć Connie.

- Joyce Barnhardt, oto co znowu. Pokazała mi zlecenie na aresztowanie Maxine Nowicki.

- Niemożliwe. To ja wystawiam wszystkie zlecenia i nic mi o tym nie wiadomo. Poza tym Vinnie nigdy nie daje roboty dwóm różnym agentom.

- Tak, ale nie zapominaj, że ta cała Joyce przysłała tu we wtorek bardzo wczesnym rankiem - odezwała się Lula. - Zamknęła się z Vinniem prawie na godzinę i wiesz, wydawali te dziwne odgłosy.

- Znowu zapomniałam broni! - jęknęłam.

- Ja mam - mruknęła Connie - ale na nic ci się ona nie przyda, bo Vinnie wczoraj pojechał do Karoliny Pomocnej. Powinien wrócić pod koniec tygodnia.

- Ja tak nie mogę pracować! Ona mi wchodzi w drogę. I jeździ za mną.

- Mogę jej to wybić z głowy - zaproponowała Lula. - Gdzie ona? Zaraz z nią pogadam.

- Siedzi teraz w czarnym jeepie, ale nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

- Spokojna głowa - rzuciła Lula, zmierzając ku wyjściu. - Rozegram to dyplomatycznie. Ty tu zaczekaj.

Dyplomatycznie? Lula?

- Hej! - wrzasnęłam. - Wracaj! Sama się nią zajmę!

Lula dotarła do samochodu i stanęła przy tylnym błotniku.

- Ten?! - ryknęła.

- Tak, ale...

Lula wyciągnęła spod podkoszulka pistolet i - BANG! - zrobiła w tylnej oponie Joyce dziurę wielkości arbuza.

Zanim Joyce zdołała się wygramolić z szoferki, pistolet zniknął już z pola widzenia.

Joyce spojrzała na swoje koło i otworzyła usta.

- Widziałeś? - spytała ją Lula ze współczuciem. - Jakiś facet

rąbnął prosto w twoją oponę! A potem uciekł. Doprawdy, co się dzieje na tym świecie.

Joyce przeniosła spojrzenie z opony na Lulę, a potem znowu na oponę. Cały czas miała otwarte usta, choć nie dochodził z nich żaden dźwięk.

- No, muszę wracać do roboty - oznajmiła Lula, odwróciła się na pięcie i weszła do biura.

- Coś podobnego!- rzuciłam bez tchu. - Tak nie można! Nie wolno strzelać ludziom w opony!

- Co ty powiesz - zdziwiła się grzecznie Lula.

Connie wróciła za biurko.

- Czy ktoś chce iść ze mną na obiad do Manniego? Mam ochotę na makaron.

- Muszę sprawdzić jeden ślad - powiedziałam.

- Jaki ślad? - zareagowała natychmiast Lula. - Będzie się coś dziać? Bo jeśli tak, to idę z tobą. Mam ochotę na jakąś rozróbę.

Prawdę mówiąc, przydałaby mi się pomocna dłoń na wypadek spotkania z Maxine. Wolałabym Rangera, ale nie mogłam tego powiedzieć złąknionej rozrywki Luli.

- Nie będzie rozróby. To nudny ślad. Bardzo nudny.

- Chodzi o Maxine, tak? O kurczę, fajnie będzie. Tak jak z tym trupem, co ożył. Może tym razem trafimy w dziesiątkę.

- Musimy wziąć twój samochód - powiedziałam. - Jeśli będziemy zdejmować Maxine, nie zmieścimy się do mojej hondy.

- W porządku. - Lula wyjęła torebkę z szuflady katalogu. - W moim samochodzie jest klimatyzacja. Poza tym, co także jest plusem, zaparkowałam na tyłach, więc nie musimy udawać, że współczujemy Joyce, która ma flaka. Dokąd jedziemy?

- Na Muffet Street. Północna dzielnica.

- A mnie się to i tak nie podoba - oznajmił Kuntz z uporem. - Maxine ma fioła. Kto wie, co jej strzeli do głowy. Będę tam siedział jak żywy cel.

Lula stała razem ze mną na ganku.

- Na pewno się okaże, że Maxine przykleiła do ławki następną głupią wiadomość. Przestań lamentować, bo robisz z siebie palanta. A jak się ktoś nazywa Kuntz, powinien bardzo uważać, co

z siebie robi.

Eddie zmierzył ją złym spojrzeniem.

- Kto to jest?

- Jestem jej partnerką - wyjaśniła Lula. - Jak Starsky i Hutch, Cagney i Lacey. Samotny Jeździec i ten, jak mu tam.

Prawdę mówiąc, najbardziej przypominałyśmy Flipa i Flapa, ale nie chciałam dzielić się tą informacją z Kuntzem.

- Będziemy na miejscu na długo przed wyznaczoną godziną - powiedziałam. - Nie przejmuj się, jeśli nas nie zobaczysz. Musisz tylko się pokazać, usiąść na tej ławce i poczekać.

- A jak się coś stanie?

- Pomachaj ręką. Będziemy w pobliżu.

- Wiecie, która to ławka, nie?

- Przy maszcie z flagą.

- Właśnie.

Betty wyjrzała zza drzwi.

- Dzień dobry, kochanie. Śliczny dzień, prawda? Wybieracie się gdzieś? Gdybym była w waszym wieku, pojechałabym na piknik.

- Dziś pracujemy - wyjaśniła Lula. - Mamy wspaniały ślad, który musimy sprawdzić.

- Betty! - wrzasnęła Leo z głębi domu. - Gdzie moje ciasto? Miałaś mi przynieść ciasto!

Betty schowała się i zamknęła drzwi, odcinając dopływ chłodnego powietrza.

- Wścibska starucha - mruknął Kuntz. - Nie można nic zrobić, żeby się od razu nie dowiedziała.

- Dlaczego się nie wyprowadzisz, skoro tak ci się tu nie podoba?

- Tanio mi liczy za mieszkanie, bo jestem jej krewnym. To siostra mojej matki.

- Wiesz, czego nam potrzeba? - spytała Lula, sadowiac się za kierownicą. - przebrania. Zakładam się, że Maxine już wie, jak wyglądasz. A w tej części parku nie ma wielu kryjówek. Będziemy musiały tkwić na widoku. Musimy się przebrać.

Doszłam do podobnych wniosków. Nie wpadło mi do głowy, żeby się przebrać, ale myślałam, że będziemy mieć kłopoty z

zachowaniem incognito.

- I znam doskonale miejsce, w którym możemy znaleźć fajne przebrania - dodała Lula. - Wiem, gdzie możemy dostać peruki i wszystko inne.

Dwadzieścia minut później stałyśmy przed drzwiami mieszkania Sally'ego Sweeta.

- Głupio się czuję - wyznałam.

- Znasz kogoś innego, kto nosi peruki?

- Nie potrzebuję peruki. Mogę schować włosy pod czapkę baseballową.

Lula przewróciła oczami.

- O tak, wtedy nikt cię nie pozna.

Drzwi się otworzyły i w progu stanął Sally. Miał przekrwione oczy i dziko zjeżone włosy.

- Jezu! - przestraszyła się Lula.

- Co? Nie widziałaś transwestyty na kacu?

- Widziałam. Widziałam masę transwestytów.

Weszłyśmy do salonu.

- Mam dziwną prośbę - powiedziałam. - Musimy kogoś śledzić i martwię się, że możemy zostać rozpoznane. Pomyślałam, że może mógłbyś nam pożyczyć jakiś kostium.

- Kim chcesz być? Barbarellą, Batgirl, dziwką z naprzeciwka?

ROZDZIAŁ 5

- Pożycz mi tylko perukę - powiedziałam.

Sally ruszył do sypialni.

- Którą chcesz? Farrah? Sierotkę Annie? Elvirę?

- Coś, co nie zwraca na siebie uwagi,

Wrócił z peruką blond, którą zaprezentował nam ze wszystkich stron.

- Z kolekcji Marilyn. Bardzo popularna wśród starszych panów, którzy chcą, żeby ich ukarać.

Zrobiło mi się trochę niedobrze, ale Lula przyjrzała się peruce z taką miną, jakby chciała ją zapamiętać, na wypadek gdyby wróciła do swojej dawnej profesji.

Sally spiął moje włosy i wcisnął mi perukę na głowę.

- Czegoś tu brakuje.

- Ust Marilyn - oznajmiła Lula. - Fryzura Marilyn się nie liczy bez ust Marilyn.

- Nie umiem malować ust - wyznał Sally. - Kiki zawsze mi to robi. A Kiki wyszedł. Trochę się poprzytykaliśmy, a on zaraz się obraził,

- Często się kłóćcie? - spytała Lula.

- Nie. Nigdy. Kiki jest łatwy w pożyciu. Tylko trochę upierdliwy. Na przykład uważa, że nie powinienem się z wami spotykać, bo to zbyt niebezpieczne. Właśnie o to się pokłóciliśmy.

- O matko! - jęknęłam. - Nie chcę stawać pomiędzy wami.

- Nie ma sprawy. Kiki jest w porządku. Tylko ciągle się martwi.

- Sally otworzył sporą kasetkę profesjonalnych kosmetyków. - Tu jest masa tego gówna, jeśli umiecie się z tym obchodzić.

Wybrałam cukierkoworóżową szminkę i namalowałam sobie wielkie, naburmuszone usta. Sally i Lula odstąpili o krok i ocenili moje wysiłki.

- Buty nie te - rzuciła Lula. - Te usta i włosy nie pasują do butów.

- Marilyn by nie włożyła takich butów - zgodził się z nią Sally.

- Widziałam świetne buciki w Macy - dodała Lula. - Byłyby idealne.

- Nie! Nie będę chodzić po sklepach! Chcę wcześniej przyjść do

parku, żebyśmy mogli odnaleźć Maxine.

- To potrwa minutkę - zapewniła mnie Lula. - Zobaczysz, dostaniesz bzika na ich widok.

- Nie, nie i jeszcze raz nie!

- Tylko pomaluję usta i już jestem gotów do wyjścia - powiedział Sally.

Lula i ja popatrzyłyśmy na siebie. Sally zamarł ze szminką w ręku.

- Chyba nie chciałyście mnie zostawić, co?

- No, właściwie... - mruknęłam.

- To rozróżba dla łowców nagród - oznajmiła Lula. - A ty nie znasz się na takich rozróżbach.

- Znam się na innych. Poza tym wy też nie jesteście takie zajeżdżone dobre w te klocki.

Od pewnego czasu wpatrywałam się martwym wzrokiem w ścianę i myślałam, że poczułabym się lepiej, gdybym wyrznęła o nią głowę.

- Milczeć! Pojedziemy wszyscy. Wszyscy udajemy łowców nagród.

Sally odwrócił się do lustra w korytarzu i rozmazał sobie błyszczak na wargach.

- Kiki dał mi ten zajebisty błyszczak. Powiedział, że usta nie będą mi pękać, dzięki czemu szminka będzie się ładnie rozprowadzać. Mówię wam, te kobiece bajery nie są łatwe.

Miał na sobie szorty wycięte tak, że widać było mu pośladki, i podkoszulek bez rękawów, a na twarzy - dwudniowy zarost.

- Chyba nie całkiem chwytasz, o co chodzi - zauważyła Lula z troską w głosie. - Najpierw powinienes ogolić sobie tyłek, a dopiero potem martwić się o szminkę.

Do parku dotarliśmy nieco po pierwszej.

- Te buty wszystko zmieniły - tłumaczyła mi Lula, przyglądając się mojemu nowemu obuwiu. - A nie mówiłam?

- Kurewsko dobre - potwierdził Sally. - W stylu dziwki retro.

Świetnie. Właśnie tego mi było trzeba - następnej pary butów w stylu dziwki retro i kolejnych siedemdziesięciu czterech dolarów długu na koncie w Macy.

Siedzieliśmy na parkingu z widokiem na sztuczny staw. Wokół niego biegły ścieżki do joggingu, obrzeżone kępami drzew. W betonowej bryle na prawo mieścił się bar z przekąskami i toalety. Na lewo znajdował się placyk z huśtawkami i drewnianymi drabinkami. Nad stawem stały ławeczki, o tej porze dnia puste. Park wypełniał się dopiero popołudniami, kiedy było mniej gorąco. Staruszkowie przychodzili, żeby popatrzeć na zachód słońca, a rodziny z małymi dziećmi karmiły kaczki.

- Kuntz będzie siedzieć na tej ławce przy maszcie - powiedziałam. - Ma się zjawić o trzeciej.

- Na pewno chce go zastrzelić - doszedł do wniosku Sally. - Po co by go tak wystawiała?

Nie wydawało mi się to możliwe. Ławka była zbyt odsłonięta. Nie istniała dobra droga ucieczki. Maxine nie była geniuszem, ale nie była też całkiem głupia. Wyglądało na to, że bawi się z Eddiem. I tylko ona uważa, że ta zabawa jest śmieszna.

Wyjęłam fotografię Maxine.

- Tak wygląda. Jeśli ją zobaczycie, macie ją złapać i przyprowadzić do mnie. Ja biorę teren pomiędzy barem i samochodem. Lula, ty pilnujesz placu zabaw. Sally, ty usiądź na ławce przy przystani. Uważaj na snajperów. - Sama nie wierzyłam, że to powiedziałam. - I pilnujcie, żeby nikt nie napadł na Kuntza, kiedy usiądzie już na tej ławce.

Sally i Lula nie tylko namówili mnie do kupna sandałów na platformie z rzemykami do połowy łydki, ale jeszcze tak mi zamęcili w głowie, że dałam się wbić w czarną streczową minispódniczkę. Wspaniałe przebranie, jeśli nie liczyć faktu, że nie mogłam biegać, siadać ani się schylać.

O drugiej w parku pojawiły się dwie kobiety i zaczęły biegać. Żadna z nich nie była Maxine. Poszłam do baru i kupiłam torbę popcornu, którym nakarmiłam kaczki. Dwaj starsi faceci zrobili to samo. Pojawiło się więcej biegaczy. Tym razem mężczyźni. Karmiłam kaczki i czekałam. Nadal ani śladu Maxine. Lula siedziała na huśtawce i piłowała paznokcie. Sally wyciągnął się na ziemi za ławką i chyba zasnął. Ale mam drużynę, niech to szlag trafi.

Przez cały czas nikt się nie zbliżył do ławki przy maszcie. W

pierwszej kolejności obejrzałam ją od góry do dołu i nie zauważyłam niczego podejrzanego. Jeden biegacz przysiadł na ławce, rozsznurował buty i zaczął pić wodę z butelki.

Kuntz pojawił się za pięć trzecia i poszedł prosto do ławki.

Lula podniosła głowę znad paznokci, ale Sally nawet nie drgnął. Kuntz stał przez chwilę koło ławki. Oddalił się o parę kroków. Zdenerwowany. Nie chciał siadać. Rozejrzał się, zauważył mnie przy barze i bezgłośnie powiedział coś jakby: „Ja cię kręcę”.

Doznałam krótkiego ataku paniki na myśl, że zechce do mnie podejść, ale on się odwrócił i jednak usiadł.

Czarny jeep cherokee wtoczył się na parking i zatrzymał tuż obok samochodu Kuntza. Nie trzeba jasnowidza, żeby się domyślić, kto w nim siedzi. Joyce śledziła Kuntza. Teraz niewiele mogłam na to poradzić. Przyglądałam się samochodowi przez jakiś czas, ale nic się nie działo. Joyce siedziała jak przymurowana.

Minęło dziesięć minut. Piętnaście. Dwadzieścia. Nic. Ludzi przybywało, ale nikt nie podszedł do Kuntza i nigdzie nie widziałam Maxine. W stronę stawu zmierzali dwaj goście z lodówką na kółkach. Zatrzymali się i zagadnęli biegacza, który ciągle siedział na ławce obok Kuntza. Biegacz pokręcił głową. Faceci wymienili spojrzenia. Przez chwilę o coś się spierali. Potem jeden z nich otworzył lodówkę, wyjął ciasto i cisnął biegaczowi prosto w twarz.

Biegacz poderwał się na równe nogi.

- Jezu Chryste! - wrzasnął. - Pogięło was?

Lula zeskoczyła z huśtawki i ruszyła ku nim. Joyce biegła już przez parking. Kuntz zaczął się wycofywać boczką. Nawet Sally podniósł się z trawy.

Wszyscy otoczyli biegacza, który trzymał jednego z lodziarzy za koszulę. Ludzie krzyczeli: „Przestańcie” i „Dajcie spokój”, usiłując rozdzielić obu walczących.

- No co, tak mi kazała! - mówił lodziarz. - Jakaś kobieta kazała mi walnąć faceta, który siedzi na ławce przy fontannie.

Rzuciłam się na Eddiego Kuntza.

- Ty idioto! Siedziałeś na złej ławce!

- Fontanna, maszt... kto by to wszystko zapamiętał?

Aluminiowy talerz i kawałki czekoladowego ciasta z kremem leżały zapomniane na ziemi. Pogmerałam w nich i znalazłam karteczkę schowaną w plastikowej torebce. Schowałam ją, oblepioną czekoladą i wszystkim innym, do torebki.

- Co to było? - spytała Joyce. - Co tam schowałaś?

- Ciasto. Dla mojego chomika.

Złapała mnie za pasek torebki.

- Chcę to zobaczyć.

- Puszczaj!

- Nie puszczę, dopóki nie zobaczę, co schowałaś!

- Co się dzieje? - odezwała się Lula za jej plecami.

- Nie mieszaj się, gruba - warknęła Joyce.

- Gruba - powtórzyła Lula, mrużąc oczy. - Kto jest gruby?

- Ty jesteś gruba, wielka beko smalcu!

Lula wyciągnęła rękę do Joyce, która jakoś dziwnie pisnęła i osunęła się na ziemię.

Wszyscy odwrócili się w jej stronę.

- Chyba zemdląła - wyjaśniła Lula. - Pewnie nie mogła znieść widoku walczących mężczyzn.

- Wszystko widziałam! - syknęłam. - Trzasnęłaś ją z elektrycznego pistoletu!

- Kto, ja?

- Tak nie wolno! Nie można strzelać do ludzi tylko dlatego, że cię obrażają.

- Och, najmocniej przepraszam. Nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Joyce zaczęła dochodzić do siebie.

- Co się stało? - wymamrotała. - Piorun we mnie uderzył?

Kuntz przysunął się do mnie nieznacznie.

- Podoba mi się to ubranko. Może się umówimy?

- Nie!

- Spróbuj ze mną - odezwał się Sally. - To moja peruka. I na pewno nie wyglądałbym źle w tej spódniczce.

- Matko! - powiedział Kuntz i zamknął oczy. - On jest z tobą?

- No pewnie, że jestem z nią - przyświadczył Sally. - Rozmawiasz, kurna, z kryptografem. Należę do drużyny.

Świetna drużyna - warknął Kuntz. - Zboczek i grubaska.

Lula ruszyła na niego.

Po pierwsze, pozwól, że ci coś wyjaśnię. Nie jestem gruba. Tak się składa, że jestem dużą kobietą. - Sięgnęła do torebki i wyciągnęła elektryczny pistolet. - Po drugie, co byś zrobił, gdybym ci usmażyła mózg, ty głupi, przerośnięty gorylu?

- Nie! - krzyknęłam. - Nie usmażysz mu mózgu!

- On się przeżywa! Powiedział, że Sally jest zbrodniarzem!

- No dobrze - ustąpiłam. - Ale tylko raz. I już nigdy więcej.

Lula spojrzała na pistolet.

- Cholera, bateria mi się wyczerpała. Muszę włożyć silniejszą.

Kuntz podniósł obie ręce w geście mówiącym „poddaję się, wynajęłam nieudaczników”, po czym odszedł. Parę osób dźwignęło Joyce z ziemi. A my wróciliśmy do samochodu.

- Więc o co wzięłyście się za łby z tą Joyce? - spytała Lula.

- Mam następną wiadomość. Od razu odgadłam, że to ciasto jest przeznaczone dla Eddiego Kuntza, i domyśliłam się, że w środku jest wiadomość. - Wyciągnęłam karteczkę z torby. - Ha!

- Ja cię kręcę! - ucieszyła się Lula. - Jesteś boska, kobieto!

- Jesteśmy jak drużyna A - dodał Sally.

- Tak, ale w drużynie A nie było drag queen - zauważyła Lula.

- Mr. T lubił biżuterię. Mógłbym nim być.

- O nie. To ja chcę być Mr. T, bo zauważ, że Mr. T jest duży i czarny. Tak jak ja. Sally wyjął kartkę z plastikowej torebki.

- Interesujące. Szyfry ciągle się zmieniają. Ten jest bardziej skomplikowany niż poprzednie.

- Potrafisz go odczytać?

- Jestem mistrzem czy nie? No. Tylko daj mi trochę czasu.

Wbiegłam po schodach. Przed moimi drzwiami stała pani Delgado, pan Weinstein, pani Karwatt i Leanne Kokoska.

- Co znowu? - spytałam.

- Ktoś zostawił ci wiadomość - powiedziała pani Karwatt. - Zauważyłam, kiedy szłam do śmietnika.

- Niezła - dodała pani Delgado. - To pewnie któryś z tych złoczyńców, co to ich ścigasz.

Podeszłam i spojrzałam. Wiadomość została nagryzmołona na drzwiach czarnymi pisakiem. Brzmiała jak następuje: „Nienawidzę cię! Spodziewaj się zemsty!”

- Kto to mógł zrobić? - chciała wiedzieć Leanne. - Prowadzisz niebezpieczną sprawę? Ścigasz mordercę?

Prawdę mówiąc, nie miałam najbłedszego pojęcia, kogo właściwie ścigam.

- Niezmywalny - ocenił pan Weinstein. - Za cholerę nie zejdzcie. Pewnie będziesz musiała to zamalować.

- Zadzwońię do Dillona - mruknęłam i włożyłam klucz do zamka. - Dillon się tym zajmie.

Dillon Ruddick to dozorca, naprawi wszystko za jeden uśmiech i skrzynkę piwa.

Ukryłam się w mieszkaniu, a moi sąsiedzi ruszyli na poszukiwanie nowych przygód. Założyłam łańcuch oraz zasuwę i poszłam do kuchni. Na sekretarce migąło światelko. Jedna wiadomość.

Przesłuchałam ją.

„Tu Helen Badijian, kierowniczką z delikatesów. - Cisza i jakieś szelesty. - Zostawiła pani swoją wizytówkę. Prosiła pani o telefon, jeśli będę miała nowe informacje o Maxine Nowicki”.

Wykręciłam numer sklepu. Odebrała Helen.

- Teraz jestem bardzo zajęta - powiedziała. - Proszę przyjechać później, może koło dziesiątej. Chyba coś mam.

Powoli zaczęłam dochodzić do wniosku, że ten dzień jest do pewnego stopnia udany. Sally pracował nad szyfrem, a kobieta ze sklepu mogła mieć dla mnie nowy ślad.

- To trzeba uczcić - zwróciłam się do Rexa, starając się zignorować fakt, a wiadomość na drzwiach wytrąciła mnie nieco z równowagi. - Chrupki dla wszystkich.

Zajrzałam do kredensu, ale nie znalazłam w nim chrupek. Ani ciasteczek, ani platków śniadaniowych, ani spaghetti, ani żadnej zupy, ani masła orzechowego. Na drzwiach kredensu przyklejona była karteczka. Lista zakupów. Napis na niej głosił: kupić wszystko.

Odkleiłam ją i schowałam do torebki, żeby czasem nie zapomnieć, czego potrzebuję. Położyłam rękę na klamce i w tej samej chwili zadzwonił telefon.

Niestety, Kuntz.

- I co, spotkamy się na drinka?

- Nie. Żadnych drinków.
- Twoja strata. Widziałam, że grzebałaś w tym placku. Znalazłaś nową wiadomość?
- Tak.
- I...?
- I pracuję nad nią.
- Chyba nie robimy postępów. Ciągle tylko wiadomości i wiadomości.
- Może będzie coś więcej. Kierownicza ze sklepu dzwoniła do mnie i powiedziała, że coś ma. Później do niej wstąpię.
- Dlaczego później? Dlaczego nie teraz? Kuma chata, co się tak guzdrzesz? Zależy mi na tych listach.
- Może powinieneś mi powiedzieć, o co tu naprawdę chodzi. Trudno uwierzyć, że tak się trzęsiesz o parę listów.
- Mówiłem, są w nich krępujące rzeczy.
- Aha, już ci wierzę.

Spojrzałam w głąb wózka i zastanowiłam się, czy mam wszystko. Krakery i masło orzechowe na okazje, kiedy miałam ochotę na coś wyrafinowanego, ciasto czekoladowe na trudne chwile, chrupki dla Rexa, salsa - żeby mogła powiedzieć matce, że jem warzywa, lukrowane płatki kukurydziane - na wypadek gdybym musiała kogoś obserwować, oraz nachos do salsy.

W trakcie tej inwentaryzacji poczułam, że jakiś wózek uderza w mój. Podniosłam głowę. Ujrzałam babcię Mazurową za kierownicą i moją matkę o krok za nią.

Matka zamknęła oczy.

- Dlaczego ja? - spytała tragicznie.

- Ja cię kręcę - powiedziała babcia z uciechą.

Ciągle miałam na sobie perukę i krótką spódniczkę.

- Mogę to wyjaśnić...

- Gdzie popełniłam błąd? - rzuciła moja matka w próżnię.

- To przebranie!

Pani Crandle zatrzymała się tuż obok nas.

- Witaj, Stephanie, moja droga. Jak się miewasz?

- Dziękuję, dobrze.

- Świetne przebranie - syknęła moja matka. - Wszyscy cię

rozpoznają. I dlaczego ciągle musisz się przebierać za ladacnicę? Dlaczego nie możesz się przebrać za normalną osobę? - Zajrzała mi do wózka. - Sos do spaghetti! Kasjerka pomyśli, że nie potrafisz gotować!

Powieka zaczęła mi drgać.

- Muszę już lecieć.

- To na pewno świetne przebranie, żeby złapać mężczyznę - powiedziała babcia z ożywieniem. - Wyglądasz jak Marilyn Monroe. Czy to peruka? Może mi ją kiedyś pożyczysz? Chętnie bym sobie złapała mężczyznę.

- Spróbuj tylko jej pożyczyć tę perukę, a będziesz odpowiadać za wszystkie jej numery - zagroziła matka.

Rozpakowałam zakupy, zdjęłam perukę i zastąpiłam ją czapeczką Rangersów. Przebrałam się w szorty. Upchnęłam buty w stylu dziwki retro w najdalszym kącie szafy. Poczęstowałam Rexa chrupkami i chlapnęłam sobie piwa. Zadzwoiłam do Dillona, żeby opowiedzieć mu o drzwiach, a potem wyszłam na schodki pożarowe, żeby pomyśleć. Powietrze było ciężkie i nieruchome, na horyzoncie unosiła się mgielka. Parking pękał w szwach od samochodów. Staruszkowie przez cały dzień siedzieli w domu. Jeśli wychodzili na kolację, była to bardzo wczesna kolacja, a jeśli wybierali się do parku na pół dnia, wracali o szóstej. I wszystko załatwiali do piątej, żeby nie spóźnić się na „Koło fortuny”.

Większość spraw, które dostawałam od Vinniego, nie wykraczała poza normę. Zwykle szłam do ludzi, którzy poręczyli za pozwanego, i tłumaczyłam im, że tracą dom, jeśli pozwany się nie odnajdzie. W dziewięćdziesięciu procentach przypadków natychmiast się odnajdywał. Ta sprawa nie należała do tego przedziału. Co gorsze, była dziwna. Przyjaciółka obcina sobie palec, matka zostaje oskalpowana. W porównaniu z tym wszystkim zabawa w kotka i myszkę, którą Maxine zafundowała Eddiemu, wydawała się bardzo rozrywkowa. No i ta wiadomość na drzwiach. „Nienawidzę cię”. Kto mógł to napisać? Lista była długa.

Przecznicę dalej jakaś furgonetka ruszyła z miejsca, odsłaniając

czarnego jeepa cherokee. Joyce.

Pozwoliłam sobie na westchnięcie i osuszyłam butelkę piwa. Musiałam docenić wytrwałość tej kobiety. Uniosłam butelkę w toaście, ale nie zauważyłam odzewu.

Kłopot w tym, że zawodu łowcy nagród należy się nauczyć w ogniu walki. Czasami Ranger przychodzi mi z pomocą, ale nie zawsze jest w pobliżu, więc przeważnie kiedy pojawia się coś nowego, popełniam błędy tak długo, aż wpadnę na właściwe rozwiązanie. To tak jak z Joyce. Na razie nie miałam pojęcia, jak się jej pozbyć.

Weszłam do domu przez okno, wzięłam jeszcze jedną butelkę piwa i ciasteczko, wsadziłam sobie pod pachę przenośny telefon i wróciłam na schodki zjadłam ciastko, popiłam je piwem. Nie odrywałam spojrzenia od czarnego jeepa. Kiedy wykończyłam drugą butelkę piwa, zadzwoniłam do Rangera.

- No? - odezwał się.
- Mam problem.
- Jaki?

Wyjaśniłam mu całą sytuację, nie pomijając kwestii opony i epizodu w parku. Przez chwilę w słuchawce panowało milczenie. Wyczułam, że Ranger się uśmiecha. Wreszcie powiedział:

- Siedź tam, a ja sprawdzę, co można zrobić.

Nie minęło pół godziny, a na moim parkingu zatrzymało się BMW za dziewięćdziesiąt osiem tysięcy dolców. Ranger wysiadł i stanął, przyglądając się schodkom, na których siedziałam. Miał na sobie oliwkowy podkoszulek, tak obcisły, jakby ktoś mu go namalował na torsie, wojskowe spodnie i przyciemniane okulary. Zwyczajny facet, typowy dla Jersey.

Pokiwałam głową z uznaniem.

Ranger uśmiechnął się, zawrócił i pomaszerował do czarnego jeepa. Otworzył drzwiczki od strony pasażera i wsiadł. Tak po prostu. Gdybym to ja siedziała w tym samochodzie, drzwi byłyby zamknięte, a nikt podobny do Rangera nie próbowałby do mnie wsiąść. Ale ja to ja, a Joyce to Joyce.

Po pięciu minutach Ranger wysiadł i wrócił na mój parking. Dałam nura przez okno do mieszkania, pogalopowałam po schodach i zatrzymałam się tuż przed nim.

- No i co?

- Jak bardzo chcesz się jej pozbyć? Chcesz, żebym ją zastrzelił?
Złamał jej nogę?

- Nie!

Wzruszył ramionami.

- Więc będzie za tobą łązić.

Usłyszeliśmy odgłos zapuszczanego silnika. Oboje odwróciliśmy się i spojrzeliśmy za oddalającym się jeepem.

- Wróci - powiedział Ranger. - Ale nie dzisiaj.

- Jak ją przekonałeś?

- Powiedziałem, że zamierzam przez najbliższe dwanaście godzin odbierać ci ochotę na innych mężczyzn, więc może wracać do domu.

Poczułam, że robi mi się gorąco. Ranger uśmiechnął się drapieźnie.

- Skłamałem. To nie będzie dzisiaj.

Joyce odcepiała się przynajmniej na jakiś czas i nie musiałam się martwić, że pojedzie za mną do delikatesów. Wróciłam do swojego mieszkania, zrobiłam sobie kanapkę z masłem orzechowym i żelkami na kalorycznym, bezwartościowym białym chlebie, po czym oglądałam przez jakiś czas telewizję, aż nadeszła pora wyjazdu.

Przeważnie jestem zadowolona z tego, że mieszkam sama. Nie muszę się z nikim dzielić przestrzenią i wygodami. To moja dłoń trzyma pilota i nie muszę nikomu ustępować w kwestii rodzaju papieru toaletowego. Co więcej, dzięki temu doznaję nieśmiałego i pełnego nadziei uczucia, że jestem dorosła. Najgorsze chwile dzieciństwa zostały szczęśliwie poza mną. Widzicie, mówię całemu światu, mam własne mieszkanie. To dobrze, nie?

Ale dziś moja satysfakcja nieco się zwarzyła pod wpływem dziwacznej wiadomości na drzwiach. Dziś czułam się samotna i może nieco przestraszona. Dziś bardzo dokładnie sprawdziłam, czy wszystkie okna są zamknięte.

Jechałam okrężną drogą, co chwila sprawdzając we wstecznym lusterku czy ktoś mnie nie śledzi. Nie zauważyłam Joyce, ale

strzeżonego Pan Bój strzeże. Miałam wrażenie, że trafiłam na dobry ślad i nie chciałam go oddać wrogowi.

Do delikatesów dotarłam parę minut po dziesiątej. Przez jakiś czas siedziałam w samochodzie i czekałam na niespodziewane objawienie się Joyce. O dziesiątej zero pięć nigdzie nie dostrzegłam Joyce, ale - niestety - przez szybę sklepu nie widziałam również Helen Badijian. Za kasą stał jakiś młodzieniec rozmawiający ze starszym mężczyzną. Mężczyzna machał rękami i wyglądał jak wściekły władca. Młodziak tylko przytakiwał: tak, tak, tak.

Weszłam do sklepu i uchwyciłam koniec rozmowy.

- Nieodpowiedzialność! - grzmiał starszy facet. - Na coś takiego nie ma usprawiedliwienia!

Poszłam w głąb sklepu i rozejrzałam się dyskretnie. Nieobecność Helen była niezaprzeczalnym faktem.

- Przepraszam - zwróciłam się do chłopaka. - Myślałam, że Helen Badijian pracuje dziś w nocy.

Chłopak zerknął nerwowo na starszego faceta.

- Wyszła wcześniej.

- Muszę z nią porozmawiać, to bardzo ważne. Gdzie mogę ją znaleźć?

- Dziewczyno, to jest pytanie za sto dolarów - warknął starszy facet. Wyciągnęłam do niego rękę.

- Stephanie Plum.

- Arnold Kyle. Jestem właścicielem. Godzinę temu zadzwonili do mnie z policji. Dowiedziałem się, że mój sklep jest pozostawiony bez dozoru. Twoja przyjaciółka wyszła i nikogo nie powiadomiła. Nie zostawiła żadnej kartki. I w ogóle niczego. Nie miała nawet tyle przyzwoitości, żeby zamknąć sklep. Jakiś gość wszedł, żeby kupić papierosy, i zawiadomił policję, kiedy się okazało, że nikogo tu nie ma.

Doznałam bardzo nieprzyjemnego uczucia.

- Czy Helen była niezadowolona z pracy?

- Nic mi o tym nie mówiła - burknął Arnold.

- Może zachorowała i nie miała czasu zostawić wiadomości.

- Dzwoniłem do niej do domu. Nikt jej nie widział. Dzwoniłem do szpitala. To samo.

- Sprawdził pan wszystkie miejsca w sklepie? Magazyn? Piwnicę? Łazienkę?

- Wszystko.

- Czy Helen przyjeżdża do pracy samochodem?

Arnold spojrział na chłopaka.

- Jej wóz ciągle tu stoi - powiedział młody. - Zaparkowałem obok niego. To niebieska nova.

- Pewnie poszła z jakimś przyjacielem - wysunął przypuszczenie Arnold. - W obecnych czasach nikomu nie można ufać. Nikt nie ma poczucia odpowiedzialności. Nadchodzi odpowiednia pora i idą w tango.

Zwróciłam się do chłopaka:

- Czy zginęły jakieś pieniądze?

Pokręcił głową.

- Są jakieś ślady walki? Coś się przewróciło?

- Ja tu byłem pierwszy - wtrącił Arnold. - Wyglądało to tak, jakby ta kobieta po prostu wzięła torebkę i poszła.

Dałam im moją wizytówkę i wyjaśniłam, czego chciałam od Helen. Przez chwilę jeszcze szukaliśmy pozostawionej dla mnie wiadomości, ale nic nie znaleźliśmy. Podziękowałam im obu i poprosiłam, żeby do mnie zadzwonili, jeśli dowiedzą się czegoś o Helen. Położyłam dłonie na kontuarze, spuściłam wzrok wtedy to zobaczyłam. Małe pudełeczko zapalek z baru „Papuga” na Point Pleasant.

- To twoje? - spytałam chłopaka.

- Nie, ja nie palę.

Spojrzałam na Arnolda.

- Moje też nie.

- Czy mogę je zabrać?

- A rób, co chcesz.

W drodze powrotnej spojrzałam we wsteczne lusterko co najmniej sześćdziesiąt razy. nie przejmując się widmem nadciągającej paranoi. Nie chodziło mi o Joyce, raczej o tych, którzy przestraszyli albo porwali Helen Badijian. Jeszcze tydzień temu doszłabym do takiego samego wniosku co Arnold - że Helen odeszła. Teraz, wiedząc o odciętych palcach i oskalpowanych głowach, nie byłam tak pochopna w ocenie sytuacji.

Zaparkowałam przed domem, rozejrzałam się płochliwie, zrobiłam głęboki wdech i wyprysnęłam z samochodu. Wpadłam do budynku tylnym wejściem i pogalopowałam po schodach do swojego mieszkania. Deklaracja nienawiści w dalszym ciągu zdobiła moje drzwi. Nie mogłam złapać tchu, a ręka tak mi się trzęsła, że z trudem trafiłam kluczem do dziurki w zamku.

To głupie, powiedziałam do siebie. Weź się w garść! Ale nie wzięłam się w garść więc zamknęłam drzwi na klucz i sprawdziłam, czy pod łóżkiem, w szafach i w łazience nikt się nie ukrył. Kiedy zyskałam całkowitą pewność, że jestem bezpieczna poszłam do kuchni i wrębałam całe czekoladowe ciasto, żeby się uspokoić.

Następnie zadzwoniłam do Morellego, opowiedziałam mu o Helen i poprosiłam, żeby się nią zajął.

- A o co konkretnie ci chodzi?

- Nie wiem. Może mógłbyś sprawdzić, czy nie ma jej w kostnicy. Albo czy nie leży w szpitalu z jakąś przyszytą częścią ciała. A może mógłbyś poprosić kolegów, żeby jej poszukali.

- Arnold może mieć rację. Ta Helen pewnie siedzi w barze z przyjaciółmi.

- Naprawdę tak myślisz?

- Nie. Tak tylko mówię, żebyś mi nie zawracała głowy. W telewizji leci mecz.

- Jest coś jeszcze, o czym ci nie powiedziałam.

- O cholera.

- Tylko Eddie Kuntz wiedział, że mam się spotkać z Helen Badjian.

- I sądzisz, że mógł jej dopaść przed tobą.

- Coś takiego przeszło mi przez myśl.

- Wiesz co, bywało, że zadawałem sobie pytanie: jak ona to robi? Gdzie znajduje tych wszystkich popaprańców? Ale teraz już nawet nie pytam. Doszedłem do takiego stanu, że tego właśnie się po tobie spodziewam.

- Więc pomożesz mi czy nie?

ROZDZIAŁ 6

Bardzo nie podobała mi się myśl, że mogłabym być odpowiedzialna za zniknięcie Helen. Morelli zgodził się zadzwonić w parę miejsc, ale ciągle czułam się nieusatisfakcjonowana. Wyjęłam z kieszeni zapalniczki z baru „Papuga” i przyjrzałam się im uważnie. Na wewnętrznej stronie skrzydełka nie zauważyłam żadnych pospiesznie nagryzmołonych wiadomości. Z tego względu nie mogłam przypuszczać, że zapalniczki należały do Maxine. Mimo to postanowiłam pojechać z samego rana do Point Pleasant.

Zaczęłam szukać w książce telefonicznej nazwiska Badijian. Znalazłam trzy. Przy żadnym nie stało imię Helen. Dwa znajdowały się w Hamilton. Jedno w Trenton. Zadzwoniłam na ten ostatni numer i porozmawiałam z jakąś kobietą, która powiedziała, że Helen jeszcze nie wróciła z pracy. Łatwizna. Ale nie o to mi chodziło. Chciałam usłyszeć, że Helen jest w domu.

No dobrze, pomyślałam, może muszę wkroczyć do akcji osobiście. Zajrzeć przez okno do mieszkania Kuntza i przekonać się, czy nie ma tam przywiązanej do krzesła Helen. Opasałam się czarnym elastycznym pasem i wypchałam jego kieszenie różnościami. Pieprz w aerozolu, pistolet elektryczny, kajdanki, latarka, trzydziestkaósemka. Zastanowiłam się, czyjej nie naładować, ale postanowiłam się wstrzymać. Naładowana broń mnie przeraża.

Włożyłam granatową kurtkę i wepchnęłam włosy pod czapkę baseballową. W drzwiach minęłam panią Zuppa, wracającą z salonu bingo.

- O, idziesz do pracy - powiedziała, oparta ciężko na lasce. - Co tam masz?

- Trzydziestkąósemkę.

- Ja wolę dziewięć milimetrów.

- Dziewiątka też jest dobra.

- Łatwiej jej używać, kiedy się ma protezę biodra i trzeba chodzić o lasce.

Oto użyteczna informacja, którą należy zapamiętać i wyciągnąć na światło dzienne po ukończeniu osiemdziesięciu trzech lat.

O tej porze ruch był niewielki. Parę samochodów na Olden. Na Muffet pusto. Zaparkowałam za rogiem na Cherry Street, o przecznicy od Kuntza, i poszłam i piechotą. W obu połowach domu paliło się światło. Rolety podniesione. Leo i Betty leżeli w fotelach, ramię w ramię, i przyglądali się, jak Bruce Willis wykrwawia się w telewizorze.

Eddie gadał przez telefon. Był to telefon przenośny, a Eddie miotał się po kuchni jak ranny zwierz.

Domy sąsiadów były pogrążone w ciemnościach. W budynku naprzeciwko okna były oświetlone, ale poza tym nie zauważyłam śladu życia. Wśliznęłam się pomiędzy domy, unikając plam światła na trawniku. Zakradłam się na tyły domu Kuntza. Wychwyciłam strzępy rozmowy. „Tak, kocham cię” - mówił Kuntz. „Tak, jesteś boska”. Stałam w głębokim cieniu i spoglądałam przez okno. Kuntz był odwrócony do mnie tyłem. Był sam i nigdzie nie widziałam odciętych części ciała. Ani Helen przykutej do kuchenki. Nie dobiegły mnie nieludzkie krzyki z piwnicy. Jedno wielkie rozczarowanie.

Oczywiście nie zapominajmy, że Jeffrey Dahmer trzymał trofea w lodówce. Może powinnam wejść od frontu, powiedzieć Kuntzowi, że akurat przechodziłam i pomyślałam, że wstąpię na drinka. A potem podstępnie zajrzeć mu do lodówki.

Rozważałam ten pomysł, kiedy ktoś dłonią zasłonił mi usta i odciągnął mnie od domu. Zaczęłam wierzgać, a serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Wreszcie oswobodziłam rękę i chwyciłam pieprz w aerozolu. Jednocześnie usłyszałam znajomy szept.

- Skoro tak bardzo chcesz za coś chwycić, ja ci się nadam lepiej niż ten wieprz.

- Morelli!

- Co ty tu robisz, do cholery?

- Prowadzę śledztwo, a co myślałeś?

- Że naruszasz prawo do prywatności Eddiego Kuntza. - Rozchylił poły mojej kurtki i spojrzał na pas z bronią. - A gdzie granaty?

- Bardzo śmieszne.

- Zbieraj się.

- Jeszcze nie skończyłam.

- Owszem, skończyłaś. Znalazłem Helen.

- Mów!

- Nie tutaj. - Wziął mnie za rękę i pociągnął za sobą w stronę ulicy,

Na ganku Eddiego włączyło się światło i skrzypnęły drzwi,

- Kto tam?

Zamarliśmy, przytuleni do ściany. Po chwili otworzyły się drugie drzwi.

- Co się dzieje? - spytał Leo.

- Ktoś kręci się wokół domu. Słyszałem jakieś głosy.

- Betty! Przynieś latarkę. I włącz światło na ganku.

Morelli dał mi kuksańca.

- Leć do swego samochodu.

Pobiegłam, kryjąc się w cieniu, przez podjazd sąsiadów Eddiego i cudze trawniki, aż do Cherry Street. Przelazłam przez siatkę, noga mi uwięzła i runęłam głową naprzód na trawę.

Morelli podniósł mnie za pas z bronią i pociągnął za sobą.

Jego furgonetka znajdowała się tuż za moją hondą. Wskoczyliśmy do samochodów i ruszyliśmy na złamanie karku. Zatrzymałam się dopiero w przyjaznym otoczeniu mojego parkingu.

Wysiadłam, zamknęłam samochód i przybrałam pozę, która w moim zamierzeniu miała być niedbała, jeśli nie liczyć faktu, że miałam podrapane kolana i od stóp do głów byłam usmarowana na zielono sokiem z trawy.

Morelli stanął przede mną z rękami w kieszeniach.

- Ludzie tacy jak ty nawiedzają policjantów w koszmarnych snach - powiedział.

- Co z Helen?

- Nie żyje.

Serce przestało mi bić.

- To straszne!

- Znaleziono ją w zaułku o cztery przecznice od delikatesów. Nie wiem nic poza tym, że prawdopodobnie walczyła.

- Jak zginęła?

- Nie wiemy na pewno, trzeba poczekać na wyniki sekcji. Ale miała siniak na szyi.

- Ktoś ją udusił?

- Tak to wygląda. - Morelli zamilkł na chwilę. - Jest coś jeszcze. I to wiadomość prywatna. Mówię ci to, żebyś uważała. Ktoś odciął jej palec.

Poczułam narastające mdłości. Spróbowałam zaczerpnąć oddechu. Wśród nas grasuje potwór... ktoś o chorym, pokreślonym umyśle. A ja poszczułam go na Helen Badijian.

- Nienawidzę tej roboty - powiedziałam. - Nienawidzę przestępców i zbrodni, i ludzkiego cierpienia. I nienawidzę strachu. Na początku byłam zbyt głupia, żeby się bać. Teraz boję się na okrągło. I jakby to było mało, zabiłam Helen Badijian.

- Nieprawda. Nie możesz się o to obwiniać.

- Jak sobie z tym radzisz? Jak możesz codziennie iść do pracy wiedząc, co cię czeka?

- Ludzie są w większości dobrzy. Ciągle to sobie powtarzam, żeby nie stracić odpowiedniej perspektywy. To tak jak z koszykiem brzoskwiń. Gdzieś w środku jedna brzoskwinia jest zgniła. Ty ją znajdujesz i usuwasz. I myślisz: tak to już jest z tymi brzoskwiniami... dobrze, że byłem w pobliżu i zapobiegłem dalszej zgniliznie.

- A strach?

- Trzeba się skoncentrować na robocie, nie na strachu.

Łatwo powiedzieć, pomyślałam.

- Zakładałam, że przyszedłeś pod dom Kuntza po mnie?

- Zadzwoń do ciebie, żeby ci przekazać wieści. Nie było cię w domu. Zadałem sobie pytanie, czy jesteś na tyle głupia, żeby śledzić Kuntza. Odpowiedź była twierdząca.

- Sądzisz, że Kuntz zabił Helen?

- Trudno powiedzieć. Jest czysty. Nie był notowany. Wiedział, że masz się spotkać z Helen, ale to może nie mieć żadnego znaczenia. Może jest ktoś inny, kto pracuje zupełnie niezależnie i wpada na te same ślady co ty.

- Ktokolwiek to jest, udało mu się mnie wyprzedzić. Pierwszy dotarł do Helen.

- Mogła nie wiedzieć zbyt wiele.

To było całkiem możliwe. Może miała tylko te zapalki.

Morelli spojrział na mnie twardym wzrokiem.

- Nie pójdziesz znowu do Kuntza, co?
- Nie dziś.

Sally zadzwonił w chwili, kiedy siedziałam nad ekspresem i czekałam, aż kawa przestanie kapać.

- Szyfr był fajny, ale wiadomość nudna - powiedział. - „Następna wiadomość jest w pudełku z dużym czerwonym iksem”.

- I tyle? Żadnych wskazówek, gdzie ma być to pudełko?

- Tylko tyle. Chcesz tę kartkę? Trochę się podarła. Kiki sprzątała dziś w kuchni i niechcący wrzucił ją do niszczarki. Miałem fuksa, że ją znalazłem.

- Ciągłe się wścieka?

- Nie. To jeden z tych, co ciągle sprzątaję i gotuję. Wstał o świcie i zrobił grzanki, smażoną kielbasę, świeży sok z pomarańczy, omlet z grzybami, wsadził do piekarnika ciasto czekoladowe, wyszorował kuchnię do połysku i pojechał, żeby kupić nowe poduszki na kanapę.

- Cholera. Bałam się, że jest zły, bo pożyczyłam tę perukę.

- Nie. Dziś był jak ten anioł. Powiedział, że możesz pożyczać peruki, ile razy zechcesz.

- Co za facet!

- Aha, i robi zajebiste wafle. Mam o dziesiątej próbę w Hamilton. Mogę ci po drodze podrzucić wiadomość.

Nalałam sobie kubek kawy i zadzwoniłam do Eddiego Kuntza.

- Była tu! - obwieścił ponuro. - Ta dziwka mnie wczoraj podglądała! Rozmawiałem przez telefon i usłyszałem jakieś głosy na zewnątrz, więc wybiegłem, ale uciekła. Było ich dwie, Maxine i jeszcze jakaś. Pewnie jedna z jej walniętych koleżanek.

- Jesteś pewien, że to Maxine?

- No a kto?

Ja, ty debil.

- Mam rozpracowaną wiadomość z placka. Następna wiadomość będzie w pudełku z dużym czerwonym iksem. Widzisz jakieś pudełko na trawniku?

- Nie. Wyglądam przez okno i nie widzę żadnych pudełek.

- A na tyłach domu?

- To idiotyzm. Wiadomości, pudełka... Cholera, znalazłem. Jest na tylnych schodkach. Co mam zrobić?

- Otworzyć.

- Nigdy. Zapomnij. Tam może być bomba.

- Słuchaj, Kuntz, tam nie ma bomby.

- Skąd wiesz?

- To nie w stylu Maxine.

- Powiem ci coś o Maxine. Ona nie ma żadnego stylu. Maxine jest chora. Jeśli jesteś jej taka pewna, to przyjedź i sama otwórz to pudełko.

- Świetnie. Żebyś wiedział, przyjadę i otworzę. Zostaw je tam, gdzie jest, a ja zaraz tam będę.

Skończyłam kawę i nasypałam Rexowi chrupki o smaku papryki.

- Oto plan na ten dzień - powiedziałam. - Zaczekać na Sally'ego. Potem pojechać do Kuntza i otworzyć pudełko. A potem spędzić resztę dnia w Point Pleasant, szukając Maxine. Fajny plan, nie?

Rex wycofał się ze swojej puszki po zupie, wepchnął sobie do policzków wszystkie chrupki i znowu się schował. Tyle na ten temat.

Zastanawiałam się właśnie, czy po drugiej filiżance kawy dostanę palpitanie serca, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Otworzyłam je i spojrzałam na posłańca z kwaciarni, prawie niewidocznego zza ogromnego bukietu.

- Stephanie Plum?

- Tak!

- Dla pani.

Rany! Kwiaty. Uwielbiam dostawać kwiaty. Wzięłam bukiet i cofnęłam się do wnętrza mieszkania. A posłaniec kwaciarni wszedł razem ze mną i wymierzył we mnie broń. Miałam przed sobą Maxine.

- Oj, oj - powiedziała z naganą. - Nabrałaś się na ten stary numer z bukietem. Co jest, wczoraj z drzewa zesłaś?

- Wiedziałam, że to ty. Chciałam z tobą porozmawiać, więc udawałam, że i mnie nabrałaś.

- Taaa, jasne. - Maxine zamknęła kopniakiem drzwi i rozejrzała

się. - Połóż kwiaty na stole i stań przy lodówce, ręce na drzwiach,

Posłuchałam, a ona przykuła mnie kajdankami do uchwytu lodówki,

- Teraz porozmawiamy - oznajmiła z satysfakcją. - Chcę zawrzeć z tobą umowę. Przestań mi utrudniać życie, to nie umrzesz.

- Naprawdę byś mnie zastrzeliła?

- Bez wahania.

- Nie sądzę.

- Ooo, spryciulka.

- O co chodzi z tymi wiadomościami?

- Wiadomości są dla tamtego idioty. Niech skacze tak, jak ja kiedyś. Ale ty musiałaś się w to wmieszać i odwalić za niego całą brudną robotę. Jak on to robi? Co te baby w nim widzą?

- Mogę mówić tylko za siebie. Robię to dla pieniędzy.

- Idiotka ze mnie. Ja to robiłam za darmo.

- Tu się dzieje coś więcej. Coś poważnego. Wiesz, że ktoś przeszukał twoje mieszkanie? Wiesz o Margie i twojej matce?

Nie chcę się w to zagłębiać. Na razie nie mogę nic na to poradzić. Ale mogę ci coś powiedzieć. Zamierzam wycisnąć z tego sukinsyna Eddiego Kuntza wszystko do ostatniej kropelki. Zapłaci mi za wszystko.

- Na przykład za oskalpowanie twojej matki?

- Na przykład za to, że złamał mi nos. I za te wszystkie wieczory, kiedy się upijał i mnie bił. I za to, że mnie zdradzał. I kradł mi wypłatę. I kłamał, że się ze mną ożeni. Właśnie za to mi zapłaci.

- Powiedział, że masz jego listy miłosne.

Maxine odchyliła głowę i wybuchnęła śmiechem. Był to miły, szczerzy śmiech, który pewnie by się mi udzielił, gdybym nie była przykuta do lodówki.

- Tak ci powiedział? A to dobre! Eddie Kuntz i listy miłosne. Pewnie wierzysz też, że bociany przynoszą dzieci?

- Słuchaj, ja tylko próbuję pracować.

- Tak, a ja próbuję żyć. Teraz dam ci radę. Zapomnij o mnie, ponieważ mnie nigdy nie złapiesz. Jestem tu tylko po to, żeby się zabawić z tym idiotą, a potem się zmywam. Jak tylko przestanę się

pastwić nad Kuntzem, już mnie tu nie ma.

- Masz na to pieniądze?

- Mam więcej pieniędzy niż gwiazd na niebie. Teraz powiem ci coś o tym pudełku. Jest pełne psich gówienek. Przez cały dzień chodziłam po parku z szufelką. Wiadomość jest w środku. Życzę sobie, żeby idiota w tym pogrzebał. I wierz mi chce mnie znaleźć tak bardzo, że odważy się na wszystko. Więc daj spokój i mu nie pomagaj.

Przeszył mnie zimny dreszcz. Psie gówienka. Nooo...

- Właśnie to chciałam ci powiedzieć - dodała Maxine. - Poszukaj sobie kogoś innego i przestań mu pomagać.

- To ty zostawiłaś mi tę wiadomość na drzwiach?

Odwróciła się do wyjścia.

- Nie, ale fajny ten tekst.

- Chyba zostawisz mi kluczyki do kajdanek, co?

Maxine obejrzała się, mrugnęła do mnie i wyszła.

Psiakrew!

- Nie tylko ja cię ścigam! - wrzasnęłam. - Uważaj na tę lafiryndę Joyce Bamhardt!

Cholera. Poszła sobie. Szarpnęłam kajdankami, ale dobrze trzymały. W zasięgu ręki nie miałam noży ani innych przydatnych kuchennych akcesoriów. Telefon stał za daleko. Mogłam wrzeszczeć do końca świata, a pan Wolensky z naprzeciwka i tak by mnie nie usłyszał przez ryk telewizora. Myśl, Stephanie, myśl.

- Ratunku!!! - zawyłam. - Ratuunku!

Nikt nie zjawił się z odsieczą. Po pięciu minutach wrzasków poczułam zbliżającą się migrenę. Przestałam się drzeć i zaczęłam szukać w lodówce czegoś, co by stłumiło ból. Ciasto z bananowym kremem. Zostało trochę z niedzieli. Zjadłam je i popiłam mlekiem. Ciągle byłam głodna, więc pożarłam jeszcze torebkę małych marchewek oraz trochę masła orzechowego. Przy ostatniej marchewce ktoś zapukał do drzwi.

Wróciłam do wrzasków.

Drzwi się otworzyły i Sally wsadził głowę do środka,

- Kurewsko podniecające - zauważył. - Kto cię przykuł do lodówki?

- Miałam małą scysję z Maxine.

- I chyba przegrałaś?
- Pewnie jej nie widziałeś na parkingu?
- Nie.

Przed wszystkim bałam się, że Maxine zniknie bez siada. A poza tym nie mogłam znieść myśli, że Joyce dopadnie jej przede mną.

- Zejdź do piwnicy i sprowadź Dillona, dozorcę. Poproś go, żeby przyszedł z piłą do metalu.

Po dwudziestu minutach nadal miałam na przegubie bransoletkę, ale przynajmniej nie stanowiłam już całości z lodówką. Sally wyszedł na próbę. Dillon zszedł do piwnicy z sześcioma puszkami piwa pod pachą. A ja spóźniłam się na spotkanie z pudełkiem pełnym psich kupek.

Zbiegłam po schodach i wypadłam na zewnątrz. Zamierzałam podbiec do swego samochodu, ale w tej samej chwili ujrzałam Joyce, powolutku wjeżdżającą na parking.

- Joyce! - zawołałam. - Dawnośmy się nie widziały. - Zajrzałam do jej samochodu, szukając Maxine. - Ciągłe za mną jeździsz?

- Coś ty. Mam lepsze zajęcie niż siedzenie przez cały dzień w jednym miejscu po to, żeby zobaczyć, jak ktoś obrywa w mordę plackiem. Przyszłam się z tobą pożegnać.

- Poddajesz się?
- Zmądrzałam. Nie potrzebuję ciebie, żeby odnaleźć Maxine.
- Ach tak? A to dlaczego?

- Wiem, gdzie się chowa. Mam swojego człowieka, który wie wszystko o transakcjach Maxine. Szkoda, że nigdy nie pracowałaś w handlu detalicznym, tak jak ja. Mam mnóstwo powiązań.

Szyba podniosła się i Joyce ruszyła z piskiem opon.

Świetnie. Ta cholera ma swojego człowieka.

Podeszłam do hondy i zauważyłam, że ktoś włożył za wycieraczkę jakiś liścik

„Zemszczę się, mówię to poważnie. Obserwuję cię i wiem, że on u ciebie był. To ostatnie ostrzeżenie. Odczep się od mojego chłopaka! Kiedy następnym razem obleję cię benzyną, zapalę zapalnię”.

A zatem chodziło o czyjegoś chłopaka. Jedynym kandydatem, który przyszedł mi na myśl, był Morelli. Uch! I pomyśleć, że

prawie poszłam z nim do łóżka. Zamknęłam oczy. Dałam się nabrać na tę gadkę o braku kondomów. Chyba oszalałam! Powinnam wiedzieć, że Morelli łyże jak pies. I bez trudu odgadłam, kim jest ta porzucona dziewczyna. Terry Gilman. Liścik nosił na sobie znak firmowy mafii. Connie mówiła, że Terry jest ich człowiekiem.

Powąchałam samochód. Benzyna. Dotknęłam maski. Jeszcze mokra. Puszczona kantem dziewczyna Morellego dopiero co tu była. Pewnie zrobiła to wszystko, kiedy byłam przykuta do lodówki. No i co z tego, pomyślałam. Pojadę do myjni.

Włożyłam kluczyk w drzwi bardziej z przyzwyczajenia niż rozmyślnie. Kluczyk się nie obrócił, co oznaczało, że drzwi nie są zamknięte. Przyjrzałam się dokładniej i ujrzałam zarysowania lakieru tuż przy szybie. Ktoś wyłamał mi zamek.

Poczułam, że to jeszcze nie koniec złych wieści.

Zerknęłam przez okno. Niczego nie brakowało. Radio było nietknięte. Otworzyłam drzwi od strony kierowcy; stężony odór benzyny prawie powalił mnie na kolana. Dotknęłam siedzenia. Przemoczone. Maty na podłodze też były mokre.

Wszędzie chlupotała benzyna.

Cholera! Niech szlag trafi tego Morellego! Byłam na niego wściekła bardziej i niż na Terry. Rozejrzałam się po parkingu. Pusto.

Wyrwałam z torebki telefon komórkowy i zaczęłam dzwonić. Numer domowy Morellego nie odpowiadał. Ani numer w pracy. Ani jego telefon w samochodzie. Kopnęłam oponę samochodu i rzuciłam parę bardzo pomysłowych inwektyw.

Mój samochód stał w pewnym oddaleniu od wszystkich innych. Wydawało się, że będzie najbezpieczniej, jeśli zostawię go, żeby trochę wywietrzał. Otworzyłam wszystkie okna, wróciłam do domu i zadzwoniłam do Luli.

- Przyjedź po mnie - powiedziałam grobowym głosem. - Mam kłopoty.

- No dobrze, a teraz opowiedz mi o tym pudełku - zażądała Lula, zatrzymując firebirda przed domem Kuntza.

- Maxine mówi, że są w nim psie kupki, więc nie powinniśmy

go dotykać.

- Wierzysz jej? A jeśli to bomba?

- Nie sądzę.

- Ale czy jesteś pewna?

- No... nie.

- Coś ci powiem. Zostanę na ganku. Nie chcę się zanadto zbliżać.

Wysiadłam i ruszyłam na tyły domu. Rzeczywiście, na schodkach stało pudełko, niezbyt duże, masywne, zapieczętowane taśmą i oznaczone czerwonym iksem.

Kuntz stał za drzwiami.

- Co tak długo?

- Masz szczęście, że w ogóle przyjechałyśmy - powiedziała Lula. - A jeśli nie zmienisz nastawienia, możemy w ogóle dać sobie spokój. No i co o tym sądzisz?

Kucnęłam i zbadalam pudełko. Nic nie tykało. Nie śmierdziało psim łajnem. Nie zauważyłam napisów „Ostrożnie, materiały wybuchowe”. Spójrzmy prawdzie w oczy, w tym pudełku mogło być wszystko. Na przykład mina przeciwpiechotna z akcji „Pustynna Burza”.

- Według mnie wszystko w porządku - zwróciłam się do Kuntza. - Możesz otworzyć.

- Jesteś pewna?

- No wiesz! - Lula się obraziła. — Masz przed sobą profesjonalistki. Znamy się na tym. Dobrze mówię, Stephanie?

- Dobrze.

Kuntz przyjrzał się pudełku. Rozprostował palce, aż kostki mu strzeliły, i zacisnął usta.

- Niech szlag trafi tę Maxine. - Wyjął z kieszeni wojskowy scyzoryk i pochylił się nad pudełkiem.

Lula i ja dyskretnie cofnęłyśmy się o krok.

- Na pewno? - spytał znowu Kuntz.

- Na pewno. - Kolejny krocze.

Kuntz przeciął taśmę klejącą, rozchylił skrzydełka i zajrzał do środka. Nic nie wybuchło, ale i tak zachowywałyśmy stosowny dystans.

- Co jest? - powiedział nagle Kuntz i pochylił się niżej. - Co to?

Jakby pudding czekoladowy w plastikowej torebce.

Lula i ja wymieniliśmy spojrzenia.

- Wiadomość jest chyba w tej torebce - dodał Kuntz. Dotknął jej palcem, skrzywił się i wydał z siebie dziwny dźwięk.

- Coś nie tak? - spytała Lula.

- To nie jest pudding.

- Spójrz na to od lepszej strony. Nie wybuchło, no nie?

- O jejuniu, jak późno - odezwałam się, pukając palcem w zegarek. - Muszę się zbierać.

- Tak, ja też - dodała Lula. - Mam masę roboty.

Kuntzowi krew odpłynęła z twarzy.

- A wiadomość?

- Możesz do mnie zadzwonić wieczorem albo nagraj się na sekretarkę. Wystarczy, jak przeczytasz litery.

- Ale...

Nie wiem, co jeszcze powiedział, bo już byliśmy przy samochodzie.

- I co dalej? - chciała wiedzieć Lula. - Coś takiego trudno przebić. Nie co dzień widuje się pudełko pełne psich kupek.

- Muszę znaleźć Maxine. Nie tylko ja wiem, że zatrzymała się w Point Pleasant. Niestety, mój samochód jest unieruchomiony i najpierw muszę się nim zająć. Znowu spróbowałam złapać Morellego. Dodzwoniłam się pod numer telefonu w samochodzie.

- Była u mnie twoja dziewczyna - powiedziałam.

- Nie mam żadnej dziewczyny.

- Akurat!

Opowiedziałam mu o napisie na drzwiach i o tym, co się stało z moim samochodem.

- Dlaczego uważasz, że to moja dziewczyna? - zdziwił się Morelli.

- Nie przychodzi mi na myśl nikt inny, kto by potrafił tak ogłupić kobietę.

- Doceniam komplement, ale z nikim nie jestem związany. Od dawna.

- A Terry Gilman?

- Terry Gilman nie oblałaby ci samochodu benzyną. Terry Gilman zapukałaby grzecznie do twoich drzwi, a następnie

wyłupiłaby ci oczy.

- Kiedy ją ostatnio widziałeś?

- Jakiś tydzień temu. Wpadłem na nią w delikatesach Fiorellego. Miała na sobie taką krótką dzinsową spódniczkę i wyglądała bardzo ładnie, ale w tej chwili nie jest to kobieta mojego życia.

Zmrużyłam oczy.

- A kto jest kobietą twojego życia?

- Ty.

- O. Więc co mają znaczyć te pretensje o chłopaka?

- Może to Maxine. Powiedziałaś, że wszystko to miało miejsce po tym, jak przykuła cię do lodówki.

- I chodzi jej o Kuntza? No, nie wiem. Coś mi tu nie pasuje.

Lula zaparkowała obok mojej hondy i wysiadła razem ze mną, żeby oszacować szkody.

- Nie mam pojęcia, jak zdołasz się pozbyć takiej ilości benzyny - powiedziała. - Jest wszędzie. Nawet na zewnątrz. Widzę tu całe kałuże.

Powinno zgłosić to na policji. Powinno zadzwonić do mojego towarzystwa ubezpieczeniowego. Powinno oddać samochód do profesjonalnego czyszczenia. Zdaje się, że przysługiwała mi jakaś zniżka, ale nie pamiętałam jaka. zresztą to nie miało znaczenia. Tym samochodem nie mogłam się już nigdzie wybrać.

- Muszę wejść do domu, żeby zadzwonić w parę miejsc - powiadomiłam Lulę. - Jeśli się pospieszę, zaraz będę mogła pojechać do Point Pleasant, żeby poszukać Maxine.

- Wiesz, dlaczego tak lubię Point Pleasant? Bo mają tam te pomarańczowo-waniliowe lody. Może pojedę z tobą? Pewnie przyda ci się ochrona.

Na parking wjechał rozpędzony błękitny fairlane i zatrzymał się przy nas z piskiem opon.

- Ja cię kręcę! - zawołała Lula. - Przecież to stara Nowicki, pijana w drybizgi!

Pani Nowicki wytoczyła się z samochodu i podeszła do nas chwiejnym krokiem.

- Wszystko słyszałam. Nie jestem pijana w drybizgi. A szkoda, bo byłabym o wiele szczęśliwsza.

Miała na sobie sportowy kostium w kolorze jadowitej zieleni, na twarz nałożyła bardzo grubą warstwę makijażu, a w kącie ust trzymała papierosa. Spod wściekle zielonego turbanu wymykały się pomarańczowe kędziorki... a pod turbanem kryła się niedawno oskalpowana głowa.

Pani Nowicki przyjrzała się mojemu samochodowi i parsknęła chrapliwym śmiechem.

- To twój?

- Tak.

- Nikt ci nie powiedział, że benzynę trzeba lać do baku?

- Ma pani do mnie jakąś sprawę?

- Wyjeżdżam. I mam dla ciebie nowe wiadomości. Maxine by się wściekła, gdyby wiedziała, że ci to mówię, ale lepiej żebyś tyją znalazła niż... no wiesz.

- Odezwała się do pani?

- Oddała mi swój samochód. Powiedziała, że już go nie potrzebuje.

- I gdzie teraz jest?

- Do niedawna była w Point Pleasant, tak jak myślałam. Powiedziała, że zbyt wiele osób się kapnęło, gdzie jej szukać, więc pojechała do Atlantic City. Nie chciała dać mi adresu, ale wiem, że lubi grywać w kasynie. Uważa, że tam ma więcej szczęścia.

- Jest pani pewna?

- No jasne. - Pani Nowicki zaciągnęła się głęboko papierosem wypalonym prawie do filtra. Wypuściła nosem błękitny kłąb dymu i odrzuciła niedopałek, który upadł na asfalt, potoczył się pod mój samochód i PUFFF! Samochód stanął w płomieniach.

Wrzasnęłyśmy obie, ja i Lula, odskakując do tyłu. Samochód zniknął w wielkiej kuli ognia.

- Pali się! Pali się! - ryknęłyśmy.

Pani Nowicki odwróciła się, zaciekawiona.

- o?

Samochód wybuchł. Pani Nowicki upadła na tyłek, a po chwili rozległa się druga eksplozja. Firebird Luli!

- Mój samochód! Moja ptaszyna! - zatkała Lula. - Zróbcie coś!

Z budynku wybiegli ludzie, a w oddali zawyły syreny. Pani Nowicki leżała na asfalcie. Miała szeroko otwarte oczy.

- Oho - mruknęła Lula złowieszczo. - Chyba nie umarła znowu?

- Niech mi ktoś da papierosa - odezwała się pani Nowicki chrapliwym kontraltem. - Muszę się rozruszać.

Na parking wjechał radiowóz z błyskającymi światłami. Carl Constanza wysiadł i podszedł bez wahania w moją stronę.

- Doskonale - powiedział. - Tym razem wysadziłaś w powietrze dwa naraz.

- Jeden należy do Luli.

- Mamy szukać ludzkich szczątków? Ostatnim razem znajdowaliśmy je w całej dzielnicy.

- Nieprawda, znaleźliście raptem jedną stopę. Reszta była tutaj, na parkingu. Powiem ci w tajemnicy, że według mnie pies pani Burlew ukradł tę stopę.

- A teraz? Też mamy szukać czyjejś stopy?

- Oba samochody były puste. Pani Nowicki doznała wstrząsu, ale chyba poza tym czuje się dobrze.

- Czuje się tak dobrze, że prysnęła - wtrąciła Lula. - Mogła to zrobić, bo ten gruchot się nie upiekl.

- Prysnęła? - Mój głos zabrzmiał cienko jak pisk Minnie Mouse.

- Przed chwileczką. Dopiero co wyjechała.

Spojrzałam w stronę St. James i nagle zaświtała mi niepokojąca myśl.

- Chyba nie zrobiła tego naumyślnie, co?

- Chcesz powiedzieć, że zniszczyła nam samochody, żebyśmy nie mogły szukać jej córki? Myślisz, że jest tak cwana, żeby na to wpaść?

Pierwsze odjechały wozy strażackie, potem radiowozy, a wreszcie ciężarówki, które odholowały nasze samochody. Zostały tylko dwie osmalone plamy na asfalcie.

- Co tam - powiedziała Lula. - Łatwo przyszło, łatwo poszło.

- Skąd ten dobry humor? Myślałam, że kochasz swój samochód?

- No wiesz, radio mi nawalało, a na drzwiach miałam dziurę wielką jak stodoła. Teraz mogę sobie kupić nowy wozik. Jak tylko

uporam się z papierkami, idę im zakupy. Uwielbiam kupować samochody.

Nienawidzę kupować samochodów. Wolałabym zrobić sobie mammografię, niż iść do salonu samochodowego. Nigdy mnie nie stać na samochody, które mi się naprawdę podobają. A potem przychodzi ten cholerny sprzedawca... drugi po dentystach zawód zrzeszający sadystów. Wzdrygnęłam się mimo woli.

- Widzisz, należą do ludzi, którzy podchodzą do życia pozytywnie - wyjaśniła Lula. - Moja szklanka nie jest w połowie pusta. O nie. Moja szklanka jest w połowie pełna. Dlatego do czegoś doszłam. Poza tym są ludzie, którym powodzi się gorzej. Przynajmniej nie musiałam przez całe popołudnie grzebać w psim łajnie.

- Myślisz, że pani Nowicki mówiła prawdę? Może chciała nas zmylić.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

- Potrzebny nam samochód.

Spojrzałyśmy na siebie i skrzywiłyśmy się jednocześnie. Obie wiedziałyśmy co nam zostało. Mój ojciec miał błękitno- białego buicka rocznik 53. Od czasu do czasu upadałam na tyle nisko, że pożyczalam tego rzęcha.

- Nie, nie, nie - oznajmiła Lula. - Nie pojedę do Atlantic City w tej katastrofie.

- Gdzie twoje pozytywne nastawienie? Co z tą szklanką, co to jest do połów pełna?

- Pieprzyć szklankę, w tym samochodzie będę wyglądać jak wieśniaczka. Nie będę jeździć w samochodzie dla wieśniaków. Poza tym chodzi o moją reputację. Duża czarna kobieta w takim samochodzie znaczy tylko jedno. Dwadzieścia pięć doliców za obciążenie. Mówię ci, ten samochód to kompromitacja.

- Dobrze, powiem wprost. Jeśli zdecyduję się pojechać do Atlantic City i będę miała tylko ten samochód... nie będziesz mogła pojechać ze mną.

- Skoro tak stawiasz sprawę...

Wezwałam taksówkę dla Luli i powędrowałam do mojego mieszkania. Prosto od progu poszłam do lodówki po piwo.

- Zaczynam się zniechęcać - wyznałam Rexowi.

Przesłuchałam sekretarkę i znalazłam na niej zwięzłą wiadomość od Eddiego Kuntza.

„Mam!”

Kiedy oddzwoniłam, Kuntz był w równie kwaśnym humorze. Odczytał litery z wiadomości. Pięćdziesiąt trzy. I odwiesił słuchawkę. Żadnych pytań o moje zdrowie. Żadnych uprzejmości.

Zadzwoniłam do Sally'ego i przerzuciłam brzemię na jego barki.

- Tak na marginesie - dodałam - jaki masz samochód?

- Porsche. No myślę.

- Dwuosobowy?

- A są inne?

Jest miejsce dla mnie. Nie ma miejsca dla Luli. Ona na pewno zrozumie. W końcu to sprawa zawodowa, nie? A jej samochód wyleciał w powietrze także z powodu spraw zawodowych.

- To nie moja wina - powiedziałam. - Nie ja rzuciłam tego papierosa.

- Chyba miałem przeżycie pozazmysłowe - zdziwił się Sally. - Właśnie usłyszałem parę zdań z tamtego świata.

Opowiedziałam mu o naszych samochodach i tropie podsuniełym nam przez panią Nowicki.

- Rozumiem, że jedziemy do Atlantic City.

- Jak sądzisz, czy Lula zmieści się w twoim porsche razem z nami?

- Nigdy w życiu.

Westchnęłam żałośnie w duchu i powiedziałam Sally'emu, że pojedziemy moim samochodem i że przyjadę po niego o siódmej. Niestety, wykluczenie Luli z tej zabawy okazało się ponad moje siły.

ROZDZIAŁ 7

Córki innych kobiet wychodzą za mąż i mają dzieci - powiedziała matka. - Moja córka wysadza w powietrze samochody. Jak to się stało? Na pewno nie masz tego po mnie.

Siedzieliśmy przy kolacji. Ojciec garbił się nad talerzem, a ramiona mu się dziwnie trzęsły.

- Co? - nie wytrzymała matka.

- Nie wiem. Tak mnie to jakoś rozśmieszyło. Niektórzy dożywają spokojnej starości, a ich dziecko nie spali ani jednego samochodu. Moja córka spaliła trzy i jeszcze dom pogrzebowy. Może to jakiś rekord?

Wszystkie zamaryliśmy, wstrząśnięte, ponieważ było to najdłuższe zdanie, jakie mój ojciec wypowiedział od piętnastu lat.

- Twój wujek Lou też wysadzał samochody w powietrze - zwrócił się do mnie. - Nie mówiłem ci, ale to prawda. W młodości pracował dla Joeya Kałamarnicy. Joey był właścicielem parkingów i prowadził wojnę z braćmi Grinaldi, którzy pracowali na tej samej działce. Joey płacił Louiemu, żeby podkładał ogień pod samochody Grinaldich. Płacił mu od sztuki. Pięćdziesiąt dolarów. Wtedy to było dużo pieniędzy.

- Byłeś w knajpie - odgadła matka. - Wydawało mi się, że miałeś jeździć na taksówce?

Ojciec nałożył sobie kartofli.

- Nie było klientów. Mały ruch.

- Czy wujek Lou dał się złapać?

- Nigdy. Był dobry. Bracia Grinaldi nigdy go nie podejrzewali. Myśleli, że Joey wysyła Willy'ego Fuchsa. Pewnego razu natłukli Willy'ego i Lou przestał podpalać samochody Grinaldich.

- O rany.

- Nieźle na tym wyszedł - dodał ojciec. - Teraz robi w owocach.

- Ale masz klawą bransoletkę - wtrąciła babcia. - Nowa?

- Właściwie to część kajdanek. Przypadkiem się do czegoś przykułam i nie mogłam znaleźć kluczyka. Więc musiałam się odpiłować. Muszę znaleźć jakiegoś ślusarza, ale nie miałam czasu.

- Syn Muriel Slickowski jest ślusarzem - powiedziała matka. - Mogę do niej zadzwonić.

- Może jutro. Dziś muszę jechać do Atlantic City. Sprawdzam nowy trop w sprawie Maxine.

- Pojadę z tobą! - Babcia zeskoczyła z krzesła i ruszyła zdecydowanym krokiem ku schodom. - Pomogę ci! Zmieszam się z tłumem. W Atlantic City jest masa takich starszych kobitek jak ja. Tylko się przebiorę. Zaraz wracam!

- Zaraz! Chyba...

- I tak nie ma nic fajnego w telewizji - odpowiedziała babcia z piętra. - Nic się nie martw, będę przygotowana.

To mnie podniosło z krzesła w ułamku sekundy.

- Nie bierz broni! - Spojrzałam na matkę. - Babcia nie ma już tej czterdziestkiątki, co?

- Szukałam w całym jej pokoju i nie mogłam znaleźć.

- Niech jej ktoś zrobi rewizję osobistą - zażądałam rozpaczliwie.

- Za żadne pieniądze - mruknął ojciec. - Nie rozbiorę tej kobiety nawet pod groźbą śmierci.

Lula, babcia Mazurowa i ja stałyśmy w korytarzu i czekałyśmy, aż Sally nam otworzy. Miałam na sobie krótką dzinsową spódniczkę, podkoszulek i sandały. Babcia była wystrojona w czerwono- niebieską sukienkę i białe trampki, Lula wystąpiła w czerwonej ażurowej, bardzo wydekoltowanej sukieneczce, która kończyła się jakieś pięć centymetrów za tyłkiem, oraz czerwone atłasowi szpilki,

A Sally przywitał nas w pełnym drągu. Czarna naczupirzona peruka, obcisła koszulka naszywana srebrnymi cekinami, również kończąca się pięć centymetrów za tyłkiem, oraz srebrne szpile na platformach, w których Sally mierzył dwa metry - nie licząc fryzury,

Przyjrzał mi się bacznie.

- Myślałem, że mamy wystąpić w przebraniu.

- Ja jestem przebrana za laseczkę - wyjaśniła Lula.

- Tak, a Ja jestem przebrana za starszą panią - dodała babcia.

- Matka nie wypuściłaby mnie z domu, gdybym się za kogoś przebrała - mruknęłam ponuro.

Sally obciągnął sobie sukienkę.

- Ja jestem przebrany za królową Saby.
- Koleżanko - powiedziała Lula z całego serca. - Jesteś boska.
- Sally jest drag queen - wytłumaczyłam babci.
- Nie gadaj - ucieszyła się babcia. - Zawsze chciałam poznać drag queen. Słuchaj, co robicie z dzyndzlem, kiedy wkładacie sukienki?

- Trzeba nosić takie specjalne spłaszczające gatki.

Wszystkie spojrzałyśmy na spore wybrzuszenie na froncie jego sukienki.

- Ja nie mogę - usprawiedliwił się Sally. - Dostaję od nich wysypki.

Lula wciągnęła powietrze.

- Co tak pachnie? Mmm, mmm, czuję jakieś ciasto.

Sally przewrócił oczami.

- To Kiki. Wpadł w szał. Przez ostatnie dwie godziny przerobił z pięć kilo mąki.

Lula odsunęła go sobie z drogi i zajrzała do kuchni.

- Boże Wszzechmogący - dobiegł nas jej głos. - Patrzcie tylko... ciastka jak okiem sięgnąć.

Kiki stał przy stole i zagniatał ciasto na chleb. Spojrzał na nas i uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Pewnie myślicie, że jestem jakiś dziwny?

- Kochanie, według mnie jesteś słodki jak ciastko z dziurką - zapewniła go Lula. - Jeśli kiedykolwiek zechcesz zamieszkać z kimś innym, to nie zapominaj o mnie.

- Lubię zapach pieczonego ciasta - wyjaśnił Kiki. - Taki domowy.

- Wybieramy się do Atlantic City - powiedziałam. - Jedziesz z nami?

- Dzięki, ale to ciasto trzeba zaraz wsadzić do piekarnika, no i chleb musi wyrosnąć, a potem mam jeszcze trochę prasowania...

- Cholera, całkiem jak Kopciuszek - mruknęła Lula.

Kiki zagłębił palec w cieście.

- Kiepski ze mnie hazardzista.

Wzięliśmy sobie po ciasteczku i ruszyliśmy całym stadem do windy.

- Jaki smutny facecik - powiedziała Lula. - Chyba nie bawi się

za dobrze.

- Jest o wiele bardziej zabawny, jak się ubierze w sukienkę - wyjaśnił Sally. - Od razu mu się zmienia osobowość.

- To dlaczego ciągle nie chodzi w sukience? - chciała wiedzieć Lula.

Sally wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Pewnie też mu to nie pasuje.

Przeszliśmy przez wykładany marmurem lobby i stanęliśmy na ścieżce obrzeżonej dwoma rzędami kwiatów.

- Tam - powiedziałam do Sally'ego. - Ten biało- niebieski buick.

Sally wytrzeszczył umalowane oczy.

- Buick? O żeż ty w mordę, to twój samochód? Ma świetliki, w mordę jeża, świetliki! A co pod maską?

- Osiem cylindrów

- Jezu! Osiem cylindrów! W mordę i nożem!

- Dobrze, że nie włożył tych splaszających majtek - zauważyła Lula na boku. - Jeszcze by sobie coś oberwał.

Buick był samochodem dla mężczyzn. Wszyscy go uwielbiali. Wszystkie kobiety go nienawidziły. Podejrzewam, że to ma jakiś związek z rozmiarem opon. Albo z tym wzdętym, jajowatym kształtem... coś jakby porsche na sterydach.

- Lepiej się zbierajmy - powiedziałam.

Sally wyjął mi z ręki kluczyki i usiadł za kierownicą.

- Za pozwoleniem, to mój samochód - zaprotestowałam. - Więc to ja będę prowadzić.

- To jest wózek dla kogoś z jajami - oznajmił Sally.

Lula wysunęła dolną szczękę i podparła się pod boki.

- Ha! I uważasz, że my nie mamy jaj? Bardzo się mylisz, malutki.

Sally mocno uczeplił się kierownicy.

- Dobra, czego chcesz? Dam ci pięćdziesiąt dolców, tylko pozwól mi prowadzić.

- Nie chcę pieniędzy. Skoro marzysz o tym, wystarczy poprosić.

- Tak, i nie wciskaj nam tych męskich głupot - dodała Lula. - Bo tego nie zniesiemy. Nie z nami te numery.

- Ale będzie fajnie! - ucieszył się Sally. - Zawsze chciałem usiąść za kółkiem takiego wozu.

Babcia i Lula zapakowały się na tylne siedzenie, a ja zajęłam miejsce obok kierowcy.

Sally wyjął z torebki skrawek papieru.

- Zanim zapomnę... to ta ostatnia wiadomość.

Odczytałam ją na głos.

- Ostatnia wiadomość. Ostatnia szansa. Bar „Księżycowy”, sobota o dziewiątej.

Maxine szykowała się do ucieczki. Zamierzała po raz ostatni zrobić numer Eddiemu. A może mnie?

Atlantic City to nie jest Las Vegas. Chodzi mi o miejsca do parkowania. Kasyna są zbudowane przy molo, ale tak naprawdę nikt po nim nie chodzi. W Atlantic City nikt nie zwraca uwagi na ocean. Atlantic City jest po to, żeby się zabawić. A jeśli jesteś staruszką - tym lepiej. To Saloon Ostatniej Szansy.

Tuż za kasynami rozciągają się slumsy. Ponieważ Jersey nie dąży do doskonałości, nikt się tym nie przejmuje. Skoro trzeba przejść przez slumsy, żeby się wzbogacić... no to trzeba. Wystarczy podkręcić okna, zamknąć dobrze drzwi i przejechać wśród dealerów i alfonsów.

Wszystko to nastraja bardzo optymistycznie.

Nie jest to Vegas i Monte Carlo też nie. W Atlantic City nie widuje się wielu sukni od Versace. Przy stołach do gry w kości zawsze trafi się paru facetów z włosami przylizanymi brylantyną i sygnetami na małych palcach. A przy nich zawsze stoją kobiety ubrane jak piosenkarki z tancbudy. Ale większość klientów to kobiety po sześćdziesiątce, ubrane w dresy z poliestru i okupujące maszyny do gry w pokera.

W Nowym Jorku albo Vegas nikt by nie zwrócił uwagi na Lulę i Sally'ego. Ale nie tutaj. Tutaj równie dobrze moglibyśmy próbować wmieszać się w tłum w towarzystwie połykacza ognia i pięciu tygrysów.

Weszliśmy gęsiego, chłonąc wszystkie nowe widoki: sufit wykładany lustrami, kłębiące się tłumy. Ruszyliśmy w głąb sali. Na nasz widok staruszkowie wpadali na ściany, krupierzy

zastygali z otwartymi ustami, kelnerki stawały bez ruchu, brzęczały upuszczone żetony, a kobiety gapiły się na nas z tym rodzajem zachłannej ciekawości, jaka na ogół bywa zarezerwowana dla katastrof pociągów. Jakby nigdy nie widzieli dwumetrowego transwestyty i stukilowej czarnej kobiety z lokami w kolorze blond.

Ja to dopiero potrafię zorganizować tajną operację, co?

- Dobrze, że wczoraj dostałam emeryturę - powiedziała rześko babcia, przyglądając się maszynom. - Czuję, że dziś będę mieć szczęście.

- Co wybierasz? - zwróciła się Lula do Sally'ego.

- Oczko! I poszli sobie.

- Uważajcie na Maxine - powiedziałam do ich pleców.

Przez godzinę poobijałam się po sali, przegrałam czterdzieści dolarów w kości, ale za to dostałam darmowe piwo. Nie zauważyłam Maxine, ale to już przestało mnie dziwić. Znalazłam dobry punkt obserwacyjny i usiadłam, żeby poprzyglądać się ludziom.

O wpół do dwunastej pojawiła się babcia, która ciężko usiadła koło mnie.

- Na pierwszym automacie wygrałam dwadzieścia dolców, ale potem los się odwrócił - powiedziała. - Pech przez cały wieczór.

- Zostały ci jakieś pieniądze?

- Nie. Ale nie poszły na marne. Poznałam prawdziwego przystojniaka. Poderwał mnie przy dwudolarowych automatach do pokera, więc wiadomo, że nie jest skąpy.

Uniosłam brwi.

- Szkoda, że ze mną nie zostałeś. Tobie także bym kogoś znalazła.

O ty w życiu!

Podszedł do nas jakiś niziutki siwy staruszek.

- Masz swój manhattan - powiedział i podał babci drinka. - A to kto? - spytał, patrząc na mnie. - Na pewno twoja wnuczka.

- To jest Harry Meaker - dokonała prezentacji babcia. - Harry jest z Mercerville i dziś też miał pecha.

- Zawsze mam pecha - dodał Harry. - Przez całe życie. Żeniłem się dwa razy i obie kobiety mi umarły. W zeszłym roku miałem

podwójny by-pass, a teraz znowu żyły mi się zatykają. Czuję to. I patrzcie, widzicie tę czerwoną plamkę na nosie, co mi się tak niszczy? Rak skóry. W przyszłym tygodniu idę na operację.

- Harry przyjechał autobusem - powiedziała babcia.

- Problemy z prostatą. Muszę jeździć autobusem, w którym jest toaleta. - Harry spojrział na zegarek. - Na mnie pora. Autobus odjeżdża za pół godziny. Nie chcę się spóźnić.

Babcia odprowadziła go wzrokiem.

- co o nim sądzisz? Żwawy, prawda? Przynajmniej na razie.

Lula i Sally wyłonili się z tłumu i padli bez życia na kanapę obok mnie.

- Nie słyszałam strzelaniny, więc zakładam, że Maxine się nie pojawiła - powiedziała Lula.

- Maxine jest mądra - dodał Sally z goryczą. - Została w domu.

Spojrzałam na niego.

- Pechowy wieczór?

- Spłukałem się do nitki. W tym tygodniu sam będę musiał sobie zrobić paznokcie.

- Mogę ci pomóc - zaofiarowała się Lula. - Jestem bardzo dobra, jeśli o to chodzi. Widzisz te maciupeńkie palmy? Sama je nakleiałam.

- Uwaga! - przerwałam im, podnosząc się szybko z kanapy. - Spójrzcie na tę kobietę w turkusowych spodniach. Stoi przy stole do gości. Ta z jasnymi włosami...

Kobieta była odwrócona do mnie plecami, ale przed chwilą spojrzała w moją stronę i zaprezentowała mi swoją twarz. Wydała mi się bardzo podobna do Maxine.

Ruszyłam ku niej zdecydowanym krokiem; kobieta odwróciła się i spojrzała wprost na mnie. Obie jednocześnie pozbyłyśmy się wątpliwości. Maxine odwróciła się na pięcie i wmieszała się w tłum po przeciwnej stronie stołu.

- Widzę ją! - rzuciła Lula, podążająca o krok za mną. - Nie zgub jej!

Ale ją zgubiłam. W sali było dużo ludzi, a Maxine - w przeciwieństwie do Luli - nie przystroiliła się czerwonymi cekinami. Dlatego błyskawicznie wmieszała się w tłum.

- Widzę ją! - wrzasnęła babcia. - Idzie na molo! - Babcia stała

na jednym ze stołów do oczka, rozstawiwszy szeroko nogi w trampkach. Jeden krupier wyciągnął do niej rękę, a ona trzepnęła go po głowie torebką. - Precz z łapami! Weszłam tu tylko dlatego, że jestem za mała, bo mam osteoporozę!

Ruszyłam slalomem między grupkami hazardzistów ku drzwiom wychodzącym na molo. W parę chwil znalazłam się w obszernym korytarzu. Daleko przede mną mignęły mi napuszone słomkowe włosy, które zaraz zniknęły za podwójnymi szklanymi drzwiami. Rzuciłam się w tamtą stronę, rozpychając ludzi, wrzeszcząc „przepraszam!” i ciężko dysząc. Za dużo pączków, za mało ćwiczeń.

Wyskoczyłam na zewnątrz i ujrzałam Maxine, pędzącą z rozwianym włosom. Puściłam się za nią biegiem; z pewnej odległości dochodziły mnie głosy galopującej Luli i Sally'ego.

Maxine skręciła ostro z deptaka w boczną uliczkę. Kiedy zrobiłam to samo, usłyszałam trzask zamykanych drzwiczek i warkot silnika. Samochód ruszył z piskiem opon i po chwili zniknął. A ponieważ nigdzie nie widziałam Maxine, uznałam, że znajdowała się w tym właśnie samochodzie.

Sally przystanął i zgiął się wpół, ciężko dysząc.

- Wysiadam, człowieku. Od tej pory pieprzę szpilki.

Lula wpadła na niego z impetem.

- Zawał! Zawał!

Babcia zbliżyła się do nas lekkim truchtem.

- Co się stało? Co przegapiłam? Gdzie ona?

- Uciekła - powiedziałam.

- Cholera!

Z cienia wyłoniło się trzech młodych bandytów. Mieli po kilkanaście lat, nosili za obszerne spodnie i rozsznurowane buty.

- No, mała, jak leci? - powiedział jeden.

- Daj spokój - mruknął Sally.

- Ha! Ale wielka lala!

Sally poprawił przekrzywioną perukę.

- Dzięki.

Chłopak wyjął rzeźniczy nóż.

- A może byś mi dała torebkę, suko?

Sally podkasał sukienkę, sięgnął do majtek i wyciągnął z nich

wielkiego glucka.

- A może bym ci posiekał jaja?

Lula wyszarpnęła z czerwonej atlasowej torebeczki pistolet, babcia wyjęła skądś czterdziestkępiątkę.

- Zabawimy się, śmieciu! - zakrzyknęła.

- Moment, po co te nerwy - powiedział chłopak. - Myśmy tylko żartowali.

- Chcę go zastrzelić - oznajmił Sally. - Żadna nie poskarży, dobra?

- Nie, to ja chcę go zastrzelić - zaprotestowała Lula.

- Dobrze - odezwała się babcia. - Liczymy do trzech i strzelamy jednocześnie.

- Nikt nie będzie strzelać! - wrzasnęłam.

- To może go skopiemy? - zaproponował Sally.

- Odbiło wam - wyjąkał młody bandyta, wycofując się. - Co z was za kobiety?

Jego koledzy dali nogę, a on pobiegł za nimi.

Sally schował broń w slipy.

- No, to oblałem test na estrogen.

Wszystkie wbiłyśmy spojrzenie w jego krocze. Babcia sprecyzowała na głos to, co myślałyśmy.

- Wydawało mi się, że ta buła to twój dzyndzel.

- No co wy - przestraszył się Sally. - Co ja jestem, buhaj? Broń mi się nie chciała zmieścić do torebki.

- Musisz sobie kupić mniejszy model - pouczyła go Lula. - Ten wielki stary glock fatalnie psuje ci sylwetkę.

Babcia, Lula i Sally zapadli w sen w ciągu kwadransa. Ja prowadziłam samochód i myślałam o Maxine. Ciągłe nie wierzyłam, że to spotkanie było tylko złośliwym dowcipem. Owszem, zobaczyłam Maxine, tak jak powiedziała jej matka, nie zbyt łatwo mi uciekła. I nie była zaskoczona na mój widok. Samochód czekał w mrocznej uliczce. Samotna kobieta tak nie postępuje. Bezpieczniej i wygodniej jest zatrzymać samochód w podziemnym parkingu. Maxine odjechała czarną acurą. Nie widziałam dokładnie, ale nie sądzę, żeby to ona prowadziła. Wszystko odbyło się zbyt szybko. Silnik zaczął pracować w tej

samej chwili, gdy usłyszałam trzask zamykanych drzwiczek.

A zatem zaczęłam przypuszczać, że Maxine chciała zmylić ślady. Może ciągle była w Point Pleasant. Może zapłaciła czynsz za cały miesiąc i nie chciała się wyprowadzać. Więc kiedy się dowiedziała, że matka ją sypnęła, skonstruowała intrygę, żeby mnie odciągnąć od Point Pleasant. A może to tylko kolejna gierka. Może Eddie Kuntz miał rację i Maxine rzeczywiście ma bzika na punkcie Jamesa Bonda.

Najpierw podjechałam pod mieszkanie Sally'ego, potem Luli, a na końcu odwoziłam babcię.

- Mama myśli, że już nic masz tej broni - powiedziałam.

- Ha - sapnęła babcia. - Coś podobnego.

Matka stała na ganku i przyglądała nam się z rękami splecionymi na piersi. Gdybym była dobrą córką, wstąpiłabym na chwilę i zjadła parę ciasteczek. Nie uważam się za aż tak dobrą córkę. Kocham matkę, ale nie czuję się na siłach wyjaśnić jej, w jaki sposób babcia przegrała w kasynie całą emeryturę.

Zaczekałam, aż babcia pokona wszystkie schodki, pomachałam na do widzenia i odjechałam. Skręciłam i zobaczyłam migające koguty. Przeszedł mnie nieprzyjemny dreszcz. Na moim parkingu stały policyjne radiowozy, wozy strażackie, karetki pogotowia. Słyszałam głosy wzmożone przez megafony. W rynsztoku płynęła woda zmieszana z sadzą, a na chodniku stali ludzie w szlafrokach lub pospiesznie narzuconych ubraniach. Cokolwiek się tu stało, chyba było już po wszystkim. Strażacy zaczęli się zbierać. Tłum ciekawskich powoli się rozchodził.

Poczułam przeszywający dreszcz strachu. „Następnym razem zapalę zapałkę”.

Ulica była zablokowana, więc zaparkowałam tam, gdzie stałam, i przez niewielki trawnik pobiegłam do mojego bloku. Osłoniłam oczy i zaczęłam liczyć piętra, prawie niewidoczne przez dym i opary benzyny. Doszłam do wniosku, że paliło się w mieszkaniu na pierwszym piętrze. Moim. Widziałam zbitą szybę i poczerwiałe cegły. W żadnym innym mieszkaniu nie zauważyłam śladu zniszczeń.

Moja jedyna względnie przytomna myśl dotyczyła Rexa. Gdzieś tam, pomiędzy tymi ruinami był uwięziony mój chomik!

Rzuciłam się ku tylnym drzwiom budynku, błagając o cud, nie wiedząc, czy płacę, czy tylko krzyczę. Wciągnęłam w nozdrza powietrze, które wydawało się dziwnie gęste i elastyczne. Jak galareta. Coś stało się z moimi oczami i uszami. Poczulałam, że jakieś ręce chwytają mnie i ciągną. Ktoś powtarzał moje imię.

- Tutaj! - krzyczał pan Kleinschmidt. - Tutaj!

Stał z panią Karwatt, która obiema rękami obejmowała klatkę Rexa. Runęłam ku nim, prawie nie wierząc w to, co widziałam.

- Żyje? Czy Rex żyje? - pytałam raz za razem. Podniosłam pokrywę klatki, żeby przekonać się na własne oczy, i wytrząsnęłam zaskoczonego Rexa z puszki po zupie.

Podejrzewam, że takie uczucie do chomika jest trochę dziwne, ale Rex to mój współlokator. Dzięki niemu moje mieszkanie nie wydaje się puste. Poza tym uważam, że mnie lubi. Jestem tego prawie zupełnie pewna.

- Nic mu się nie stało - powiedziała pani Karwatt. - Od razu go zabraliśmy. Dzięki Bogu, zostawiłaś mi klucz do swojego mieszkania. Usłyszałam wybuch i zaraz przybiegłam. Dobrze, że zaczęło się palić w sypialni.

- Czy ktoś ucierpiał?

- Nikt. Wszystko wydarzyło się w twoim mieszkaniu. Pani Stinkowski pod tobą ma chyba uszkodzone rury wodociągowe i wszyscy strasznie przeszliśmy swądem, ale na tym koniec.

- Musisz ścigać jakiegoś straszego gangstera - wtrącił pan Kleinschmidt. - Ktoś wysadził ci samochód i spalił mieszkanie jednego dnia!

Kenny Zale przyczłapał do mnie. Znałam go z podstawówki, a w liceum przez jakiś czas chodziłam z jego starszym bratem Mickeyem. A zatem Kenny został strażakiem.

- I co, odwiedziłaś mnie? - spytałam.

- Może powinnaś sobie wybrać inną pracę.

- Tak źle?

- Nie masz już sypialni. Tam się zaczęło. Według mnie ktoś wrzucił ci bombę zapalającą przez okno. Łazienka da się uratować. Salon jest bardzo zniszczony. Kuchnia pewnie ujdzie, jak się w niej posprząta. Musisz położyć nowe podłogi. Może pomalować ściany. Jest mnóstwo zacieków po wodzie.

- Mogę tam wejść?

- Tak, to dobry moment. Jest tam facet z podpaleń. Pewnie pozwoli ci zabrać to, czego potrzebujesz, a potem zapieczętuje mieszkanie do czasu, kiedy dochodzenie się skończy.

- John Petrucci ciągle pracuje w wydziale podpaleń?

- Tak. Pewnie jesteście sobie bliscy.

- Spędziliśmy razem trochę czasu. Nie powiedziałabym, że jesteśmy sobie bliscy.

Kenny wyszczerzył zęby i potargał mi włosy.

- Dobrze, że nie spałaś w tym łóżku. Upiekłabyś się na grzanekę.

Zostawiłam Rexa pod opieką pani Karwatt, wbiegłam po schodach i przedarłam się przez tłum w korytarzu. Ściany i podłoga wokół mojego mieszkania były mokre i osmalone. W powietrzu unosił się gryzący swąd. Zajrzałam przez otwarte drzwi i poczułam bolesny skurcz serca. Moje mieszkanie wyglądało rozpaczliwie. Ściany były czarne, okna wybite, meble zwęglone tak, że nie przypominały niczego.

Jestem zdecydowaną zwolenniczką negacji rzeczywistości. Uważam, że nic warto się zadręczać nieprzyjemnościami dnia dzisiejszego, skoro jutro mogę wpaść pod autobus. A jeśli będę zwlekać dość długo, może problem sam się rozwiąże?

Niestety, w tym przypadku było inaczej. W tym przypadku mój problem nie dawał się zanegować. Mój problem był cholernie przynębiający.

- W mordę! - wrzasnęłam. - W mordę! W mordę!

Wszyscy oderwali się od swoich zajęć i spojrzeli na mnie z osłupieniem.

- W porządku - powiedziałam. - Już mi lepiej.

Oczywiście było to kłamstwo, ale czułam, że tego się po mnie spodziewają.

Petrucci zbliżył się do mnie.

- Wiesz, kto mógł to zrobić?

- Nie. A ty? - Kolejne kłamstwo. Miałam parę przypuszczeń.

- Ktoś, kto potrafi dobrze rzucać.

Może to Maxine. Gwiazda szkolnej drużyny. Ale jakoś nie sądziłam, żeby to była ona. Wszystko to wyglądało mi na robotę mafii... lub Terry, koleżanki Joego.

Ostrożnie weszłam do kuchni. Brązowa baryłeczka na ciastka była nietknięta. Telefon wyglądał nieźle. Ten kopeć i woda robiły wyjątkowo przygnębiające wrażenie. Zagryzłam wargę. Nie będę płakać. Rex jest cały i zdrowy. Wszystko inne da się odkupić,

Przejrzeliśmy pokój po pokoju. Niewiele dało się odratować. Parę kosmetyków z łazienki i suszarka. Włożyłam je do torby, którą wzięłam z kuchni.

- Nie jest tak źle - zwróciłam się do Petrucciego. - I tak chciałam położyć nową farbę. Szkoda, że łazienka ocalała.

- Co, nie lubisz pomarańczowego z brązowym?

- Jak sądzisz, może byśmy jeszcze podpalili łazienkę? Petrucci spojrzał na mnie boleśnie. Jakbym poprosiła, żeby publicznie puści baka.

- Jesteś ubezpieczona?

- Tak. - Chyba.

Pani Karwatt czekała w korytarzu razem z Rexem.

- Jak się czujesz? Masz gdzie przemocować? Mogłabyś dziś przespać się u mnie na kozetce.

Odebrałam jej klatkę Rexa.

- Bardzo dziękuję, ale chyba pójdę do rodziców. Mają wolną sypialnię.

W windzie zastałam panią Bestler.

- Jedziemy w dół - powiadomiła mnie, wsparta na balkoniku. - Parter: damskie torebki.

Drzwi windy rozsunęły się i pierwszą osobą, na jakiej spoczęło moje oko, okazał się Dillon w służbowym kombinezonie.

- Właśnie się do ciebie wybierałem - powiedział. - Chyba będę musiał się wziąć do pędzla.

- Trzeba będzie dużo farby... - Usta znowu zaczęły mi drżeć.

- Hej, o nic się nie martw. Pamiętasz, jak pani Baumgarten podpaliła choinkę? Całe mieszkanie zajęło się jak sucha szczapa. Spłonęło do fundamentów. A teraz, popatrz... Jak nowe.

- Jeśli rozprawisz się z łazienką, dostaniesz skrzynkę guinnessa.

- Co, nie lubisz pomarańczowego z brązowym?

Dobrze, że zaparkowałam w miejscu, z którego nie widziałam osmalonego budynku. Co z oczu, to i z serca. Do pewnego stopnia.

W buicku było cicho i ciepło. Bezpieczna ochrona przed drapieżnym światem. Zamknęłam drzwi i odcięłam się od rzeczywistości,

Usiedliśmy wygodnie - ja i Rex - i spróbowaliśmy zebrać myśli. Po chwili Rex zaczął dreptać w kołowrotku, więc uznałam, że jego myśli zostały już pozbierane. Moje ciągle odmawiały posłuszeństwa. Ktoś chciał mnie przestraszyć i może zabić. Istniała pewna możliwość, iż jest to ta sama osoba, która zajmuje się odcinaniem palców i zdejmowaniem skalpów. Nie byłam zachwycona taką perspektywą.

Położyłam głowę na kierownicy. Byłam śmiertelnie zmęczona i bliska łez. I bałam się, że jeśli zacznę płakać, to nie skończę szybko.

Spojrzałam na zegarek. Druga nad ranem. Musiałam się przespać. Gdzie? Najbardziej oczywistym rozwiązaniem był dom moich rodziców, ale nie chciałam ich narażać. Nie życzyłam sobie, by celem następnego bombardowania stał się dom na High Street. Więc dokąd miałam pójść? Do hotelu? W Trenton nie ma hoteli. Są w Princeton, ale do Princeton jest czterdzieści minut drogi i nie chciałam wydawać pieniędzy. Mogłam zadzwonić do Rangera, ale nikt nie wie, gdzie znajduje się jego mieszkanie. Zresztą gdyby Ranger przyjął mnie na noc, rano pewnie musiałby mnie zabić, żebym nie zdradziła jego sekretu. Lula? Ten pomysł miał w sobie coś przerażającego. Lepiej spotkać się z szaleńcem, niż spędzić noc z Lulą. Była jeszcze moja najlepsza przyjaciółka Mary Lou oraz moja siostra Valerie, ale ich także nie chciałam narażać. Musiałam znaleźć kogoś, kogo mi nie będzie żal stracić. Kogoś, o kogo nie muszę się martwić. I kto ma wolny pokój.

- O rety - mruknęłam do Rexa. - Myślisz o tym co ja?

Siedziałam jeszcze przez pięć minut, ale nie przyszło mi do głowy żadne inne rozwiązanie, więc przekręciłam kluczyk w stacyjce i powoli przejechałam koło ostatniego osamotnionego wozu strażackiego u wylotu ulicy. Staralam się nie patrzeć na moje okno, ale mimo woli zerknęłam kątem oka. Serce ścisnęło mi się z bólu. Moje biedne mieszkanko.

Wzięłam głęboki oddech. Nie chciałam umierać. I nie chciałam, żeby ktoś mnie nienawidził. A już na pewno nie chciałam płakać.

- O nic się nie martw - pocieszyłam Rexa. - To się jeszcze wyprostuje. Już bywaliśmy w opałach, no nie?

Na Slater Street znalazłam dom, o który mi chodziło. Znajdował się w skromnym szeregu domków o brązowych dachówkach. Wszystkie okna były pogrążone w ciemnościach. Zamknęłam oczy. Byłam strasznie zmęczona i nie chciałam tego robić.

- Może powinniśmy się przespać w samochodzie? - spytałam Rexa. - A jutro znajdziemy sobie jakieś stałe lokum.

Rex wyrabiał normę na kołowrotku. Rzucił mi jedno spojrzenie. Oznaczało: rób, co chcesz, mała.

Prawdę mówiąc, nie miałam ochoty zostawać w samochodzie. Jakiś szaleniec mógłby mnie napaść podczas snu. Mógłby wyważyć okno i poodcinać mi wszystkie palce. Znowu spjrzałam na dom, który mnie interesował. W takim domu mogłabym się poczuć bezpiecznie i nie byłoby mi żal, gdyby ktoś go spalił. Był to dom Joego Morellego.

Wyciągnęłam z torby telefon i wybrałam numer.

Joe podniósł słuchawkę po szóstym dzwonku. Usłyszałam niewyraźne mamrotanie.

- Joe? Tu Stephanie.

- Czy to ma jakiś związek ze śmiertelnym wypadkiem?

- Jeszcze nie.

- A z seksem?

- Jeszcze nie.

- W takim razie nie rozumiem, dlaczego do mnie dzwonisz.

- Ktoś wrzucił mi dziś bombę do mieszkania i muszę gdzieś przenocować.

- Gdzie jesteś?

- Przed twoim domem.

Zauważyłam, że zasłona na piętrze się porusza.

- Zaraz schodzę - rzucił Joe. - Siedź tam i nie wychodź, dopóki nie otworzę drzwi.

ROZDZIAŁ 8

Postawiłam klatkę Rexa na przednim siedzeniu.

- Zapamiętaj sobie - nauczyłam go. - Żadnych lamentów. I nie rozklejaj się tylko dlatego, że Morelli jest taki seksowny. I nie płacz. Nie chcemy, żeby Morelli się nad nami litował.

Morelli wyszedł na cementowy ganeczek. Za jego plecami widziałam oświetlone schody. Morelli był bosy i miał na sobie kuse spodenki. Włosy miał potargane, a w dłoni trzymał pistolet.

- Mówiłaś do kogoś?

- Tak. Do Rexa. Trochę się zdenerwował.

Morelli odebrał mi klatkę, zatrzasnął drzwi nogą i zaniósł Rexa do kuchni. Była to staroświecka kuchnia z blatami z laminatu. Szafki kuchenne zostały świeżo pomalowane na kremowo, a na podłodze leżało nowe linoleum. W zlewie moczył się garnek. Wyglądało na to, że na kolację było spaghetti.

Morelli postawił na stoliku karton zimnego mleka i pudełko markiz, wyjął dwie szklanki z suszarki, usiadł i je napełnił.

- No dobrze - powiedział. - Chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Pojechałam dziś do Atlantic City, żeby odnaleźć Maxine, a pod moją nieobecność ktoś mi wrzucił bombę przez okno sypialni. Całe mieszkanie się spaliło. Na szczęście pani Karwatt miała klucz i zdołała uratować Rexa.

Morelli przyjrzał mi się z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- A te fioletowe buty, które kupiłaś w zeszłym roku?

- Została z nich kupka popiołu.

- Cholera. Wiązałem z nimi pewne nadzieje. Spędziłem parę bezsennych nocy, myśląc o tobie... miałaś na sobie te buty i nic więcej.

Poczęstowałam się ciasteczkami.

- Musisz znaleźć sobie towarzystwo.

- Co ty powiesz. W zeszły weekend dla rozrywki kładłem linoleum. - On także wziął sobie markizę. - Zauważyłem, że przyjechałaś buickiem. A co się stało z hondą?

- Pamiętasz, jak ktoś ją oblał benzyną? No więc potem wyleciała w powietrze.

- Wyleciała w powietrze?

- Właściwie najpierw się zapaliła. Potem wyleciała w powietrze.

- Hmmm - mruknął Morelli, chrupiąc górną połówkę ciastka.

Po policzku pocięła mi jedna łza. Morelli przestał jeść.

- Zaraz. To się stało naprawdę? Nie zmyślasz?

- No pewnie, że to się stało. W przeciwnym razie co bym tu robiła?

- Hm, myślałem...

Zerwałam się na równe nogi. Krzesło runęło z trzaskiem na podłogę.

- Myślałeś, że to wszystko zmyśliłam po to, żeby tu przyjechać w środku nocy i wskoczyć ci do łóżka?

Morelli zacisnął usta.

- Pozwól, że ustale fakty. Wczoraj ktoś naprawdę wysadził w powietrze twój samochód i mieszkanie. A ty chcesz się do mnie wprowadzić? Aż tak mnie nienawidzisz? Jesteś jak chodząca katastrofa! Jak Conan Niszczyciel w spandeksowym ubranku!

- Nie jestem chodzącą katastrofą! - zaprotestowałam, ale miał rację. Byłam chodzącą katastrofą. Byłam żywym zagrożeniem. I za chwilę miałam się rozplakać. W piersi czułam ciężar, a w gardle coś takiego, jakbym się dławiła piłką tenisową. Z oczu trysnęły mi strumienie łez.

- Cholera - powiedziałam, rozmazując je po policzkach.

Morelli skrzywił się i wyciągnął do mnie rękę.

- Przepraszam, nie chciałem cię...

- Nie dotykaj mnie! - wrzasnęłam. - Masz rację. Jestem katastrofą. Tylko spójrz! Nie mam domu. Nie mam samochodu. I mam histerię. Jaki łowca nagród wpada w histerię? Kiepski. Bardzo kkk.. .kiepski.

- Chyba nie trafiłem z tym mlekiem - mruknął Morelli z troską.

- Brandy byłaby lepsza.

- A to nie wszystko! - wyłkałam. - Przegrałam czterdzieści dolarów w kości i tylko ja nie miałam dziś broni!

Morelli wziął mnie w ramiona i przytulił.

- Już dobrze, mała. Czterdzieści dolarów to nie aż tak dużo. I masa ludzi nie nosi broni.

- Nie w New Jersey. I nie łowcy nagród.

- Na pewno są w New Jersey ludzie, którzy nie mają broni.
- Tak? Na przykład?

Morelli odsunął mnie na długość ramienia i wyszczerzył zęby.

- Chyba trzeba cię położyć do łóżka. Jutro poczujesz się lepiej.
- Co do łóżka...

Popchnął mnie ku schodom.

- Mam dwie sypialnie.
- Dzięki.

- I zostawię drzwi otwarte, na wypadek gdybyś się poczuła samotna.

A ja zarygluję moje drzwi, na wypadek gdybym zmięкла.

Obudziłam się kompletnie dezorientowana i spojrzałam na nieznany mi sufit. Ściany były wyklejone spłowiałą zieloną tapetą w niemal niedostrzegalne pędy winorośli. Staroświecka i napawająca otuchą. Morelli odziedziczył ten dom po ciotce Rose i nie wprowadził w nim wielu zmian. Podejrzewałam, że gładkie białe firanki w oknach także zostały wybrane przez Rosę. Pokój, w którym spałam, był mały, a za jedyne umeblowanie miał wielkie łóżko i bieliźniarkę. Na drewnianej podłodze koło łóżka leżał dywanik z gałganków. Było tu o wiele więcej słońca i spokoju niż w mojej wychodzącej na parking sypialni. Jako piżama posłużył mi jeden z podkoszulków Morellego. Na razie jakoś poszło, ale teraz musiałam stawić czoło ponurej rzeczywistości. Nie miałam żadnych ubrań. Czystej bielizny, butów, niczego. Pierwszym moim zadaniem tego dnia powinna być wycieczka do sklepu po garderobę awaryjną.

Na bieliźniarce stało radio z budzikiem. Była dziewiąta rano. Dzień zaczął się bez mnie. Otworzyłam drzwi i wyjrzałam. Cisza. Ani śladu Morellego. Na moich drzwiach wisiała przyklejona karteczka. Dowiedziałam się z niej, że Morelli poszedł do pracy i mam się czuć u niego jak w domu. Zapasowy klucz leży na stole w kuchni, a w łazience są czyste ręczniki.

Wzięłam prysznic, ubrałam się i zesłam na dół w poszukiwaniu śniadania. Nalałam sobie szklankę soku pomarańczowego i zjrzałam do Rexa.

- Nie ma się co łudzić. Wczoraj zrobiłam z siebie idiotkę.

Rex spał w puszcze. Nie okazał mi zainteresowania. Już widział,

jak robiłam z siebie idiotkę.

Zjadłam miseczkę płatków i ruszyłam na obchód domu. Czysto, porządnie. Jedzenie proste. Garnki z zeszłej dekady. Sześć szklanek, sześć talerzy, sześć misek. Papier na półkach jeszcze z czasów cici Rosę. Morelli miał ekspres do kawy, ale dziś go nie używał. I nie zjadł śniadania. Nie zauważyłam talerzy na suszarce. Morelli nie zaprzętał sobie głowy śniadaniem. Policjanci nie słyną ze zdrowej diety.

Pamiętałam, jak wyglądało poprzednie mieszkanie Morellego. Praktyczne. Wygoda bez stylu. Tutaj jego meble wydawały się nie na miejscu. W takich domkach musi być mnóstwo obrazków na ścianach i stopy gazet na stolikach.

Parter składał się z trzech pokoi w amfiladzie. Salon, jadalnia, kuchnia. W jadalni nie było okien. Co oczywiście nie miało znaczenia. Jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, żeby Morelli korzystał z jadalni. Kiedy się tu wprowadził, w ogóle nie pasował mi do tego domu. Teraz już mi się tak nie wydawało. Nie żeby Morelli zmienił się w domatora. Raczej miałam wrażenie, że dom zawarł z nim pakt o wzajemnej nieagresji.

Zadzwoniłam do matki i powiedziałam jej, że moje mieszkanie się spaliło, więc wprowadziłam się do Morellego.

- Jak to: wprowadziłaś się? O mój Boże, wysłaś za męża!

- Nie, to nie tak. Morelli ma wolną sypialnię. Będę mu płacić czynsz.

- My też mamy wolną sypialnię. Mogłabyś zamieszkać z nami.

- Już próbowałam. To nie zdaje egzaminu. Za duża kolejka do łazienki. - I za wielu szaleńców chce mnie zamordować.

- Angie Morelli dostanie zawału.

Angie Morelli to matka Joego. Budzi powszechny szacunek i strach.

- To dobra katoliczka. Nie jest tak tolerancyjna jak ja - dodała moja matka.

Kobiety z rodziny Morellich to dobre katoliczki. Mężczyźni łamią wszystkie przykazania. W poniedziałki grywają w pokera z Antychrystem.

- Muszę kończyć - powiedziałam. - Chciałam tylko dać znać, że nic mi nie jest.

- Może przyjdziecie na kolację? Będzie klops.
- Nie jesteśmy parą! I mam robotę.
- Jaką robotę?
- Po prostu robotę.

W następnej kolejności zadzwoniłam do pracy.

- Moje mieszkanie zostało wczoraj zbombardowane - powiadomiłam Connie. - Na jakiś czas zatrzymam się u Morellego.

- Dobra decyzja - pochwaliła mnie Connie. - Bierzesz pigułki?

Uporządkowałam kuchnię i ruszyłam do sklepu. Po godzinie miałam już zapas ubrań na cały tydzień oraz rachunek spuchnięty do niemożliwości. Do biura dotarłam w południe. Connie i Lula jadły chińszczyznę.

- Częstuj się - wybelkotała Lula z pełnymi ustami i przysunęła ku mnie papierowy pojemniczek. - Mamy tego mnóstwo. Smażony ryż, krewetki i jakieś kung fu.

Wzięłam sobie krewetkę.

- Vinnie dał znak życia?
- Jeszcze nie - powiedziała Connie.
- A Joyce? Odzywała się?
- Nie. I nie przyprowadziła Maxine.

- Zastanawiałam się nad tą Maxine - oznajmiła Lula. - Uważam, że siedzi w Point Pleasant. I wcale bym się nie zdziwiła, gdyby mamuśka też z nią była. Atlantic City to była wielka podła podpucha po to, żeby nas odciągnąć od Point Pleasant. Nie podoba mi się to, jak uciekła. Ten samochód na nią czekał. Według mnie mamuśka zrobiła z nas balona.

Spróbowałam kawałek kung fu.

- Mnie też to przyszło na myśl.

Stałam razem z Lula na środku deptaka, naprzeciwko baru „Papuga” i przypinałam pager do szortów. Były we fluorescencyjnym pomarańczowym kolorze, ponieważ tylko takie dostałam. Lula miała spodenki w tygrysi wzorek. Na tlenione loczki nawlekła sobie koraliki, tak że po obu stronach głowy miała grube paski w kolorze jaskrawego różu, jadowitej zieleni i słonecznej żółci. Było czterdzieści stopni w cieniu, ocean

przypominał miskę ciepłej zupy, niebo miało nieskalany odcień lazuru, a na piasku można by usmażyć jajko. Przyszliśmy tu na poszukiwanie Maxine, ale widziałam, że uwagę Luli wybitnie rozprasza stoisko z lodami.

- Plan jest taki - powiedziałam. - Ty kręcisz się tutaj i masz oko na bar, a ja przeczeszę plażę i deptak. Jeśli zobaczysz Maxine lub cokolwiek, co ma z nią związek, zadzwoń na mój pager.

- Nic się nie martw, poradzę sobie. Mam wielką ochotę spotkać tę cholerną mamuszkę. Złapię ją za resztki włosów i...

- Nie! Bez łapania, strzelania i rażenia prądem! Jeśli kogoś zobaczysz, śledź go, dopóki do ciebie nie dołączy.

- A w samoobronie?

- Nie będzie żadnej samoobrony. Nie rzucaj się w oczy. Wmieszaj się w tłum.

- Nie będę się rzucać w oczy, jeśli nareszcie kupię sobie loda. - Koralliki na włosach Luli szczękały przy każdym ruchu. - Daj mi na loda, a będę wyglądać jak wszyscy.

A co tam, niech sobie kupi tego loda.

Najpierw skierowałam się na północ. Przyniosłam ze sobą małą lornetkę, którą skierowałam na plażę, ponieważ Maxine zrobiła na mnie wrażenie miłośniczki opalania. Powoli i metodycznie zbadałam salon gry i bary. Przeszłam aż do miejsca, w którym kończyły się rozrywki i jarmark cudów stawał się zwyczajnym starym deptakiem. Minęła godzina. Zawróciłam i skierowałam się w stronę Luli.

- Żadnej znanej twarzy - zameldowała. - Ani Maxine, ani mamuski. Ani Joyce. Ani Johna Travolty.

Wyteżyłam wzrok i także nie dostrzegłam żadnej z tych osób. Wyjęłam z torebki grzebień i gumkę, po czym zebrałam włosy w koński ogon. Miałam straszliwą ochotę wskoczyć do wody, ale postanowiłam zadowolić się lemoniadą. Sprawy zaszły za daleko. Nie mogłam tracić czasu na takie drobiazgi jak obniżenie temperatury ciała.

Zostawiłam Lulę na ławce, kupiłam sobie lemoniadę i ruszyłam w kierunku południowym. Minęłam rozmaite huśtawki i weszłam do salonu gier. Przez chwilę odpoczywałam w chłodnym cieniu. Spojrzałam na ścianę, na której zostały wystawione nagrody, i

zatrzymałam się jak wryta. Jakaś kobieta przyglądała się prezentowanym fantom. Pięć porcelanowych talerzy za czterdzieści tysięcy punktów. Drewniana latarnia morska za dziewięć tysięcy czterysta pięćdziesiąt punktów. Zegarek z Myszką Miki za osiem tysięcy czterysta pięćdziesiąt. Odkurzacze za czterdzieści tysięcy sto. Radio za dziewięćdziesiąt osiem tysięcy czterysta pięćdziesiąt punktów. Kobieta liczyła bilety, które trzymała w ręce. Drugą rękę miała grubo obandażowaną. Brązowe włosy, szczuple ciało.

Cofnęłam się w głębszy cień i czekałam, aż zobaczę jej twarz. Kobieta postąpiła jeszcze chwilę, odwróciła się i podeszła do lady. To była Margie. Przemknęłam za jej plecami, wyszłam na deptak i wezwałam Lulę. Była całkiem niedaleko. Podniosła głowę, kiedy pager się włączył. Machnęłam do niej.

Zbliżyła się ciężkim truchtem.

- Co jest?

- Pamiętasz, jak ci opowiadałam o Margie, przyjaciółce Maxine?

- To ta, co jej odcięli palec.

- Właśnie. Stoi przy ladzie.

- W tym Point Pleasant jednak się spotyka masę ludzi.

Margie odebrała od faceta zza lady wielkie pudło i ruszyła ku bocznym drzwiom, które prowadziły na ulicę. Skręciła w prawo. Odprowadziłyśmy ją wzrokiem. Potem pomaszerowałyśmy w tym samym kierunku - Lula o parę metrów za nią, a ja za Lula. Margie skręciła w następną ulicę, przeszła jeszcze kawałek i zniknęła w szeregowym domku.

Zajęłyśmy pozycję i odczekałyśmy chwilę, ale Margie się nie pojawiła. Dom był parterowy i miał niewielki ganeczek. Budynki obok wyglądały identycznie. Małe parkingi. Samochody stały po obu stronach ulicy.

Nie byłyśmy dobrze przygotowane do czynności śledczych. Przyjechałyśmy do Point Pleasant samochodem, który zwracał na siebie uwagę. Jedyne moim pocieszeniem był fakt, że nawet gdybyśmy miały bardziej przeciętny pojazd, i tak nie miałybyśmy gdzie zaparkować.

- Czyli uważasz, że ta Margie jest tu z Maxine. I może

mamušką Maxine - odezwała się. Lula.

- Tak. Problem w tym, że nie wiem, czy Maxine jest w domu.
- Mogłabym wystąpić jako dystrybutorka Avonu.
- Matka Maxine cię pozna, jeśli tam jest.
- Pozna nas także, jak dłużej postoiśmy na środku ulicy.

Fakt.

- Dobrze, powiem ci, co zrobimy. Sprawdzimy, czy Maxine jest w domu. Jeśli nie, usiądziemy sobie z Margie, pooglądamy telewizję i zaczekamy, aż Maxine się pojawi.

- Dobry plan. Mam wejść od frontu czy od tyłu?
- Od tyłu.

- I pewnie nie chcesz, żebym strzelała.

- Strzelanie to nie jest moje ulubione zajęcie. Lula ruszyła na tyły domu, a ja podeszłam do drzwi frontowych. Zapukałam dwa razy. Otworzyła Margie.

Na mój widok drgnęła.

- Cześć - powiedziałam. - Szukam Maxine.

- Nie ma jej.

- Czy mogę wejść i sprawdzić to na własne oczy?

Za plecami Margie pojawiła się matka Maxine.

- Kto to? - zaciągnęła się papierosem i wypuściła dym nosem jak smok. - Chryste, to znowu ty! Zaczynasz się robić upierdliwa.

Lula nadeszła od strony kuchni.

- Mam nadzieję, że nikomu nie przeszkadzam. Drzwi były otwarte.

- O Jezu! - mruknęła pani Nowicki. - I jeszcze ta.

Na podłodze leżało puste pudło, a obok niego stała lampa.

- Wygrałaś to w salonie gier? - spytała Lula.

- Będzie stała w mojej sypialni - wyjaśniła Margie. - Dwadzieścia siedem tysięcy punktów. Wczoraj Maxine wygrała frytkownicę.

- Wygrałyśmy wszystko, co jest w tym domu - dodała pani Nowicki.

- Gdzie jest Maxine? - spytałam.

- Miała parę spraw do załatwienia.

Lula usiadła na kanapie i wzięła pilota.

- Więc na nią zaczekamy. Mogę pooglądać telewizję, prawda?

- Tak się nie robi - warknęła pani Nowicki. - Nie można wchodzić ludziom do domu i zachowywać się jak u siebie.

- Można, można - zapewniła ją Lula cynicznie. - Jesteśmy łowcami nagród. Wolno nam wszystko. Chroni nas takie debilne prawo, ustanowione w 1869 roku, kiedy ludzie nie mieli o niczym pojęcia.

- Czy to prawda? - zwróciła się do mnie pani Nowicki.

- Hm, to prawo nie dotyczy kontroli nad pilotem - przyznałam uczciwie. - Ale daje nam masę przywilejów, kiedy dochodzi do pościgu i aresztowania.

Od strony podjazdu dobiegł nas chrzęst żwiru. Margie i pani Nowicki wymieniły spojrzenia.

- To Maxine, tak? - spytałam.

- Wszystko zepsujecie - mruknęła pani Nowicki. - Tak to ładnie zaplanowałyśmy, a wy wszystko zepsujecie.

- My? Lepiej spójrzcie na siebie. Jedna została oskalpowana, drugiej ktoś obciął palec. W Trenton znaleziono martwą sprzedawczynię. A wam się zachciewa głupich zabaw!

- To nie takie proste - powiedziała Margie. - Jeszcze nie możemy wyjechać. Oni muszą nam zapłacić.

Na zewnątrz trzasnęły zamknięte drzwiczki samochodu i pani Nowicki podskoczyła.

- Maxine! - ryknęła.

Lula trąciła ją biodrem. Pani Nowicki straciła równowagę i upadła na kanapę, a Lula usiadła na niej.

- Wiem, że ona na mnie nawrzeszczy, jeśli cię zabiję - wyjaśniła. - Więc posiedzę sobie tylko, dopóki nie umilknie.

- Nie mogę oddychać - zipnęła pani Nowicki. - Może byś przeszła na dietę?

Margie wyglądała jak schwyte w pułapkę zwierzę, ale nie była zdecydowana, czy powinna krzyknąć, czy rzucić się do ucieczki.

- Siedź - rozwiązałam jej wątpliwości, wyciągnęłam z torebki wielką puszkę pieprzu w aerozolu i potrząsnęłam nią, by się upewnić, czy coś w niej zostało. - Nie ruszaj się, bo wszystko skomplikujesz.

Kiedy Maxine weszła do pokoju, ja byłam ukryta za drzwiami,

ale Lula, siedząca na pani Nowicki, znajdowała się na widoku w całej okazałości.

- Się ma - powiedziała do Maxine.

- Kurde - mruknęła Maxine. Odwróciła się na pięcie i zrobiła krok ku drzwiom.

Zatrzasnęłam je i wymierzyłam w nią puszkę.

- Stój! Nie zmuszaj mnie, żebym tego użyła.

Maxine cofnęła się i uniosła obie ręce do góry.

- Zejdź ze mnie, ty wielorybie - warknęła pani Nowicki.

Przy pasku szortów miałam kajdanki. Podałam je Luli i kazałam, żeby skula Maxine.

- Przykro mi to zrobić - powiedziałam. - Nie jesteś oskarżona o nic poważnego. Jeśli będziesz ze mną współpracować, może nawet cię nie wsadzą.

- Nie martwię się o to, że mnie wsadzą - mruknęła Maxine - tylko o to, że mi dadzą w czapę.

Lula podeszła do niej z kajdankami. W tej samej chwili, bez ostrzeżenia, frontowe i tylne drzwi otworzyły się z trzaskiem i do środka wpadła Joyce Barnhardt. Miała na sobie czarny kombinezon z napisem „łowca nagród” i wymachiwała pistoletem. Towarzyszyły jej trzy kobiety, ubrane tak jak ona, uzbrojone jak cała armia. Wrzeszczały na całe gardło i robiły takie skoki na ugiętych nogach jak policjanci na filmach.

Nowa lampa Margie upadła i rozbiła się z trzaskiem. Margie, Maxine i pani Nowicki zaczęły się miotać po mieszkaniu, krzycząc: „O nie!” i „Ratunku!”, a także „Nie strzelać!” Lula padła za kanapę i skuliła się tak, jak to tylko możliwe w wykonaniu stukilowej kobiety. A ja wrzeszczałam na nie, żeby przestały wrzeszczeć.

Przez jakiś czas w tym jednym małym pokoju panowało piekło. Wydawało mi się, że jest nas co najmniej sto. A potem nagle zorientowałam się, że brakuje Maxine. Usłyszałam pisk opon i wyrzałam w samą porę, żeby zobaczyć znikający tylny zderzak samochodu.

Ja zjawiłam się tu pieszo, więc nie czułam potrzeby pośpiechu. I na pewno nie zamierzałam pomagać tej zołzie Joyce. Więc usiadłam w wielkim, miękkim fotelu i czekałam, aż się wszystko

uspokoi. Tak naprawdę miałam wielką ochotę wpaść w to kłębowisko i stłuc Joyce na kwaśne jabłko, ale nie mogłam dawać Luli złego przykładu.

Oddział Joyce składał się z jej kuzynki Karen Ruzinski i Marlene Ćwik. Trzeciej kobiety nie znałam. Karen ma dwoje małych dzieci, więc doszłam do wniosku, że z radością da spokój temu przedstawieniu.

- Cześć, Karen - powiedziałam. - A gdzie dzieci? Z opiekunką?

- U mojej matki. Ma w ogrodzie basen. Taki duży, z cembrowiną. - Karen odłożyła pistolet na stolik do kawy i wyjęła portfel. - Popatrz, to Susan Elizabeth. W tym roku idzie do szkoły.

Pani Nowicki chwyciła broń. Karen, nacisnęła spust i wystrzeliła dziurę w suficie nad telewizorem. Wszyscy znieruchomieli i wytrzeszczyli na nią oczy.

Pani Nowicki wymierzyła broń w Joyce.

- Koniec ubawu.

- Wpakowała się pani w wielkie kłopoty - postraszyła ją Joyce.

- Chroni pani zbiega.

Na twarzy pani Nowicki rozlał się zimny uśmiech.

- Kotku, nikogo nie chronię. Widzisz tu jakiegoś zbiega?

W oczach Joyce powoli zaświtało zrozumienie.

- Gdzie Maxine?

Teraz i ja się uśmiechnęłam,

- Maxine wyszła.

- Umyślnie pozwoliłaś jej uciec!

- Coś ty! Nie mogłabym zrobić czegoś takiego. Lula, czyja bym mogła to zrobić?

- Nigdy w życiu. Jesteś zawodowcem - oznajmiła Lula. - Choć muszę powiedzieć, że nie masz takiego fajnego kombinezonu jak one.

- Nie uciekła daleko - warknęła Joyce. - Wszyscy do samochodu! Pani Nowicki pogrzebała w kieszeniach, wyjęła papierosa i wsadziła go sobie w usta.

- Maxie już dawno tu nie ma. Nigdy jej nie znajduję.

- Tak dla ciekawości - odezwał się. - O co tu chodzi?

- O pieniądze - powiadomiła mnie pani Nowicki. I obie z Margie wybuchnęły śmiechem. Jakby było w tym coś zabawnego.

Kiedy wróciłam, zastałam Morellego przed telewizorem. Oglądał „Koło fortuny”, a obok niego stały trzy puste butelki po piwie.

- Zły dzień? - spytałam.

- Po pierwsze... miałaś rację co do mieszkania. Zwęglone do fundamentów. Jak również samochód. Jakby tego było mało, ludzie dowiedzieli się, że mieszkamy razem i moja matka o szóstej czeka na nas z kolacją.

- Nie!

- Tak.

- Coś jeszcze?

- Padła sprawa, nad którą pracowałem od czterech miesięcy.

- To smutne.

Morelli machnął ręką z obrzydzeniem.

- Bywa.

- Jadłeś coś?

Morelli uniósł brew i rzucił mi spojrzenie z ukosa.

- Co masz na myśli?

- Żarcie.

- Nie, nie jadłem.

Poszłam do kuchni i przywitałam się z Rexem, który siedział na małej górcie przekąsek. Dzięki uprzejmości Morellego mój chomik pożywiał się winogronem, małą pianką, grzanką i orzeszkami. Zabrałam mu piankę i zjadłam, chroniąc tym samym Rexa przed próchnicą.

- Na co masz ochotę? - spytałam Morellego.

- Na stek, ziemniaki i zielony groszek.

- A co powiesz na temat kanapki z masłem orzechowym?

- Też dobrze.

Zrobiłam dwie kanapki i przyniosłam je do salonu,

Morelli przyjrzał się im nieufnie.

- Co to za kulki?

- Oliwki.

Rozchylił kromki i zajrzał do środka.

- A gdzie galaretka?

- Nie ma.

- Muszę się napić piwa.

- Jedz, do cholery! - ryknęłam. - Co jest, wyglądam, jakbym była niezniszczalna? Ja też nie miałam dobrego dnia! Oczywiście nikt mnie o to nie pytał!

Morelli wyszczerzył zęby.

- Więc jak ci minął dzień?

Opadłam bez sił na kanapę.

- Znalazłam Maxine. Zgubiłam Maxine.

- To się zdarza. Znowu ją znajdziesz. Jesteś łowcą nagród z piekła rodem.

- Boję się, że tym razem Maxine zniknie na dobre.

- Wcale się nie dziwię. Grasują tu dziwne typy.

- Spytałam jej matki, o co tu chodzi, i dowiedziałam się, że o pieniądze. Powiedziała mi to i zaczęła się śmiać.

- Widziałaś się z jej matką?

Wprowadziłam go w szczegóły, a on wysłuchał mnie z dość kwaśną miną.

- Ktoś powinien coś zrobić z tą Barnhardt - mruknął.

- Masz jakieś pomysły?

- Tylko takie, za które można siedzieć.

Przez chwilę oboje milczeliśmy.

- Dobra - nie wytrzymałam. - Jak dobrze znasz Joyce?

Uśmiech powrócił.

- O co ci chodzi?

- Dobrze wiesz o co.

- Chcesz pełnego sprawozdania z mojego życia seksualnego?

- To by pewnie potrwało parę dni.

Morelli rozwalił się jeszcze bardziej w fotelu, wyciągnął nogi i uśmiechnął się z rozmarzeniem.

- Nie znam Joyce tak dobrze jak ciebie.

Dzwonek poderwał nas oboje. Morelli sięgnął po stojący obok telefon bezprzewodowy. Przez chwilę słuchał. Spojrzał na mnie i powiedział bezgłośnie:

„Twoja matka”.

Zaczęłam rozpaczliwie machać rękami, co miało znaczyć: nie, nie, nie!!! Ale Morelli uśmiechnął się jeszcze szerzej i podał mi słuchawkę.

- Widziałam się dziś z Edem Crandle - powiedziała matka. -

Powiedział, że się wszystkim zajmie. Podrzuci nam formularze.

Ed Crandle mieszka naprzeciwko moich rodziców i zajmuje się ubezpieczeniami. To chyba oznaczało, że byłam ubezpieczona. W normalnych warunkach zajrzałabym do szuflady biurka, żeby to sprawdzić. Ten wariant odpadał, ponieważ moje biurko obecnie stanowiło garść popiołu.

- I dzwonił jeszcze ten miły gospodarz domu, Dillon Ruddick. Powiedział, że twoje mieszkanie jest zapieczętowane, więc nie możesz wejść. Ale zacznij je remontować od przyszłego tygodnia. A jakaś kobieta o imieniu Sally chciała, żebyś do niej zadzwoniła.

Podziękowałam i jeszcze raz odrzuciłam zaproszenie na kolację oraz propozycję zamieszkania w moim dawnym pokoju. Rozłączyłam się i zadzwoniłam do Sally.

- Kuma - usłyszałam na samym początku. - Właśnie się dowiedziałem o twoim mieszkaniu. W mordę, biedna jesteś. Mogę ci pomóc? Szukasz mety? Powiedziałam mu, że zamieszkałam z Morellim.

- Gdybym nie miał szpilek, to bym go od razu sprowadził do parteru - powiedział Sally.

Zakończyłam rozmowę i przekonałam się, że Morelli dał sobie spokój z „Kołem fortuny” i ogląda mecz. Byłam cała lepka od potu, od słońca palił mnie kark, a nos świecił mi się jak latarnia. Powinnam się posmarować kremem do opalania.

- Idę pod prysznic - powiadomiłam Morellego. - To był długi dzień.

- Czy to może erotyczny prysznic?

- Nie. Normalny.

- Tak tylko pytałem, na wszelki wypadek.

Łazienka, jak reszta pomieszczeń w domu, była dawno nie odnawiana, ale czysta. Mniejsza niż moja i ze starszymi urządzeniami sanitarnymi. Ale za to te urządzenia pochodziły z czasów, kiedy modele umywalek i wanien miały w sobie więcej wdzięku. Na półce nad toaletą leżały ręczniki. Szczotka do zębów, pasta i brzytwa zostały odsunięte na lewą stronę półeczki nad umywalką. Położyłam swoją szczoteczkę i pastę po prawej. Jak w rodzinnym stadle. Wzdrygnęłam się. Uważaj, Stephanie... to nie romans. To rezultat pożaru. Nie miałam odwagi, żeby zajrzeć do

apteczki. To by już było wścibstwo, a poza tym bałam się tego, co mogłam tam znaleźć.

Wzięłam prysznic, umyłam zęby i właśnie wycierałam włosy ręcznikiem, kiedy Morelli zapukał do drzwi,

- Dzwoni Eddie Kuntz! - zawołał. - Chcesz, żeby zadzwonił później?

Owinęłam się wielkim prześcieradłem kąpielowym, uchyliłam drzwi i wyciągnęłam rękę.

- Odbiorę.

Morelli szybko podał mi słuchawkę, a jego spojrzenie ześliznęło się na mój ręcznik.

- Cholera! - szepnął.

Usiłowałam zamknąć drzwi, ale Morelli nie puszczał słuchawki. Trzymałam ją jedną ręką, ręcznik drugą, a kolanem usiłowałam zamknąć drzwi. Oczy Morellego stały się bardzo ciemne, jak płynna czekolada. Znałam to spojrzenie. Już je widywałam i za każdym razem źle na tym wychodziłam.

- To na nic - powiedział Morelli, wędrując wzrokiem od ręcznika do moich nóg i z powrotem.

- Halo? - powtarzał Kuntz po tamtej stronie. - Stephanie?

Starałam się wyszarpnąć Morellemu słuchawkę z ręki, ale miał dobry chwyt. Serce zaczęło mi mocno bić i poczułam, że się pocę w bardzo nietypowych miejscach.

- Powiedz mu, że oddzwonisz - rozkazał Morelli.

ROZDZIAŁ 9

Zacisnęłam zęby.

- Puszczaj ten telefon!

Morelli puścił, ale nadal trzymał stopę w drzwiach.

- No? - warknęłam do słuchawki.

- Czekam na sprawozdanie z postępów.

- Sprawozdanie brzmi tak, że nie ma żadnych postępów.

- Chybabyś nic przede mną nie ukrywała?

- Zgadłeś. A tak na marginesie, ktoś oblał mój samochód benzyną i spalił mi mieszkanie. Może przypadkiem wiesz, kto by to mógł być?

- Jezu! Nie. Myślisz, że to Maxine?

- Dlaczego Maxine miałyby spalić mi mieszkanie?

- Nie wiem. Bo dla mnie pracujesz?

Morelli odebrał mi słuchawkę.

- Później - powiedział do Kuntza. Potem się rozłączył i odłożył telefon na umywalkę.

- To nie jest dobry pomysł - wymamrotałam słabo, ale jednocześnie myślałam: dlaczego nie? Miałam ogolone nogi, byłam prawie goła i kurczę, po tym wszystkim chyba należał mi się orgazm? Przynajmniej tyle mogłam dla siebie zrobić.

Morelli musnął moje nagie ramię.

- Wiem - szepnął - to bardzo zły pomysł. - Przesunął ustami tuż poniżej mojego ucha. Przez ułamek chwili patrzyliśmy sobie w oczy, a potem Morelli mnie pocałował. Miał delikatne wargi, a pocałunek trwał długo. W liceum moja najlepsza przyjaciółka Mary Lou powiedziała, że Morelli jest podobno szybki. Tak naprawdę było dokładnie odwrotnie. Morelli znał się na powolnych ruchach. Wiedział, jak doprowadzić kobietę do szaleństwa.

Znowu mnie pocałował, nasze języki się spotkały i pocałunek stał się głębszy. Poczułam jego dłonie w talii, a potem na plecach; przygarnął mnie do siebie i albo miał rekordową erekcję, albo trzymał w kieszeni latarkę. Według mnie była to jednak erekcja. Pomyślałam, że ta duża, twarda rzecz może rozproszyć moje smutki.

- Mam je - wymamrotał Morelli.

- Co masz?

- Kondomy. Całe pudełko. Poważna inwestycja. Najwyższe osiągnięcie techniki.

To pudełko nie miało szans doczekać świtu.

A potem znowu poczułam usta Morellego na szyi, obojczyku, piersiach widocznych nad ręcznikiem. Ręcznik zresztą zaraz przestał zawadzać, Morelli musnął wargami mój sutek i poczułam, że coś we mnie wybucha. Jego dłonie były wszędzie - pieszczotliwe, natarczywe... Pocałunki przeniosły się niżej, ku pępkowi, brzuchowi i...

O JEJUNIU!

Mary Lou powiedziała także, że podobno Morelli ma język jak jaszczurka, a teraz przekonałam się o prawdziwości tej plotki. Niech Bóg błogosławi całą faunę, a w szczególności gady, już nigdy nie będę nimi gardzić. Zanurzyłam palce w jego włosach, gołe pośladki opierałam o umywalkę i myślałam tylko jedno: mniem! Byłam bardzo blisko, czułam to... to rozkoszne napięcie, płomień i bezrozumne pragnienie rozładowania.

A wtedy Morelli przesunął usta nieco na lewo.

- Wracaj! - rzuciłam bez tchu. - Wracaj! WRACAJ!

Morelli pocałował wewnętrzną stronę mojego uda.

- Jeszcze nie.

Poczułam, że ogarnia mnie szaleństwo. Byłam tak blisko!

- Jak to „jeszcze nie”?! -

- Nie tak szybko.

- Żartujesz? Jakie szybko? Lata minęły!

Morelli wyprostował się, wziął mnie na ręce, zaniósł do sypialni i rzucił na łóżko. Zdjął podkoszulek i szorty, nie spuszczać ze mnie oczu, które wyglądały, jakby całe składały się z wielkich źrenic w oprawie czarnych rzęs. Ręce miał spokojne, ale oddychał ciężko. A potem pozbył się slipów i stanął przede mną w całej okazałości. Nagle nawiedziły mnie poważne wątpliwości. To się nie mogło udać. Był okropnie duży. Większy, niż zapamiętałam. Większy, niż można by się spodziewać. Morelli wyjął prezerwatywę z pudełka, a ja wycofałam się w kąat łóżka.

- Właściwie po namyśle... - zaczęłam.

Morelli chwycił mnie za kostki, położył na plecach i rozłożył mi nogi.

- Żadnego namysłu - zapowiedział i pocałował mnie. A potem dotknął dokładnie tego miejsca, co trzeba. Poruszył palcem i teraz doszłam do wniosku, że może jednak nie jest za duży. Właściwie na pewno nie. Zaczęłam się zastanawiać, co mam zrobić, żeby to cholerstwo znalazło się we mnie. Nie przeszkadzał mi jego widok, ale z patrzenia nie miałam żadnego pożytku.

Wyciągnęłam ku niemu rękę, ale Morelli zgrabnie odsunął się spoza mojego zasięgu.

- Jeszcze nie.

Co jest, do cholery, z tym „jeszcze nie”!

- Jestem gotowa!

- Tylko ci się tak wydaje - powiedział i przystąpił do tortury języka.

No dobrze, jeśli tak chciał to zrobić, nie widziałam przeciwskazań, ponieważ, prawdę mówiąc, bardzo mi się to podobało. W gruncie rzeczy znowu zaczęłam się zbliżać do upragnionego celu. Jeszcze pół minuty i odleczę w niebyt, wrzeszcząc jak potępiona dusza.

A wtedy Morelli znowu przesunął się odrobinę w lewo.

- Bydlę - powiedziałam... dość czułym głosem. Pogłaskałam go i poczułam, że wstrzymuje oddech. Przesunęłam czubkami palców po samym czubku i Morelli zamarł bez ruchu. Pochyliłam się i liznęłam.

- Przestań - jęknął. - Nie jestem Supermanem. Byłabym się pomyliła. Podjęłam dalsze działania i nagle Morelli zaczął się bardzo spieszyć. W ułamku chwili ległam na plecach, z Morellem nade mną.

- Jeszcze nie - powiedziałam. Prezerwatywa znalazła się na miejscu.

- Akurat. Hę, hę, hę.

Następnego ranka obudziłam się w płataninie wilgotnej pościeli, obok ciepłego Morellego. Zapas prezerwatyw został znacznie uszczuplony, a ja czułam się bardzo odprężona. Morelli poruszył się; przytuliłam się do niego...

Dwie godziny później w pudełku zrobiło się jeszcze luźniej. Leżeliśmy bezwładnie na łóżku. Pomyślałam, że seks to pierwszorzędna sprawa, ale nie będę go potrzebować przez następne dziesięć albo piętnaście lat. Oceeniłam odległość pomiędzy łóżkiem i łazienką, zastanawiając się, czy zdołam się tam dowlec. Zadzwoił telefon; Morelli podał go mnie.

- Tak się zastanawiam, w co mam się dziś ubrać - powiedział Sally. - Jak sądzisz, mam być mężczyzną czy kobietą?

- Dla mnie bez różnicy. Lula i ja będziemy kobietami. Chcesz się z nami spotkać na miejscu czy wpaść po ciebie?

- Spotkamy się na miejscu.

- W porządku.

Odwróciłam się do Morellego.

- Pracujesz dzisiaj?

- Może przez pół dnia. Muszę porozmawiać z kilkoma osobami.

- Ja też. - Wydzwignęłam się do pozycji siedzącej. - Co do kolacji...

- Nawet nie myśl, żeby mnie wystawić do wiatru. Znajdę cię i zmienię ci życie w piekło.

Skrzywiłam się duchu i popęłam do łazienki. Udało mi się po drodze nie wydawać jęków. Bogini seksu czuła się nieco obolała.

Wzięłam prysznic, ubrałam się i poszłam do kuchni. Nigdy jeszcze nie widziałam Morellego tuż po wstaniu z łóżka. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale z pewnością nie zarośniętego zwierza w rozciągniętym podkoszulku i pomiętych szortach. Morelli miał na twarzy czarną szczecinę, a w dodatku nie uczesał włosów, którym od wielu tygodni przydałoby się obcięcie.

Wczoraj wieczorem wydawało mi się to pociągające. Rano stanowiło z gruntu przerażający widok. Nalałam sobie kawy, nasypałam płatków do miseczki i usiadłam przy stole. Drzwi kuchenne były otwarte; wpadało przez nie rześkie poranne powietrze. Za godzinę znowu zrobi się upalnie i parno. Cykady już zaczęły koncert. Pomyślałam o mojej kuchni i smutnym osmalonym mieszkaniu. Gardło mi się ścisnęło. Pamiętaj, co ci powiedział Morelli, pomyślałam. Skup się na pozytywach. Mieszkanie da się odratować. Położy się nową wykładzinę i

pomaluje ściany. Będzie lepiej niż poprzednio. A co jeszcze powiedział? Trzeba skupić się na pracy, a nie na strachu. Dobra, to się da zrobić. Zwłaszcza teraz, kiedy siedziałam naprzeciwko mężczyzny swojego życia.

Morelli wypił kawę i dalej czytał gazetę.

Poczułam, że mam ochotę nalać mu kawy. I nie koniec na tym. Chciałam mu zrobić śniadanie. Grzanki, boczek i świeży sok z pomarańczy. Potem chciałam zrobić pranie i położyć na stole nowy obrus. Rozejrzałam się. Kuchnia nie wyglądała źle, ale przydałoby się ją czymś ozdobić. Może świeżymi kwiatami? A baryłeczka na ciastka?

- Oho - mruknął Morelli.

- Co?

- Znowu masz to spojrzenie... jakbyś chciała mi przemeblować kuchnię.

- Nie masz baryłki na ciastka.

W Morelli obrzucił mnie takim wzrokiem, jakby nagle wyrósł mi drugi nos.

- Nigdy nie rozumiałem, do czego służą te baryłki - powiedział po chwili. - Otwieram pudełko. Zjadam ciastka. Wyrzucam pudełko.

- Tak, ale dzięki baryłeczce w kuchni robi się bardziej przytulnie.

Kolejne spojrzenie,

- W mojej baryłeczce trzymam pistolet - dodałam tytułem wyjaśnienia.

- Kochanie, mężczyzna nie może trzymać gnata w baryłeczce na ciastka. Tak się nie robi.

- Rockford tak robił.

Morelli wstał i pocałował mnie w czubek głowy.

- Teraz wezmę prysznic. Jeśli wyjdiesz, zanim skończę, obiecaj, że wrócisz do domu o piątej.

Tyle na temat mężczyzny mojego życia. Wykonałam pod jego adresem jeden z moich ulubionych gestów, którego nie zobaczył, bo już wyszedł.

- Pieprzyć baryłeczki - powiedziałam do Rexa. - I niech sam sobie pierze. - Dojadłam płatki, opłukałam miseczkę i wsadziłam

ją do zmywarki. Zarzuciłam na ramię torbę i ruszyłam do biura.

- O mamusiu! - jęknęła Connie, kiedy tylko stanęłam w progu. - Zrobiłaś to!

- Co proszę?

- Jak było? Szczegóły!

Lula wyjrzała zza sterty dokumentów.

- Aha - przyświadczyła. - Faktycznie, zrobiłaś to.

Otworzyłam szeroko oczy.

- Skąd wiecie? - Powąchałam się. - Czuć mnie?

- Widać na pierwszy rzut oka - powiedziała Lula. - Jesteś totalnie odprężona.

- Tak - dodała Connie. - Zadowolona.

- To prysznic - powiedziałam. - Wzięłam długi, cudowny prysznic.

- Szkoda, że nie mam takiego prysznica - mruknęła Lula.

- Vinnie jest u siebie?

- Tak, wrócił wczoraj w nocy. Hej, Vinnie! - ryknęła Connie. - Stephanie przysła!

Z głębi gabinetu dobiegło mnie mamrotanie „O matko”, a potem drzwi się otworzyły.

- O co chodzi?

- O Joyce Barnhardt.

- No więc dałem jej robotę. - Vinnie przyjrzał mi się z nagłą uwagą. - Jezu, przed chwilą się kochałaś?

- Poddaję się. Wzięłam prysznic. Uczesalam się, umalowałam i włożyłam nowe ubranie. Zjadłam śniadanie. Umyłam zęby, cholera jasna. Jak to się dzieje? Dlaczego wszyscy wiedzą, że się kochałam?

- Wyglądasz inaczej - wyjaśnił Vinnie.

- Jakbyś była zadowolona - dorzuciła Connie.

- Odprężona - dobiła mnie Lula.

- Nie chcę o tym mówić! - krzyknęłam. - Chcę porozmawiać o Joyce Barnhardt. Dałeś jej Maxine Nowicki. Jak mogłeś? Nowicki należy do mnie.

- Nie szło ci, więc pomyślałem: a co, cholera, niech Joyce też spróbuje.

- Wiem, dlaczego dostała tę sprawę - powiedziałam ponuro. - I powiem o tym twojej żonie.

- Jeśli jej powiesz, to ona powie swojemu ojcu, a on mnie zabije. A wtedy wiesz, co cię czeka? Bezrobocie.

- Dobrze gada - mruknęła Lula. - Wszystkie stracimy robotę.

- Masz jej odebrać tę sprawę. Lula i ja już miałyśmy Maxine w rękę, ale Joyce wpadła razem z bandą swoich kumpelek i wszystko popsuła.

- Dobra, dobra, pogadam z nią - obiecał Vinnie.

- I zabierzesz jej sprawę Nowicki.

- Aha.

- Dzwonił Sally i powiedział, że dziś będzie w barze - zwróciłam się do Luli. - Chcesz pójść?

- Jasne, nie stracę takiego ubawu.

- Podwieźć cię?

- Nie. Kupiłam samochód. - Lula spojrzała ponad moim ramieniem w stronę drzwi wejściowych. - Teraz muszę jeszcze znaleźć mężczyznę, który by do niego pasował. Nawet wiem, jak się ten mężczyzna nazywa.

Connie i ja odwróciłyśmy się, idąc za jej spojrzeniem. W drzwiach stał Ranger, cały w czerni, z włosami ściągniętymi w kucyk i złotym kolczykiem w jednym uchu.

- Hej - powiedział. Przyjrzał mi się i błysnął uśmiechem. - Morelli?

- Kurde - warknęłam. - To się robi męczące.

- Wpadłem po dokumenty Thompsona - powiedział Ranger do Connie. Podała mu dużą kopertę.

- Powodzenia.

- Co to za jeden?

- Norvil Thompson. Napadł na monopolowy. Zabrał z kasy czterysta dola rów, trochę drobnych oraz beczulkę whisky. Zaczął tankować już na parkingu i zasnął. Znalazł go dozorca, który wezwał policję. Thompson nie pojawił się na rozprawie.

- Jak zwykle - dodała Connie.

- Już to zrobił?

- Dwa razy.

Ranger podpisał umowę, oddał ją Connie i spojrzał na mnie.

- Chcesz mi pomóc?
- Nie będzie strzelał, co?
- Ach, gdybyż to było tak proste...

Ranger jeździł czarnym nowiutkim rangę roverem. Zawsze wybierał sobie czarne samochody. Zawsze były nowe. I zawsze drogie. Nigdy nie odważyłam się go spytać, skąd je bierze. A on nigdy mnie nie pytał, ile waży.

Przejechaliśmy przez centrum i skręciliśmy w Stark Street. Minęliśmy siłownię na osiedlu pełnym parterowych szeregowych domków. Zbliżało się południe: matki na urloпах wychowawczych siedziały razem z dziećmi na schodkach, szukając wytchnienia, którego nie dawały im duszne wnętrza mieszkań.

Przejrzałam akta, żeby zapoznać się z osobą Thompsona. Mężczyzna, czarny, metr sześćdziesiąt osiem, osiemdziesiąt kilo, sześćdziesiąt cztery lata. Problemy z układem oddechowym. To oznaczało, że nie możemy użyć pieprzu w aerozolu.

Zatrzymaliśmy się przed dwupiętrowym ceglanyim budynkiem. Taras i ściany pod oknami na parterze były ozdobione gangsterskimi hasłami, a na ulicy leżała warstwa śmieci. Całe osiedle pachniało jak wielkie burrito.

- Ten gość nie jest taki niebezpieczny, jak się wydaje - powiedział Ranger. - przeważnie tylko utrudnia innym życie. Zawsze jest pijany, więc straszenie bronią odpada. Ma astmę, więc nie można go potraktować gazem. I jest stary, więc nie można go pobić, bo to głupio wygląda. Musimy go zakuć w kajdanki i wynieść z domu. Dlatego cię wziąłem. Do wynoszenia potrzeba dwóch osób.

Cudownie.

Przed drzwiami domku obok siedziały dwie kobiety.

- Wy do starego Norvila? - spytała jedna. - Znowu prysnął? Ranger uniósł rękę na powitanie.

- Cześć, Regina, jak leci?

- Teraz dobrze, skoro cię widzę. - Kobieta pochyliła się do otwartego okna na parterze. - E, Debora! - wrzasnęła. - Ranger przyszedł! Będzie zabawa!

Ranger wszedł do budynku i ruszył po schodach.

- Drugie piętro - powiedział. Zaczęłam doznawać niejasnych obaw.

- O jaką zabawę jej chodziło?

Ranger był już na podeście pierwszego piętra.

- Na drugim piętrze są dwa mieszkania. Thompson zajmuje to po lewej. Pokój z łazienką. Tylko jedno wyjście. O tej porze powinien być w domu. Regina by mi powiedziała, gdyby wyszedł.

- Mam przeczucie, że powinnam się o nim dowiedzieć czegoś więcej.

Ranger był już w połowie trzeciego biegu schodów.

- Musisz wiedzieć, że to kompletny świrus. A jeśli zacznie rozpinać rozporek, cofnij się jak najdalej. Raz nasikał na Hansona, który przysięga, że stał o cztery metry od niego.

Hanson to także łowca nagród. Głównie pracuje dla firmy poręczycielskiej Złota Gwiazda z First Street. Nie zrobił na mnie wrażenia kogoś, kto by musiał ubarwiać swoje opowieści, więc odwróciłam się na pięcie i ruszyłam z powrotem.

- Dziękuję, to mi wystarczy. Zadzwoń po Lulę, żeby mnie zabrała.

Ranger chwycił mnie za kołnierz.

- Nic z tego, jesteśmy w tym razem.

- Nie chcę, żeby ten facet mnie obsikał.

- Tylko uważaj. Jeśli sięgnie do rozporka, oboje na niego skoczymy.

- Wiesz co, mogłabym zdobyć inną, lepszą pracę. Nie muszę tego robić.

Ranger objął mnie po przyjacielsku ramieniem i popchnął na schody.

- To nie jest zwyczajna praca. Służymy społeczeństwu. Krzewimy praworządność, dziecińco.

- Dlatego to robisz? Ponieważ wierzysz w sprawiedliwość?

- Nie. Robię to dla pieniędzy. I dlatego że to mi wychodzi najlepiej. Staaliśmy po obu stronach drzwi Thompsona.

Ranger zapukał.

- Zasrańcy! - wrzasnął ktoś z głębi mieszkania.

Ranger uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Norvil jest w domu. - Zapukał jeszcze raz. - Otwieraj, muszę z

tobą porozmawiać.

- Widziałem was przez okno! - odkrzyknął Norvil zza zamkniętych drzwi. - Nie otworzę, chyba że po własnym trupie!

- Liczę do trzech, a potem wyważę drzwi - oznajmił Ranger. - Raz, dwa... - Nacisnął klamkę, ale drzwi ani drgnęły. - Trzy! - Brak reakcji. - Cholerny, uparty stary moczymorda - mruknął Ranger. Cofnął się i wymierzył solidnego kopniaka w miejsce na lewo od klamki. Rozległ się trzask pękającego drewna i mieszkanie stanęło przed nami otworem.

- Zasrańcy! - wrzasnął Norvil.

Ranger ostrożnie przestąpił próg, trzymając broń w pogotowiu.

- W porządku - rzucił. - Nie jest uzbrojony. Weszłam i stanęłam obok Rangera. Norvil stał pod przeciwległą ścianą. Po prawej stronie miał porysowany stół z laminatu i jedno drewniane krzesło. Połowę stołu zajmowało tekturowe pudło z jedzeniem. Krakersy, czekoladowe płatki kukurydziane, torba pianek, butelka keczupu. Za stołem znajdowała się gigantyczna lodówka. Norvil miał na sobie spłowiały podkoszulek z napisem „Benzynka od Buda i Jego Synka” oraz obszerne spodnie khaki. I trzymał pojemnik z jajkami.

- Zasrańcy! - powtórzył po raz kolejny. I zanim zrozumiałam, co się szykuje... dostałam jajkiem w sam środek czoła. Odskoczyłam; butelka keczupu świsnęła mi koło ucha, walnęła w drzwi i eksplodowała. W ślad za nią poleciał słoik z korniszonami i inne jajka. Ranger dostał jednym w ramię, a ja oberwałam w klatkę piersiową. Uskoczyłam przed słoikiem majonezu i jeszcze jedno jajko rozbryznęło mi się na głowie. Norvil wpadł w szal. Rzucił wszystkim, co wpadło mu w rękę: grzankami, krakersami, chipsami, nożami, łyżkami, salaterkami i talerzami. Rozerwał torbę mąki, której kłęby uniosły się w powietrze i wypełniły cały pokój.

- Przekłęte komuchy, sługusy bolszewików! - ryczał, nerwowo szukając amunicji w pudle.

- Teraz! - rzucił Ranger.

Oboje skoczyliśmy na Thompsona i złapaliśmy go za rękę. Ranger zatrzasnął mu kajdanki na przegubie. Z wysiłkiem przytrzymaliśmy drugą dłoń. Norvil zamachnął się i uderzył mnie w ramię. Straciłam równowagę, pośliznęłam się na krakersach i

gruchnęłam na ziemię. Usłyszałam szcęknięcie drugiej bransoletki i podniosłam głowę.

Ranger uśmiechał się od ucha do ucha.

- Jak tam?

- Bosko - zgrzytnęłam.

- Masz na sobie tyle jedzenia, że można by wykarmić dużą rodzinę.

Ranger był zupełnie czysty. Na jednym ramieniu miał małą płamkę po jajku.

- Jak to się stało, że tylko ja wyglądam jak nieboskie stworzenie?

- Przede wszystkim nie stanąłem na środku pokoju. A poza tym nie padłem na podłogę i nie tarzałem się w mące. - Pomógł mi wstać. - Pierwsza zasada sztuki walki: jeśli ktoś w ciebie czymś rzuci, ustąp mu z drogi,

- Diabelska dziwka! - wrzasnął do mnie Norvil.

- No co! - odwrzasnęłam. - To pierwszy raz od dawna! A poza tym nie twój interes.

- On tak mówi do wszystkich - wyjaśnił Ranger. Norvil zaparł się na rozstawionych nogach.

- Nigdzie nie pójdę.

Spojrzałam na elektryczny pistolet, który Ranger miał u pasa.

- A może byśmy go porazili?

- Nie wolno wam! - zawołał Norvil. - Jestem stary. Mam rozrusznik. Moglibyście mnie zabić.

- Kurczę, ale by było fajnie - wycodziłam.

Ranger wyjął szeroką taśmę klejącą i owinął nią kostki Norvila.

- Zaraz upadnę! - zagroził staruch. - Nie mogę tak stać. Mam problem alkoholowy, wiecie? Czasami się przewracam.

Ranger chwycił go pod pachy i pociągnął ku sobie.

- Złap go za nogi - polecił mi. - Zaniesiemy go do samochodu.

- Ratunku! - ryknął Norvil. - Porwanie! Policja!

Znieśliśmy starucha na pierwsze piętro, usiłując go nie wypuścić. Ściszałam Jego wierzgające nogi z całych sił, czułam, że jajko i mąka zastygły mi we włosach na beton, śmierdziałam jak beczka korniszonów i opływałam potem. Ruszyliśmy na parter; na pierwszym schodku ostatniego biegu pośliznęłam się i resztę

drogi przebyłam na tyłku.

- Nic się nie stało - stęknęłam wstając. Zastanawiałam się, ile kręków sobie połamałam. - Nic nie powstrzyma Wonder Woman.

- Wonder Woman wygląda na trochę sfatygowaną - zauważył Ranger.

Regina i Debora siedziały na ganku i czekały na nas.

- Kurczę blade, dziewczyno - powiedziała Regina. - Co ci się stało? Wyglądasz jak wielki naleśnik.

Ranger otworzył tylne drzwi rangę rovera; wrzuciliśmy Norvila do środka.

Powlokłam się na swoje miejsce i stanęłam niepewnie, przyglądając się nieskalanej skórzanej tapicerce.

- Nie martw się - pocieszył mnie Ranger. - Jeśli mi tu nabrudzisz, skombinuję sobie nowy samochód.

Na pewno żartował.

Stałam na ganku i szukałam w torbie kluczy, kiedy drzwi się otworzyły.

- Nawet nie będę próbować zgadnąć - powiedział Morelli.

Odsunęłam go sobie z drogi.

- Znasz Norvila Thompsona?

- To staruszek. Napada na sklepy. Dostaje bzika, jak się upije... czyli codziennie.

- Zgadza się. To Norvil. Pomogłam Rangerowi go aresztować.

- Zakładam, że Norvil nie poszedł z wami po dobroci.

- Rzucił w nas wszystkim. - Spojrzałam na siebie. - Muszę się wykapać.

- Biedactwo. Mogę ci pomóc.

- Nie! Nie zbliżaj się!

- Nie chodzi ci o tę baryłeczkę, co?

Powlokłam się po schodach do łazienki. Rozebrałam się i weszłam pod strumień gorącej wody. Dwa razy umyłam włosy i dobrze je wypłukałam, ale to nie pomogło. Wyszłam z brodzika i przyjrzałam się sobie w lustrze. Jajko. Stwardniało na cement, a w tym cemencie tkwiły małe kawałeczki skorupki.

- Boże, za co? - spytałam.

Morelli stanął po drugiej stronie drzwi.

- Coś się stało? Mówisz do siebie?

Otworzyłam gwałtownie drzwi.

- Spójrz na to! - krzyknęłam.

- Jakby... skorupka od jajka?

- Nie chce zejść.

Morelli przysunął się pod pozorem zbadania stanu moich włosów, ale tak naprawdę chodziło mu tylko o to, żeby zajrzeć mi pod ręcznik.

- Słuchaj, Morelli, potrzebuję pomocy.

- Nie mamy wiele czasu. Pomocy przy włosach!

- Kochanie, nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale twoim włosom już nic nie pomoże. Ja mogę cię tylko pocieszyć.

Zajrzałam do apteczki i znalazłam w niej jakieś nożyczki.

- Musisz wyciąć to jajko.

- O rety.

Po pięciu minutach Morelli podniósł głowę i napotkał moje spojrzenie w lustrze.

- To by było na tyle.

- Jak to wygląda?

- Pamiętasz, jak Mary Jo Krazinski miała liszaj? Usta same mi się otworzyły.

- Nie jest tak źle - dodał Morelli pospiesznie. - Po prostu je skróciłem... miejscami. - Przesunął palcem po moim nagim ramieniu. - Może się trochę spóźnimy...

- Nie! Nie spóźnię się do twojej matki. Boję się jej jak cholera. - Wszyscy z wyjątkiem Joego bali się jego matki. Jego ojciec był pijakiem i kobieciarzem. Jego matka to kobieta bez skazy. Ideał gospodyni domowej. Nigdy nie opuszcza mszy. W wolnym czasie sprzedaje produkty Amwaya. I nie daje sobie w kaszę dmuchać.

Morelli wsunął mi rękę pod ręcznik i pocałował mnie w kark.

- To potrwa minutkę, mała.

Poczułam ciepło w brzuchu; palce u stóp same mi się podkurczyły.

- Muszę się ubrać - powiedziałam, ale myślałam tylko: „Oooo, dobrze”. Przypomniałam sobie, co Morelli robił tej nocy, i to wydało mi się jeszcze lepsze. Dłońmi zlokalizował moje piersi, kciukiem potarł sutek. Szeptem poinformował mnie, co chce

zrobić. Zaczęłam się ślinić.

Pół godziny później miotałam się po pokoju, szukając jakiegoś ubrania,

- Coś takiego, dałam ci się namówić! - powtarzałam. - Patrz, jak późno!

Morelli był gotowy do wyjścia. Uśmiechał się szeroko,

- Fajna rzecz, tak mieszkać z drugą osobą - powiedział. - Nie wiem, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem.

Włożyłam majtki.

- Nie wpadłeś na to, bo boisz się stałego związku. Zresztą nadal się nie związałeś.

- Kupiłem całe opakowanie kondomów.

- To jest opętanie seksem, a nie związek.

- Zawsze to jakiś początek. Zerknęłam na niego z ukosa.

- Może.

Wyciągnęłam z szafy krótką letnią sukieneczkę w kolorze spłowiałej słomy, zapinaną z przodu. Włożyłam ją przez głowę i wygładziłam parę zagnieceń.

- Cholera - mruknął Morelli. - Świetnie wyglądasz. Rzuciłam okiem na jego levisy. Znowu były wybrzuszone.

- Jak to się dzieje?

- Chcesz się nauczyć nowej zabawy? Nazywa się państwo Pospieszynscy.

- Uwaga, wiadomości w skrócie. Nie jem surowej ryby. Nie prasuję. I nie zgadzam się na szybkie numerki. Tylko mnie dotknij, a przysięgam, że pójde po broń.

Pani Morelli otworzyła drzwi i palnęła Joego w głowę.

- Erotoman! Tak jak twój ojciec, niech spoczywa w pokoju, padalec.

Morelli wyszczerzył zęby.

- To geny.

- Ja nie chciałam - dodałam. - Naprawdę.

- Jest tu babcia Bella i ciocia Mary Elizabeth. Uważaj, co mówisz.

Babcia Bella! Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Babcia Bella kiedyś rzuciła złe oko na Dianę Fripp, która potem miała

okres przez trzy miesiące bez przerwy! Sprawdziłam, czy wszystkie guziki mojej sukienki są zapięte i czy na pewno mam majtki.

Babcia Bella i ciocia Mary Elizabeth siedziały w salonie na kanapie. Babcia Delia jest drobną siwowłosą panią, która ubiera się w tradycyjną włoską czerń. Przybyła do tego kraju jako młoda kobieta, ale wtedy Miasteczko było bardziej włoskie niż Sycylia, więc dochowała wierności rodzimym tradycjom. Mary Elizabeth to jej młodsza siostra, która kiedyś była zakonnica. Obie trzymały kieliszki w dłoniach, a w kątach ust miały papierosy.

- Ha - odezwała się babcia Bella. - To ta, co łapie złoczyńców. Przesiadłam na brzeżku fotela i ścisnęłam kolana.

- Dzień dobry, babciu Bello.

- Podobno żyjesz z moim wnukiem.

- Wy... wynajmuję u niego pokój.

- Aaa! Lepiej mi tu nie kłam, bo rzucę na ciebie złe oko!

To już koniec. Koniec, jak amen w pacierzu. Czuję, że dostaję okresu.

ROZDZIAŁ 10

- Nie istnieje coś takiego jak złe oko - zaprotestował Joe. - Nie strasz Stephanie.

- Jesteś niedowiarkiem - zgromiła go Bella. - I nigdy nie widuję cię w kościele. - Pogroziła mu palcem. - Masz szczęście, że się za ciebie modlę.

- Kolacja gotowa odezwała się pani Morelli. - Joseph, zaprowadź babcię Bellę do jadalni.

Po raz pierwszy w życiu zobaczyłam dom pani Morelli od środka. Choć byłam w garażu i na podwórku. I oczywiście mnóstwo razy przechodziłam obok, zawsze ścisząc głos ze strachu, że pani Morelli mnie zobaczy, złapie za ucho i oskarży o noszenie nieświeżej bielizny albo o to, że nie myję zębów. Jej mąż był znany z tego, że często garbował swoim synom skórę. Pani Morelli nie musiała się do tego uciekać. Pani Morelli potrafiła przygwoździć człowieka do ściany jednym słowem. Mówiła: „No?” i bezbronna ofiara od razu musiała wszystko wyśpiewać. Tylko na Joego to nie działało. W dzieciństwie biegał dziki i swobodny.

Dom okazał się bardziej wygodny, niż sądziłam. Wyglądał na miejsce, w którym wszyscy przywykli do hałasujących dzieci. Najpierw Joe i jego rodzeństwo, potem ich dzieci. Meble były czyste i przykryte pokrowcami. Dywan świeżo odkurzony. Błaty stołów wypolerowane. Pod jednym oknem drewniana skrzynia na zabawki i dziecienny fotelik na biegunach.

Jadalnia wyglądała bardziej formalnie. Na stole koronkowy obrus. W serwantce stara rodowa porcelana. U szczytu stołu stały dwie odkorkowane butelki wina. W oknach powiewały koronkowe firanki, a na podłodze leżał tradycyjny orientalny dywan w kolorze burgunda.

Wszyscy zajęliśmy miejsca. Mary Elizabeth odmówiła modlitwę. Po ostatnim słowie babcia Bella uniosła swój kieliszek.

- Za Stephanie i Josepha. Niech żyją długo i szczęśliwie i mają wiele bambino.

Rzuciłam Joemu kosę spojrzenia.

- Chcesz spełnić ten toast?

Joe nałożył sobie ravioli i oprószył je tartym serem.

- Tylko dwoje bambino. Z pensji policjanta nie wyżywię dużej rodziny.

Przeszłam go strasznym wzrokiem.

- Dobra, dobra - machnął ręką. - Żadnych bambino. Stephanie wprowadziła się do mnie, ponieważ nie ma się gdzie podziąć, dopóki jej mieszkanie nie zostanie wyremontowane.

- Za kogo ty mnie uważasz? - uniosła się babcia Bella. - Widzę, co się dzieje. Wiem, co robicie.

Morelli poczęstował się kurczaczkiem.

- Jesteśmy przyjaciółmi i tyle.

Zesztywniałam z widelcem w powietrzu. Morelli użył tych samych słów, kiedy mówił o Terry Gilman. Cudownie. I w co teraz miałam uwierzyć? Że jestem na równych prawach z Terry? Zaraz, sama go do tego zmusiłaś, duma babo. Skłoniłaś go, żeby przyznał, że nie jest z tobą związany. No tak, ale z drugiej strony... mógł to powiedzieć jakoś tak, jakbym była jednak trochę ważniejsza niż Terry!

Babcia Bella odchyliła głowę do tyłu i położyła obie dłonie na stole.

- Cisza!

Mary Elizabeth przeżegnała się pospiesznie. Pani Morelli i Joe wymienili zbolale spojrzenia.

- Co jest? - szepnęłam.

- Babcia Bella ma wizję - wyjaśnił Morelli. - Tak to u nas bywa.

Babcia Bella uniosła gwałtownie głowę i wskazała dwoma palcami na Joego i mnie.

- Widzę wasze wesele. Widzę, jak tańczycie. I widzę, że będziecie mieli trzech synów. Nasz ród nie wygaśnie.

Pochyliłam się do Joego.

- To, co kupiłeś... jest dobrej jakości, prawda?

- Najlepsze na rynku.

- Teraz muszę się położyć - oznajmiła babcia Bella. - Po wizji zawsze muszę wypocząć.

Odczekaliśmy, aż wejdzie po schodach. Usłyszeliśmy trzask zamykanych drzwi. Matka Joego wydała westchnienie ulgi.

- Czasami dostaję przez nią gęziej skórki - wyznała Mary

Elizabeth. Zabraliśmy się dziarsko do jedzenia, starannie unikając rozmów o małżeństwie, dzieciach i starych szalonych Włoszkach.

Wypiłam kawę, pożarłam talerz domowych ciasteczek i zaczęłam spoglądać na zegarek. Eddie Kuntz nie zjawi się w barze aż do dziewiątej, ale chciałam znaleźć się na miejscu trochę wcześniej. Zamierzałam powierzyć stanowiska w barze Luli i Sally'emu, sama bym objęła punkt obserwacyjny na ulicy.

- Bardzo dziękuję za zaproszenie - powiedziałam do pani Morelli. - Niestety, będę musiała wcześniej wyjść. Sprawy zawodowe wzywają.

- Chodzi o tę robotę w agencji? - chciała wiedzieć Mary Elizabeth. - Ścigasz zbiega?

- Mniej więcej.

- To bardzo ciekawe.

- To zbrodnia przeciwko naturze - odezwała się babcia Bella, już wypoczęta. - Kobieta brzemienna nie powinna pracować.

- Ja właściwie wcale nie jestem w ciąży - powiedziałam słabo.

- Co ty tam wiesz - ucięła babcia. - Byłam po drugiej stronie. Widziałam wszystko. Mam dar.

- Dobra - odezwałam się, kiedy oddaliliśmy się na bezpieczną odległość. - Na ile trafny jest ten jej dar?

- Nie wiem, nigdy nie sprawdzałem. - Morelli skrzywił w Roebing i zatrzymał się przy krawężniku. - Dokąd jedziemy?

- Ja się wybieram do baru „Księżycowy”. To następny punkt zabawy Maxine. Zawieź mnie do domu, pojadę swoim samochodem. Morelli włączył się do ruchu.

- Jadę z tobą. Nie chcę, żeby coś się stało mojemu nienarodzonemu dziecku.

- To wcale nie jest śmieszne!

- Dobrze. Tak naprawdę w telewizji nie ma dziś nic fajnego, więc jadę z tobą.

Bar „Księżycowy” znajdował się w pobliżu dużego parkingu. Po jego jednej stronie znajdowały się małe sklepiki, ale o tej porze były już zamknięte. W latach siedemdziesiątych mieścił w sobie dyskotekę, w latach osiemdziesiątych stał się knajpą dla sportowców, a w dziewięćdziesiątych właściciel

przetransformował go w niby- browar. W wielkiej sali znajdowała się duża miedziana kadź, pod jedną ścianą biegł długi szynkwas, a na środku stały stoły. Oprócz napojów wysokowych bar serwował również przekąski. Frytki, cebulowe krążki, nachos i smażona mozzarella. W soboty robiło się tu tłoczno.

Na razie było zbyt wcześnie na większość bywalców. Morelli zdołał znaleźć dobre miejsce do parkowania, o dwa samochody od drzwi.

- I co teraz? - spytał.

- Kuntz ma się pokazać o dziewiątej. Potem zobaczymy, co się stanie.

- A zwykle co się dzieje?

- Nic.

- Już się nie mogę doczekać.

O wpół do dziewiątej Lula i Sally weszli do budynku. Kuntz pojawił się po piętnastu minutach. Zostawiłam Morellego w samochodzie wraz z fotografią Maxine i poszłam się pokazać Kuntzowi.

- Jakoś inaczej wyglądasz - powiadomił mnie na wstępie.

- Mam pewne problemy z fryzurą.

- Nie, to nie to.

- Nowa sukienka.

- Nie, to coś innego. Nie potrafię tego namacać.

Chwała Bogu.

Lula i Sally podeszli i stanęli razem z nami przy barze.

- Jak leci? - spytał Sally

- Tak leci, że znowu marnujemy czas - powiedział Kuntz. - Nie znoszę tych głupich zabaw w chowanego. - Zerknął na mnie, a potem jego wzrok znieruchomiał, wbity w jakiś punkt ponad moim ramieniem. Odwróciłam się, żeby także spojrzeć.

Za moimi plecami stała Joyce Barnhardt w bardzo krótkiej, bardzo obcisłej czarnej skórzanej spódniczce i pomarańczowej ażurowej bluzeczce.

- Cześć, Stephanie - powiedziała.

- Cześć, Joyce.

Joyce błysnęła uśmiechem do Kuntza.

- Cześć, przystojniaku.

Spojrzałam na Lulę i obie skrzywiłyśmy się z niesmakiem,

- Gdybym miał takie piersi, byłbym ustawiony na resztę życia - szepnął do mnie Sally. - Zarobiłbym tyle, że mógłbym spieprzać na emeryturę. Nawet nie musiałbym wkładać szpilek.

- Co ty tu robisz? - wycodziłam. - Wydawało mi się, że Vinnie miał z tobą porozmawiać.

- To wolny kraj. Mogę chodzić, gdzie mi się spodoba. I robić, co mi się spodoba. A teraz mam taki kaprys, żeby złapać Maxine.

- Dlaczego?

- A tak, dla mojej satysfakcji.

- Krowa!

- Małpa!

- Dziwka!

- Kurwa!

Po tej ostatniej kwestii kopnęłam Joyce w gołeń. To słowo oznaczało wojnę. A poza tym miałam ochotę jej nakopać od chwili, kiedy przyłapałam ją z moim mężem.

Joyce złapała mnie za włosy.

- Puszczaj! - wrzasnęłam.

Nie puściła, więc szczytnęłam ją mocno w ramię.

- Czekał - odezwała się Lula. - Kompletnie nie umiesz się bić. Ta kobieta chwyciła cię za włosy, a ciebie stać tylko na szczygnięcie?

- Tak, ale za to będzie miała po nim siniaka - odparłam zduszonym głosem.

Joyce szarpnęła mnie za włosy. Potem nagle wydała jakiś dziwny pisk i osunęła się na podłogę.

Zmierzyłam Lulę groźnym spojrzeniem.

- Chciałam tylko sprawdzić, czy nowe baterie są dobre - wyjaśniła.

- Jak sądzicie, ile kosztują takie piersi? - spytał Sally. - Dobrze bym w nich wyglądał?

- Sally, te piersi są prawdziwe.

Sally pochylił się i przyjrzał się im z bliska.

- Cholera.

- Oho - powiedziała nagle Lula złowieszczo. - Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale kogoś tu brakuje.

Rozejrzałam się; Kuntz zniknął.

- Sally, zajrzyj do męskiej toalety. Lula, przeszukaj salę. Ja sprawdzę, czy nie wyszedł.

- A Joyce? - przypomniała sobie Lula. - Może odciągniemy jaw jakiś ką, żeby ludzie jej nie podeptali?

Joyce miała błędny wzrok i otwarte usta. Ale oddychała normalnie, zważywszy na fakt, iż Lula właśnie przepuściła przez nią parę woltów.

- Joyce? - spytałam. - Jak się czujesz?

Poruszyła gwałtownie ręką. Wokół nas zaczął się zbierać tłum.

- Zemdlała - poinformowałam wszystkich.

- Czytałam w instrukcji, że ludzie często się moczą, jak zemdleją - powiedziała Lula znacząco. - Ale byłby ubaw, nie?

Nogi Joyce zadrgały, a spojrzenie stało się bardziej przytomne. Lula podniosła ją i posadziła na krześle.

- Powinnaś iść do lekarza w sprawie tych omdleń.

Joyce pokiwała tępo głową.

- Aha. Dzięki.

Daliśmy jej zimne piwo i ruszyliśmy na poszukiwania Kuntza.

Przed barem podeszłam do Morellego.

- Nie widziałeś Eddiego Kuntza?

- Jak wygląda?

- Metr siedemdziesiąt, kulturysta. Był ubrany w czarne ażurowe spodenki i czarną koszulę z krótkim rękawem.

- Aha, widziałem go. Wyszedł jakieś pięć minut temu. Odjechał chevy blazerem.

- Sam?

- Mhm.

- Nikt za nim nie jechał?

- Nie zauważyłem.

Wróciłam do baru i stanęłam w wejściu, szukając Sally'ego i Luli. Zrobiło się tłoczno i głośno. Ktoś popchnął mnie od tyłu, a potem brutalnie odwrócił. Stanęłam twarzą w twarz z bardzo wkurzoną i całkowicie mi nie znaną kobietą.

- Wiedziałaś! - syknęła. - Ty suko!

Odrąciłam jej rękę.

- O co chodzi?

- O ciebie. Wszystko było pięknie, zanim się zjawiałaś.

- Nie rozumiem.

- Doskonale rozumiesz. I jeśli zostało ci w tej głupiej głowie choć trochę rozumu, wyniesiesz się z miasta. Wyjedziesz gdzie pieprz rośnie. Bo inaczej znajdę cię i spalę na popiół... tak jak twoje mieszkanie.

- Ty je podpaliłaś!

- O nie. Nie ja. Wyglądam na taką wariatkę?

- Tak.

Kobieta roześmiała się cicho, ale jej oczy lśniły jak dwie grudki lodu i nie było w nich rozbawienia.

- Możesz myśleć, co ci się podoba. Tylko odczep się od mojego chłopaka. - Dała mi mocnego kuksańca i zniknęła w tłumie. Ruszyłam za nią, ale zatrzymał mnie jakiś facet.

- To jak? - zagadnął. - Chciałabyś mieć chłopaka tylko dla siebie?

- Jezu! - jęknęłam, bliska rozpacz. - Spadaj na bambus!

- No co, tylko pytałem. Po co się od razu tak unosić?

Ominęłam go, ale kobieta już zniknęła. Przedarłam się przez tłum do drzwi. Wyrzalam na zewnątrz. Znowu weszłam do sali i podjęłam poszukiwania. Jak pech, to pech.

Odszukałam Sally'ego i Lulę.

- To niemożliwe - oznajmiła Lula. - Pełno luda. Nie można się dopchać do baru, a co dopiero kogoś znaleźć.

Powiedziałam im, że Morelli widział odjeżdżającego Kuntza, ale nie wspomniałam o spotkaniu z wkurzoną kobietą. To był oddzielny problem. Chyba.

- Skoro tu zabawa się skończyła, Sally i ja wybieramy się do takiej knajpy, gdzie grają dobrą muzykę - powiedziała Lula. - Pójdiesz z nami?

- Nie, dzięki. Idę spać.

Sally i Lula tręcili się łokciami.

- No i co się tam stało? - spytał Morelli, kiedy wsiadłam do samochodu.

- Nic.

- Jak zwykle?

- Tak, ale tym razem to było większe nic. - Zaczęłam grzebać w

torbie, odnalazłam telefon i zadzwoniłam do Kuntza. Nie odbierał.

- Bardzo dziwne. Dlaczego tak wyszedł z tego baru?

- Byłaś z nim przez cały czas? Może ktoś dał mu wiadomość? Ciągłe staliśmy przy krawężniku. Przyszło mi do głowy, że właściwie mogłabym wrócić do baru i popytała ludzi.

- Poczekaj - rzuciłam.

- Znowu?

- Tylko chwilkę.

Podeszłam do barmana.

- Pamiętasz faceta, z którym byłam? - spytałam. - Tego w ciemnym ubraniu?

- Aha. Eddie Kuntz.

- Znasz go?

- Nie. Koło siódmej podeszła do mnie jakaś kobieta, akurat jak objąłem zmianę. Dała mi zdjęcie tego Kuntza i dziesięć dolarów za to, że przekażę mu wiadomość.

- Jaką?

- Nie wiem, była w kopercie. Ale pewnie coś dobrego, bo facet od razu wyszedł.

No to pięknie. Wróciłam do samochodu, klapnęłam na fotel i zamknęłam oczy.

- Jestem wykończona.

Morelli przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Wściekasz się?

- Na siebie. Zachowałam się jak idiotka. Pozwoliłam się zdekoncentrować. - A co gorsza, nie przyszło mi od razu do głowy, żeby spytać barmana. I nie tylko to mnie wściekało. Jeszcze ten Morelli! Nie rozumiał, o co chodzi z baryłeczkami na ciastka. Odpowiedział matce nie tak, jak należało. I - choć przyznawałam to z niechęcią - martwiła mnie wizja babci Belli. Mój Boże, a jeśli naprawdę byłam w ciąży?

Zerknęłam na Morellego. Ciężki zmiękczał jego rysy, ale nawet w ciemnościach widziałam cieniutką jak nitka bliznę przecinającą jego lewą brew. Parę lat temu Morelli nadział się na nóż. Chyba niejedynym razem. Być może, miał także kontakt z pociskami. Nie była to pocieszająca myśl. I nie podobało mi się jego życie uczuciowe. W przeszłości Morelli był krótkodystansowcem, jeśli chodziło o

związki. Od czasu do czasu okazywał mi przelotną czułość, ale nie zawsze stanowiłam dla niego priorytet. Byłam przyjaciółką, całkiem jak Terry Gilman i ta wkurzona kobieta.

Nawiedziła mnie obawa, że może jednak Morelli nie jest dobrym materiałem na męża. Nie wspominając już o tym, że w ogóle nie chciał się żenić. No dobrze, a teraz najważniejsze. Czy go kocham? Tak, żeby to szlag trafił. Kocham go od czasów, kiedy miałam sześć lat.

Walnęłam się pięścią w głowę.

Morelli zerknął na mnie z ukosa.

- Tak sobie myślę - wyjaśniłam,

- To musiała być niezła myśl. Prawie się znokautowałam,

Problem polegał na tym, że choć kochałam go od tak dawna, dobrze wiedziałam, że lepiej sobie na nic nie pozwalać. Miłość do Morellego jest jak miłość do sernika. Godziny tortur na siłowni i walki z brzydkim tłuszczem w zamian za chwilę błęgiego spełnienia,

A może jednak nie jest tak źle? Morelli dojrzał. Nie potrafiłam tylko określić, do jakiego stopnia. Prawdę mówiąc, niewiele o nim wiedziałam. A to, o czym zdołałam się dowiedzieć, nie budziło ufności. Doświadczenie nie pozwalało mi ślepo wierzyć w Morellego.

Właściwie im dłużej o tym myślałam, tym większą zyskiwałam pewność, że „miłość” nie jest tu właściwym słowem. Może powinnam powiedzieć „zauroczenie”. Tak, byłam zauroczona, nie ma wątpliwości.

Oboje milczeliśmy przez całą drogę do domu. Morelli nastawił stację ze złotymi przebojami, a ja bardzo się pilnowałam, żeby nie wyrwać radia i nie wyrzucić go przez okno.

- Chyba jesteś zmartwiona - odezwał się Morelli.

- Zastanawiam się nad tą wiadomością. Barman powiedział, że Eddie ją przeczytał i od razu wyszedł.

- No i co?

- Inne wiadomości były pisane szyfrem. Nie potrafił ich odczytać. To dlatego Sally jest z nami. Zawsze tylko jemu udawało się złamać szyfr.

Morelli zatrzymał się przed domem.

- Pewnie nie zamierzasz tego zgłosić na policję? I odjąć sobie od ust honorarium? Oraz pozwolić tej żoźcie Joyce, żeby złapała Maxine? Jeszcze czego.

- Nie. Nie zamierzam.

W okolicznych oknach powoli gasły światła. W tej okolicy wczesne wstawanie oznaczało dobrą pracę, a dobra praca oznaczała możliwość splacenia domu. Od strony pobliskiej ulicy dobiegał szum pędzących samochodów, ale dzielnica, Morellego była pogrążona w ciszy.

- Dziś wydarzyło się coś dziwnego - dodałam. - Miałam scysję z jakąś kobietą w barze.

Morelli otworzył drzwi i zapalił światło.

- Tak?

Streściłam mu całe zajście.

- Co o tym sądzisz? - spytałam.

- Nie mam pojęcia. Najwyraźniej to nie była Terry.

- Nie. To nie Terry. Ale teraz wydaje mi się znajoma. Jakbym ją już spotkała. Wiesz, tak jak ludzie, których się stale widuje w supermarkecie.

- Myślisz, że to ona spaliła ci mieszkanie?

- Nie wykluczam. Rozpoznałeś jakąś kobietę, wchodzącą lub wychodzącą w baru?

- Nie. Przykro mi.

Spojrzeliliśmy sobie w oczy i oboje wiedzieliśmy, że żadne z nas nie ma stu procent pewności.

Morelli rzucił kluczyki na kredens, zdjął kurtkę i powiesił ją na drewnianym krześle. Poszedł do kuchni, gdzie sprawdził sekretarkę, odpiął broń i pager i położył je na stole.

- Musisz zgłosić to w wydziale podpalen.

- Teraz zaraz?

Morelli podszedł i wziął mnie w ramiona.

- Poniedziałek będzie już niedługo.

- Hmm - mruknęłam, raczej nie zachęcającym tonem.

- Jakie „hmm”?

- To chyba nie jest dobry pomysł.

Pocałował mnie lekko w usta.

- Nigdy nie był.

- Właśnie. Dokładnie to miałam na myśli.
 - Cholera. Chyba nie chcesz tego komplikować, co?
- Mimo woli podniosłam głos.
- Właśnie że chcę. Co to według ciebie jest?
 - To... wzajemne zaspokajanie potrzeb.
 - Dobry seks.
 - No właśnie.

Odepchnęłam go.

- Nie trzeba ci nic więcej?

- Nie teraz! A ty? Chcesz mi powiedzieć, że ty tego nie potrzebujesz?

- Panuję nad swoimi potrzebami.

- Cha, cha.

- A tak!

- To dlaczego sutki ci tak stwardniały?

Spojrzałam na swój dekolt. Faktycznie, przez cienką tkaninę wyraźnie widać był kształt sutków.

- Były takie przez cały dzień. Jakiś defekt.

Usta Morellego zadrgały w uśmiechu.

- Pragniesz mnie.

No pewnie, że go pragnęłam. I to doprowadzało mnie do furii. Gdzie moje zasady? Wcale nie wiedziałam, czy ta kobieta z baru przypadkiem nie była z nim związana. Wyczułam jakiś związek pomiędzy nim a Terry Gilman. I w dodatku miałam twarde sutki! Cholera!

- Znakomicie mogę się obejść bez ciebie - oznajmiłam.

- Nie wytrzymasz jednej nocy.

Egoistyczny drań.

- Stawiam pięćdziesiąt dolarów na to, że wytrzymam.

- Chcesz się założyć? - spytał Morelli z niedowierzaniem.

- Kto pierwszy się złamie, ten przegrywa.

Morelli uniósł brwi i zmrużył oczy.

- Świetnie. To nie będę ja, kochanie.

- Ha!

- Ha!

Odwróciłam się na pięcie i pogalopowałam po schodach. Umyłam zęby, ubrałam się w koszulę nocną i runęłam na łóżko.

Przez pół godziny leżałam w ciemnościach i nie mogłam zasnąć. Czułam się samotna, rozdrażniona i żałowałam, że Rex jest w tej głupiej kuchni. Nie rozumiałam, co mnie podkusiło, żeby się założyć. Pewnie to lęk. Lęk przed kolejnym zawodem. Lęk przed odrzuceniem. I przed wadliwymi prezerwatywami. Wreszcie wygrzebałam się z łóżka i pomaszerowałam na parter.

Morelli siedział w salonie, rozwalony w ulubionym fotelu. Oglądał telewizję. Obrzucił mnie przeciągłym, skupionym spojrzeniem.

- Przyszłam po Rexa - wyjaśniłam w przelocie.

Kiedy znowu koło niego przeszłam, trzymając w objęciach klatkę z chomikiem, poczułam na sobie jego wzrok. Ten wzrok mnie denerwował.

- No co?! - rzuciłam.

- Ładna koszulka.

W niedzielę rano otworzyłam oczy i pomyślałam o Maxine Nowicki. Pracowałam nad nią od tygodnia. Wydawało mi się, że miesiąc. Ubrałam się w szorty i podkoszulek, machnęłam ręką na włosy i zaniósłam Rexa do kuchni.

Morelli podniósł głowę znad gazety. Spojrzał na moje włosy i uśmiechnął się półgębkiem.

- Pomagasz mi wygrać zakład?

Nalałam sobie kubek kawy i spojrzałam na leżącą na stole białą torbę.

- Ciastka?

- Aha. Miałem zamiar iść do kościoła, zdecydowałem się jednak na cukiernię.

Usiadłam naprzeciw niego i wyjęłam z torby kremówkę.

- Od tygodnia zajmuję się sprawą Maxine i nie robię żadnych postępów.

- Wyobraź sobie, jak się cieszy ten sadysta, co obcina palce. Bawi się jak król i nic mu za to nie grozi.

- Dosyć. - Sięgnęłam za siebie, wzięłam przenośny telefon i zadzwoniłam do Kuntza. - Nie odpowiada.

Morelli poczęstował Rexa kawałkiem pączka i dopił kawę.

- Może do niego pojedziemy?

Tknęło mnie nieprzyjemne uczucie.

- Co, instynkt ci coś podpowiada?

- Dziwnie to wygląda.

Miał rację. To było dziwne. Zjadłam dwa ciastka, przeczytałam dowcipy z gazety i poszłam na górę, żeby wziąć prysznic. Drzwi zostawiłam otwarte, ale Morelli nie wdarł się do środka. I dobrze, powiedziałam sobie. Tak jest lepiej. Dużo lepiej.

Czekał na mnie na parterze.

- Jestem gotowa - powiedziałam.

Spojrzał na moją wielką czarną torbę.

- Nie masz tam broni, co?

- Rany boskie, przecież jestem łowcą nagród.

- Masz pozwolenie?

- Wiesz, że nie.

- Więc się jej pozbądź.

- A ty?

- Ja jestem policjantem.

Nadęłam się.

- Wielkie rzeczy.

- Słuchaj - zdenerwował się Morelli. - Sprawa wygląda tak. Jestem gliną i nie mogę z tobą wyjść, skoro wiem, że masz przy sobie broń, na którą nie masz pozwolenia. Poza tym myśl o sobie z bronią w rękę jest dla mnie zbyt przerażająca.

- Świetnie - warknęłam i wyjęłam broń z torby. - Tylko potem nie proś mnie o pomoc. - Rozejrzałam się. - Gdzie mam to schować?

Morelli przewrócił oczami i włożył moją broń do szufladki kredensu.

- Masz tylko tę, prawda?

- A co, wyglądam jak Rambo?

Samochodu Kuntza nie było przed domem. I nikt nie otworzył nam drzwi. Zajrzeliśmy przez okno. Nie paliło się ani jedno światło. Żadnych trupów. Żadnych oznak walki. Oraz brak Kuntza.

Staliśmy z nosami rozpląszczonymi na szybie, kiedy za naszymi plecami zatrzymał się wielki lincoln.

- Co się stało? - spytał Leo.

- Szukam Eddiego - wyjaśniłam. - Czy ktoś go widział? Betty weszła na ganek.

- Co się stało?

- Szukają Eddiego - powiedział Leo. - Kiedy go ostatnio widzieliśmy? Wczoraj?

- Wczoraj wieczorem. Wyszedł po ósmej. Pamiętam, bo podlewałam kwiaty.

- Czy rano jego samochód tu stał?

- Teraz sobie przypominam, że nie.

- Sobotni wieczór - mruknął Leo. - Wiesz, jak to jest z tymi młodymi.

Morelli i ja wymieniliśmy spojrzenia.

- Możliwe - powiedział Joe.

Dałam starszym państwu moją wizytówkę i numer pagera.

- Na wszelki wypadek.

- Jasne - zgodził się Leo. - Ale nie ma się co bać. On się tylko bawi.

Zniknęli w chłodnym, cieniściej domu i zamknęli drzwi. Nie zaprosili na ciasto.

Wróciliśmy do samochodu.

- ...?- pytałam.

- Może rzeczywiście ta wiadomość miała charakter osobisty i nie napisała jej Maxine. To by tłumaczyło, dlaczego nie była zaszyfrowana.

- Naprawdę w to wierzysz?

Morelli wzruszył ramionami.

- To możliwe.

Spojrzałam w okna Glicków.

- Przyglądają się nam. Widzę to. Stoją o parę kroków od okna.

Morelli przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Masz jakieś plany?

- Pomyślałam, że odwiedzę panią Nowicki.

- Jaki zbieg okoliczności! Dziś rano obudziłem się z myślą, że miło by było pojechać nad morze.

Znowu robiło się upalnie. Niebo miało kolor spranego prześcieradła. I było tak parno, że czułam ciężar powietrza na

twarzy. W taki dzień nie warto się nigdzie wybierać... chyba że poza granice Jersey.

- Ale nie będziesz przez całą drogę puszczać piosenek Buddy Holly'ego?

- Co ci się nie podoba w Buddy Hollym?

Skrzywiłam się. Morelli pewnie lubi także chórki rewelersów. Boże!

Kiedy dotarliśmy do Point Pleasant, zaczęło padać. Miły, równomierny deszczyk, który wypłoszył wszystkich plażowiczów. Rolnicy bardzo lubią taki deszcz... ale w Point Pleasant nie było rolników. Tylko wkurzeni wczasowicze, którzy się chcieli popalać.

Podjechaliśmy pod dom pani Nowicki i przez chwilę siedzieliśmy w samochodzie. Na podjeździe nie stał żaden samochód. Na zewnątrz nie paliło się żadne światło. Ani żywej duszy.

- Coś jakby dom Eddiego Kuntza - zauważyłam.

- Taaa - zgodził się Morelli w zamyśleniu. - No to zajrzyjmy do środka. Podbiegliśmy truchtem do drzwi i nacisnęliśmy guzik dzwonka. Żadne z nas nie spodziewało się, że ktoś nam otworzy. A kiedy nasze przecucia się sprawdziły, zajrzeliśmy przez okno.

- Ominęła nas impreza - powiedział Morelli.

Krajobraz po bitwie. Przewrócone lampy i stoły, porozrzucane poduszki. I nie była to robota Joyce. To był zupełnie inny bałagan.

Nacisnęłam klamkę, ale drzwi były zamknięte. Okrążyliśmy dom i stanęliśmy na tylnym ganku. Te drzwi także ani drgnęły.

- Cholera - mruknęłam. - W środku na pewno jest coś ważnego. Może nawet trupy.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać - oznajmił Morelli i kolbą pistoletu wybił szybę w drzwiach. Podskoczyłam.

- Aaa! Coś takiego! Jak mogłeś to zrobić? Nie znasz zasad? Gliny nie mogą się włamywać do cudzych domów.

Morelli wsadził rękę w dziurę w szybie.

- To był wypadek. Poza tym nie jestem dzisiaj gliniarzem. Mam wolne.

- Powinieneś zacząć pracować z Lula. Byłaby z was zgrana paczka.

ROZDZIAŁ 11

Morelli otworzył drzwi i ostrożnie przeszliśmy pomiędzy odłamkami szkła. Zajrzał pod zlew, znalazł gumowe rękawiczki, włożył je i wytarł kłamek.

- Ty nie musisz się martwić o swoje odciski palców - wyjaśnił. - Byłaś tu dwa dni temu.

Zrobiliśmy szybki przegląd mieszkania, żeby sprawdzić, czy są w nim jakieś ciała, żywe lub nie. Potem metodycznie zaczęliśmy przeszukiwać wszystkie pokoje. Szafy, szuflady, torby ze śmieciami.

Zniknęły wszystkie ubrania i - o ile się nie myliłam - wszystkie nagrody z salonu gier. Wszystko nosiło znamiona pośpiechu. Nie posłane łóżka. Jedzenie pozostawione w lodówce. W salonie chyba rozegrała się jakaś bójka i nikt nie zadał sobie trudu, żeby zatrzeć jej ślady. Nie znaleźliśmy niczego, co mogłoby nas naprowadzić na trop. Żadnych śladów po narkotykach. Brak kuł zarytych w meble i framugi.

Ja wywnioskowałam z tego tylko tyle, że prawdopodobnie matka Maxine i reszta nie były dobrymi gospodyniami i pewnie w końcu nabawią się raka jelit. Jadły mnóstwo lazanii i białego chleba, paliły niesamowite ilości papierosów, piwo piły litrami i nie sortowały śmieci.

- Wyjechały - odezwał się Morelli, zdejmując rękawiczki i kładąc je z powrotem pod zlew.

- Masz jakieś pomysły?

- Aha. Zbierajmy się stąd.

Pobiegliśmy do samochodu. Morelli skierował się w stronę mola.

- Jest tam automat telefoniczny - wyjaśnił. - Zadzwoń na policję, powiedz, że Jesteś sąsiadką Maxine i zauważyłaś, że ktoś wybił szybę w jej drzwiach kuchennych. Nie chcesz dopuścić do tego, żeby złodzieje i włóczędzy wdarli się do jej domu.

Sprawdziłam stan swojego ubrania i doszłam do wniosku, że nie mogę być już bardziej mokra, więc poczłapałam przez deszcz do telefonu, zadzwoniłam i przyczłapałam z powrotem.

- Dobrze poszło? - spytał Morelli.

- Nie spodobało się im, że nie chciałam podać nazwiska.
- Powinnaś coś zmyślić. Gliniarze tego oczekują.
- Gliniarze są dziwni.
- Tak - zgodził się Morelli. - Cholernie się ich boję.

Zdjęłam buty i zapięłam pasy.

- Jak sądzisz, co się tam wydarzyło?
- Ktoś przyszedł po Maxine, zaczął ją ganiać po salonie i dostał od tyłu w głowę jakimś tępym narzędziem. Kiedy się ocknął, te trzy baby już zniknęły.
- Może tym kimś był Eddie Kuntz.
- Może. Ale to nie tłumaczy, dlaczego go nie ma.

Deszcz przestał padać w połowie drogi do domu, ale upał nie zelżał. Poziom dwutlenku węgla w powietrzu był tak wysoki, że ptaki padały w locie. Klimatyzacja nie działała, psy dostawały biegunki z gorąca, pranie pokrywało się pleśnią, a zatoki dokuczały tak, jakby były zapchane cementem. Gdyby ciśnienie spadło jeszcze bardziej, pewnie wbiłoby ludzi pod ziemię.

Oczywiście Morelli i ja prawie tego nie zauważaliśmy, ponieważ oboje byliśmy urodzeni i wychowani w Jersey. Życie to ciągła walka o przetrwanie, a życia w Jersey doprowadziło do powstania gatunku nadludzi.

Stanęliśmy w korytarzu, ociekając wodą. Nie mogłam się zdecydować, co chcę zrobić najpierw: umierałam z głodu, byłam przemoczona i chciałam sprawdzić, czy Eddie Kuntz się znalazł. Morelli rozstrzygnął moje wątpliwości, rozbierając się.

- Co robisz? - spytałam.

Morelli zdjął buty, skarpetki i koszulę. Został w samych spodenkach.

- Nie chcę nanieść wody do mieszkania - wyjaśnił. Usta zadrgały mu w uśmiechu. - Masz jakieś zastrzeżenia?

- Żadnych. Ja wezmę prysznic. Masz jakieś zastrzeżenia?
- Żadnych, jeśli nie wykorzystasz całej gorącej wody.

Kiedy zeszałam na dół, zastałam go przy telefonie. Byłam czysta, ale nie mogłam się porządnie wysuszyć. Morelli nie miał klimatyzacji, a o tej porze dnia nie sposób było nic zrobić, żeby się nie spocić. Zajrzałam do lodówki i zdecydowałam się na kanapkę.

Przywalałam chleb kawałami szynki i sera i zjadłam to wszystko na stojąco. Morelli pisał coś w notesie. Spojrzał na mnie; uznałam, że to sprawy zawodowe.

Odłożył słuchawkę i wziął kawałek zostawionej przeze mnie szynki.

- Właśnie otworzono na nowo tę sprawę, nad którą pracowałem. Wydarzyło się coś nowego. Wezmę szybki prysznic i wyjdę. Nie wiem, kiedy wrócę.

- Dziś? Jutro?

- Dziś. Tylko nie wiem kiedy.

Skończyłam kanapkę i posprzątałam po sobie. Rex wycofał się ze swojej puszkii i wyglądał smutno, więc dałam mu okruch sera i skórkę od chleba.

- Nie idzie nam zbyt dobrze - powiedziałam do niego. - Ciągłe gubię ludzi. Teraz nie mogę znaleźć faceta, dla którego pracuję.

Spróbowałam zadzwonić do Eddiego Kuntza. Bez skutku. Znalazłam Glicków w książce telefonicznej i zadzwoniłam do Berty.

- Czy Eddie się pojawił? - spytałam.

- Nie.

Rozłączyłam się i zaczęłam nerwowo krążyć po kuchni. Przerwało mi pukanie do drzwi frontowych.

Otworzyłam i spojrzałam na drobną kobietkę, niewątpliwie Włoszkę.

- Jestem Tina Ragusto, matka chrzestna Joego - powiedziała. - A ty na pewno jesteś Stephanie. Jak się miewasz, kochanie? Właśnie się dowiedziałam. To cudownie!

Nie całkiem rozumiałam, o co jej chodzi, i coś mi mówiło, że lepiej się nie dopytywać. Zrobiłam słaby gest w stronę schodów.

- Joe jest pod prysznicem.

- Nie mogę zostać. Jadę na bal jubilerów. - Podala mi białe pudełko po koszuli. - Chciałam ci tylko to zostawić. - Uniosła wieko i rozgarnęła bibułę, żebym mogła zobaczyć, co jest pod spodem. Jej okrągła twarz cała się rozpromieniła. - Widzisz? To ubranko Josepha do chrztu.

O kurde.

Matka chrzestna Joego poklepała mnie po policzku.

- Jesteś Włoszką.
- Ze strony matki.
- I katoliczką.
- Hm...

Odprowadziłam ją wzrokiem. A zatem wydawało się jej, że jestem w ciąży. I że wyjdę za Joe Morellego, zdobywcę tytułu „najmniej pożądanego kandydata na chłopaka mojej córki” wśród matek z całego stanu. I uważała, że jestem katoliczką. Jak to się stało?

Joe zastał mnie w korytarzu, gdzie nadal tkwiłam z pudełkiem w rękach.

- Ktoś tu był?
- Twoja matka chrzestna. Przyniosła mi twoje ubranko od chrztu. Morelli zajrzał do pudełka.
- O rany, to sukienka.
- Co mam z tym zrobić?
- Wsadzić do jakiejś szafy. I będę ci wdzięczny, jeśli nikomu nie wygadasz, że ubierali mnie w sukienki.

Odczekałam, aż Morelli zniknie mi z oczu i spojrzałam na swój brzuch.

- O nie - mruknęłam. Potem spojrzałam na sukieneczkę. Była nawet ładna. Staroświecka. Bardzo włoska. Cholera. Zachwyciłam się sukienką Morellego!

Pobiegłam na piętro, położyłam pudełko z ubrankiem na łóżku Morellego i wybiegłam, trzaskając drzwiami.

Następnie zadzwoniłam do mojej najlepszej koleżanki Mary Lou, która ma dwoje dzieci i wie wszystko na temat ciąży.

- Gdzie jesteś? - spytała.
- U Morellego.
- O mamusiu! Więc to prawda! Mieszkasz z Morellim! I nic mi nie powiedziałeś! Jak mogłeś to zrobić mnie, swojej najlepszej przyjaciółce?
- Jestem tu od trzech dni. I nic się nie dzieje. Moje mieszkanie się spaliło, a Morelli ma wolny pokój.
- Zrobiłaś to z nim! Słyszę to w twoim głosie! Jak było? Szczegóły!
- Chciałabym cię o coś prosić.

- Co tylko zechcesz!
- Muszę mieć jakiś test ciążyowy.
- O mamusiu! Jesteś w ciąży! O mamusiu!
- Uspokój się, nie jestem w ciąży. Muszę się tylko upewnić. Dla spokoju duszy, no wiesz. I nie mogę sobie kupić sama, bo jak mnie ktoś zobaczy, to po mnie.
- Zaraz tam będę!

Mary Lou mieszka o pięćset metrów od domu Morellego. Jej mąż Lennie jest w porządku, ale trudno go odróżnić od goryla. Mary Lou nigdy nie miała upodobania do inteligentnych mężczyzn. Bardziej interesuje ją masa ich ciała i energia.

Mary Lou i ja zostałyśmy przyjaciółkami już w kołysce. Ja zawsze byłam niespokojnym duchem, a ona ciepłą kluchą. Może to niedobre słowo. Może jest raczej tak, że Mary Lou ma realne marzenia. Zawsze chciała wyjść za mąż i mieć dzieci. A jeszcze lepiej, gdyby mogła poślubić kapitana drużyny futbolowej. I dokładnie tak się stało. Wyszła za Lennie Stankovica, który był kapitanem drużyny futbolowej, skończył gimnazjum i zaczął pracować w firmie ojca - Hydraulika i ogrzewanie, Stankovic i synowie.

Ja chciałam wyjść za Aladyna, żeby latać na jego dywanie. Chyba widać, że nie jesteśmy do siebie podobne.

Minęło dziesięć minut i Mary Lou stanęła przed drzwiami. Jest ode mnie niższa o osiem centymetrów i cięższa o dwa kilogramy, ale nie gruba, tylko dobrze zbudowana. Jak czołg. Jeśli kiedykolwiek będę potrzebować ochroniarza, wybiorę Mary Lou.

- Mam! - krzyknęła, wymachując testem. W korytarzu zatrzymała się i rozejrzała. - Więc tak wygląda dom Morellego...

Powiedziała to tym wzruszonym, przyciszonym głosem, którym zwykle opowiada się o cudownych objawieniach Matki Boskiej.

- Kurczę! - dodała. - Zawsze chciałam zobaczyć, jak wygląda mieszkanie Morellego. Nie ma go tutaj, co? - Ruszyła po schodach. - Muszę zobaczyć jego sypialnię.

- o ta po lewej!

- Tak! - wrzasnęła Mary Lou, otworzywszy drzwi. - O mamusiu! Robiliście to na tym łóżku?

- Tak. - I na moim. I na kanapie, na podłodze w korytarzu, na

stole kuchennym, pod prysznicem...

- Jasna cholera! - powiedziała Mary Lou. - On ma całe pudełko kondomów. Królik czy jak?

Wyjęłam jej z ręki torbę i zjrzałam do środka.

- Więc jak to się robi?

- To proste. Musisz tylko nasiusiać na ten plastikowy pasek i zaczekać, aż zmieni kolor. Dobrze, że jest lato i masz na sobie podkoszulek, bo bardzo łatwo jest sobie zmoczyć rękaw.

- Niech to - mruknęłam. - Na razie mi się nie chce.

- Napij się piwa. Piwo zawsze pomaga.

Poszliśmy do kuchni i strzeliliśmy sobie po dwa piwka.

- Wiesz, czego brakuje w tej kuchni? - odezwała się Mary Lou.
- Baryłeczki na ciastka.

- Tak... wiesz, jacy są mężczyźni.

Otworzyłam pudełko i zdarłam foliowe opakowanie.

- Nie mogę tego otworzyć! Jestem zbyt zdenerwowana.

Mary Lou odebrała je ode mnie. Mary Lou ma pazury jak sztylety.

- Trzeba liczyć czas. Siusiu musi się zebrać w tej dziurce.

- Fuj!

Weszliśmy na górę i Mary Lou zaczęła pod drzwiami łazienki, podczas gdy ja wykonywałam test. Przyjaźń między kobietami nie rozciąga się na asystowanie przy oddawaniu moczu.

- Co tam się dzieje! - ryknęła Mary Lou. - Jest plus czy minus?

Ręka trzęsła mi się tak bardzo, że omal nie upuściłam testu do muszli klozetowej.

- Na razie nie widzę!

- Odliczam czas - zapowiedziała Mary Lou. - To trwa najwyżej trzy minuty... Już! - wrzasnęła i otworzyła drzwi. - No i...?

Przed oczami tańczyły mi czarne kropeczki, a wargi jakby zdrętwiały.

- Chyba zemdleję - wymamrotałam.

Osunęłam się na podłogę i pochyliłam się z głową między kolanami.

Mary Lou wyjęła mi z bezwładnych palców test ciążowy.

- Wynik negatywny. Ha!

- Boże, mało brakowało. Naprawdę się przestraszyłam. Za

każdym razem używaliśmy prezerwatyw, ale Bella powiedziała...

- Babcia Bella? - zareagowała Mary Lou. - O w mordę! Chyba nie rzuciła na ciebie złego oka? Pamiętasz, jak przeklęła Raymonda Cone'a, który od tego zupełnie wyłysiał?

- Jest gorzej. Powiedziała, że jestem w ciąży.

- A, to zmienia sprawę. W takim razie wynik jest mylny.

- Co ty gadasz? Ten wynik jest bardzo dobry! Johnson and Johnson się nie mylą!

- Bella zna się na rzeczy.

Zerwałam się na równe nogi i ochlapałam twarz zimną wodą.

- Bella ma kota. - Ale w duchu przeżegnałam się i splunęłam przez lewe ramię.

- O ile spóźnia ci się okres?

- Właściwie jeszcze nie powinien się zacząć.

- Zaraz. Nie można robić takiego testu, jeśli okres ci się nie spóźnia. Myślałam, że wiesz.

- Jak to?

- Hormon musi mieć czas na to, żeby się rozwinąć. Kiedy masz mieć miesiączkę?

- Nie wiem dokładnie. Jakoś za tydzień. Chcesz powiedzieć, że ten test się nie liczy?

- To właśnie chcę ci powiedzieć.

- Jasna cholera!

- Muszę lecieć - powiedziała Mary Lou. - Obiecałam Lenniemu, że przywiozę pizzę na kolację. Zjesz z nami?

- Nie. Ale dziękuję.

Mary Lou wyszła, a ja rzuciłam się na fotel w salonie i zagapiłam się na zgaszony ekran telewizora. Ten test kompletnie mnie wykończył.

Usłyszałam zatrzymujący się samochód i kroki na chodniku przy domu. Kolejna drobna Włoszka.

- Jestem Loretta, ciocia Josepha - powiedziała, wręczając mi garnek owinięty w folię. - Właśnie się dowiedziałam. Nic się nie przejmuj, kochanie, takie rzeczy się zdarzają. Nie mówimy o tym głośno, ale matka Josepha też musiała brać ślub w pośpiechu, jeśli mnie rozumiesz.

- To zupełnie nie tak!

- Najważniejsze, żebyś się dobrze odżywiała. Nie wymiotujesz, prawda?

- Jeszcze nie.

- Nie przejmuj się tym garnkiem, możesz mi go oddać na przyjęciu.

- Na przyjęciu? - powtórzyłam dziwnie piskliwym głosem.

- Muszę już lecieć. Idę w odwiedziny do sąsiadki, która leży w szpitalu. - i Ciocia Loretta pochyliła się i zniżyła głos. - Rak. Straszne. Straszne. Ona gnije od środka. Wnętrzości już jej zupełnie przegniły, a teraz wyskoczyły wrzody na całym ciele. Moja kuzynka też tak miała. Cała poczerniała, a przed śmiercią odpadły jej palce.

- Eee...

- Tak to bywa. No to smacznego.

Pomachałam jej na pożegnanie i zaniósłam ciepły garnek do kuchni, gdzie parę razy walnęłam głową o kuchenną szafkę.

Po jakimś czasie odchyliłam folię i zajrzałam do środka. Lazania. Pachniała ładnie. Ukroiłam sobie kawałek i zjadłam. Morelli wrócił, kiedy zastanawiałam się nad dokładką. Spojrzał na lazanię i westchnął.

- Ciocia Loretta.

- Aha.

- To już gruba przesada. Ktoś musi je powstrzymać.

- Zdaje się, że planują przyjęcie na naszą cześć.

- Psiakrew!

Wstałam i opłukałam talerz, żeby oprzeć się pokusie dokładki.

- Jak ci dziś poszło?

- Nie za dobrze.

- Chcesz o tym pogadać?

- Nie mogę. Współpracuję z policją federalną. To musi pozostać w tajemnicy.

- Nie ufasz mi.

Morelli odkroił sobie kawałek lazanii i usiadł obok mnie.

- Oczywiście, że ci ufam. Tylko nie ufam Mary Lou.

- Nie mówię jej wszystkiego!

- Słuchaj, ja wiem, że to nie twoja wina. Jesteś kobietą, a kobiety muszą plotkować.

- To ohydne! Jesteś seksistą!

Morelli ugryzł wielki kawał lazanii.

- Mam siostry. Znam kobiety.

- Ale nie wszystkie!

Morelli przyjrzał mi się z namysłem.

- Znam ciebie. Poczułam, że się rumienię.

- Hm, no dobrze, może powinniśmy o tym porozmawiać.

- To twoja broszka.

- Chyba się nie nadaję do przelotnych kontaktów seksualnych.

Morelli przemyślał kwestię i skinął głową.

- Faktycznie, mamy problem, bo ja nie nadaję się do małżeństwa. Przynajmniej nie teraz.

A to ci niespodzianka!

- Nie proponuję ci małżeństwa.

- A co?

- W ogóle nic ci nie proponuję. Tylko chciałam ustalić, na czym stoję.

- Wiesz co, jesteś jedną z tych kobiet, które doprowadzają mężczyzn do szaleństwa. Mężczyźni skaczą z dziesiątego piętra i zapijają się na śmierć przez takie jak ty. W cukierni to też było przez ciebie.

Zmrużyłam oczy.

- Możesz mi to wyjaśnić?

Morelli wyszczerzył zęby.

- Pachniałaś pączkami z galaretką.

- Ty palancie! Napisałeś to na ścianie w męskim wychodku! Napisałeś, że jestem ciepła, słodka i smaczna! I opisałeś, jak to zrobiłeś! Ktoś doniósł moim rodzicom i miałam szlaban przez trzy miesiące! Nie masz żadnych skrupułów!

Morelli nabzdyczył się godnie.

- Nie myl mnie z tym osiemnastolatkiem.

Przez chwilę mierzyliśmy się płonącym wzrokiem. Pełną napięcia ciszę przerwał brzęk szkła od strony salonu.

Morelli wyprysnął z krzesła i rzucił się do drzwi frontowych. Ruszyłam tuż za nim i omal na niego nie wpadłam, kiedy się nagle zatrzymał.

Na podłodze salonu leżała butelka, z której szyjki wystawała

zwęglona szmatka. Koktajl Mołotowa, który się wypalił, ponieważ butelka się nie rozbiła.

Morelli popędził korytarzem i wypadł na zewnątrz.

Dobiegłam do drzwi w samą porę, żeby zobaczyć, jak Morelli celuje z pistoletu w stronę oddalającego się samochodu. Ale broń nie wypaliła. Morelli spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Co się stało? - spytałam.

- To twoja broń. Wyjąłem jaz kredensu. Nie jest nabita!

- Boję się naboji.

Morelli wybałuszyl na mnie oczy.

- Na co ci broń, w której nie ma naboji?

- Można nią straszyć ludzi. Albo nią kogoś uderzyć. Albo wybić okno... albo łupać orzechy.

- Rozpoznasz ten samochód?

- Nie. Wdziałeś kierowcę?

- Nie. - Morelli wrócił do domu, wziął z kuchennego stołu broń i pager. Zadzwoił na policję i podał opis samochodu. Zadzwoił do kogoś innego w sprawie numeru rejestracyjnego. Wyjął dodatkowy magazynek z szuflady i schował go do kieszeni, czekając na znalezienie danych właściciela samochodu.

Stałam za nim i ze wszystkich sił starałam się zachować spokój, ale cała się trzęsłam i bez przerwy przypominało mi się moje spalone mieszkanie. Gdybym wtedy była w łóżku, już bym nie żyła, a moich zwęglonych zwłok nie rozpoznałaby nawet matka. Za to straciłam wszystko, co miałam. Nie żeby było tego tak dużo, ale... ale teraz nie miałam niczego. I wszystko omal się znowu nie powtórzyło.

- To było przeznaczone dla mnie - powiedziałam i z ulgą usłyszałam, że głos mi nie drży.

- Pewnie tak - mruknął Morelli. Potem wymamrotał coś do słuchawki i się rozłączył. - Samochód został ukradziony przed paroma godzinami.

Ostrożnie owinął butelkę ścierką do naczyń i wsadził ją do papierowej torby, którą położył na kuchennym stole.

- Jak to dobrze, że ten facet nie zwracał uwagi, jaką butelkę wybiera. I jak to dobrze, że mam w salonie dywan.

Zadzwoił telefon. Morelli chwycił słuchawkę.

- Do ciebie - powiedział po chwili. - Sally.

- Potrzebuję pomocy - usłyszałam. - Mam dziś chałturę i nie potrafię sobie poradzić z tym pieprzonym makijażem,

- Dobrze - rzuciłam machinalnie, prawie nie myśląc. - Zaraz będę.

- Kto to? - spytał Morelli.

- Muszę zrobić makijaż Sally'emu.

- Idę z tobą.

- Nie musisz.

- Muszę.

- Nie potrzebuję goryla. - A myślałam: nie chcę, żebyś i ty zginął.

- Więc załóżmy, że to randka.

Zapukaliśmy dwa razy. Sally otworzył drzwi tak gwałtownie, że prawie wyrwał je z zawiasów.

- To wy - powiedział. - Szkoda.

- A kogo się spodziewałeś?

- Myślałem, że to Kiki wraca. Spójrzcie na mnie. Jestem ruiną człowieka. Nie znam się na tym gównie. Kiki zawsze mnie ubiera. Kurna, mam nie te hormony, co trzeba, rozumiecie?

- Dokąd poszedł Kiki?

- Nie mam pojęcia. Znowu się pokłóciliśmy. Nawet nie wiem, jak się zaczęło. Chyba poszło o to, że nie pochwaliłem jego murzynka.

Rozejrzałam się. Dom wyglądał jak marzenie. Ani jednego pyłka. Wszystko na miejscu. Widziałam wewnątrz kuchni z równiutko poustawianymi słojami ciasteczek i domowych ciągutek, stoły wyładowane ciastami i bochenkami chleba.

- W ogóle nie zauważyłem, że jest jakiś nie w sosie - tłumaczył się Sally. - Ubrał się i wyszedł, kiedy brałem perełkową kąpiel.

Morelli uniósł brew.

- Co proszę?

- No co, RuPaul powiedział, że trzeba, kuma, brać perełkowe kąpiele, więc to właśnie robię. Dzięki temu ma się kontakt z tą pieprzoną kobietą stroną swojej natury.

Morelli wyszczerzył zęby.

Sally miał na sobie czarne majteczki od Calvina Kleina i pas do

pończoch. Trzymał jakąś dziwną konstrukcję, która wyglądała jak gorset ze sztucznymi piersiami.

- Musisz mi pomóc - powiedział. - Sam się w to nie wbiję.

Morelli uniósł obie ręce.

- Radź sobie sam.

- Co, jesteś homofobem?

- Nie - odparł Morelli. - Włochem. To różnica.

- Dobra - przerwałam im. - Co mam zrobić?

Sally wcisnął się w gorset i przytrzymał go na właściwym miejscu.

- Ściśnij skórkojada - polecił. - Muszę mieć talię.

Szarpnęłam za sznurówki, ale nie mogłam ich ściągnąć razem.

- Nie mogę. Nie mam tyle siły.

Oboje spojrzeliśmy na Morellego, który westchnął z obrzydzeniem.

- Cholera - mruknął i dźwignął się z kanapy. Złapał za sznurówki, oparł stopę na tyłku Sally'ego i mocno szarpnął.

Sally sieknął i spojrzał na niego przez ramię.

- Już to robiłeś.

- Dolan nosił coś takiego, jak był w przebraniu.

- A makijaż?

- Wybacz, ale to już ponad moje siły.

Sally spojrzał na mnie.

- Spoko - oznajmiłam. - Jestem z Miasteczka. Robiłam makijaż lalkom, jeszcze zanim nauczyłam się chodzić.

Po półgodzinie Sally był już wypindrzonej jak się patrzy. Włożyliśmy mu jeszcze perukę i przeczesałiśmy jaw paru miejscach. Sally włożył krótką spódniczkę z czarnej skóry i czarny skórzany gorsecik, który wykazywał bardzo silne wpływy Madonny oraz Aniołów Piekiła. Stroju dopełniły jeszcze szpilki na platformach - numer czterdzieści cztery - i Sally był już w pełni gotowy do wyjścia.

- Jak ty to robisz, że się wyrabiasz na czas? - spytałam.

- Jestem spoko zawodnik. Jak wyglądam? Jestem ładny?

- Hm... tak. - Jeśli się lubi dwumetrowych facetów z krzywymi nogami, garbatym nosem, owłosionym torsem i małpimi rękami.

- Chodźcie ze mną - powiedział Sally. - Przedstawię was

chłopakom. Możecie zostać i popatrzeć na występ.

- Ja to umiem zabrać dziewczynę na randkę, nie? - mruknął Morelli pod nosem.

Wsiedliśmy do windy, która zwiozła nas na parking. Sally ruszył na północ, a my za nim, w samochodzie Morellego.

- Fajnie, że pomogłeś mi włożyć ten gorset - odezwałam się.

- Taaa - odparł Morelli w ponurym zamyśleniu. - Jaki ja jestem dobry. Klub znajdował się po prawej stronie autostrady, cały w czerwonych i różowych neonach. Już teraz na parkingu stało mnóstwo samochodów. Neon na dachu zachęcał do obejrzenia pańienek w akcji. Doszłam do wniosku, że chodzi o Sally'ego.

Sally wygrzebał się z porsche'a i wygładził spódniczkę.

- Gramy tu od miesiąca - powiedział. - Jesteśmy jak, kurna, stali bywalcy.

Morelli rozejrzał się po parkingu.

- Gdzie jest samochód Kikiego?

- To ten czarny mercedes.

- Dobrze mu się powodzi.

Sally wyszczerzył zęby.

- Widzieliście go w sukience?

Oboje pokręciliśmy głowami,

- Zrozumiecie, jak zobaczycie.

Weszliśmy przez drzwi kuchenne.

- Gdybym wszedł od frontu, rzuciliby się na mnie - wyjaśnił Sally. - Są jak zwierzęta.

Znaleźliśmy się w brudnym wąskim korytarzyku prowadzącym na zaplecze. W pomieszczeniu było pełno dymu, hałasu i Ślicznotek. Wszystkie ubrane w rozmaite skórzane stroje... z wyjątkiem Kikiego. Kiki miał suknię z czerwonego jak krew atlasu, dopasowaną niczym druga skóra. Była krótka, obcisła i tak gładka z przodu, że Kiki musiał chyba przejść jakąś operację. Jego makijaż był nieskazitelny. Usta były pełne i odęte, pociągnięte bardzo błyszczącą szminką w kolorze sukni. Plus peruka Marilyn. Nigdy w życiu i w najlepszych warunkach nie zdołałabym dorównać Kikiemu. Zerknęłam na Morellego, który wytrzeszczał oczy z taką samą oszołomioną fascynacją jak ja. Znowu spojrzałam na Kikiego i nagle uświadomiłam sobie coś, co uderzyło mnie

jak obuchem.

- Tą kobietą w barze był Kiki - szepnęłam do Morellego. - Miał wtedy inną perukę, ale to na pewno on.

- Żartujesz? Stał przed tobą, a ty go nie poznałaś?

- Wszystko stało się tak szybko, a w barze było ciemno. Poza tym spójrz na niego! Jest piękny!

Kiki zobaczył nas, zerwał się i krzyknął, że Sally jest niewdzięczną suką.

- Że jak? - zdziwił się Sally. - Chyba musiałbym być najpierw dziewczyną, nie?

- Jesteś dziewczyną, ty głupi palancie - poinformowała go inna drag queen.

Sally poprawił sobie piersi.

- Chciałbym z tobą porozmawiać na osobności - zwrócił się Morelli do Kikiego.

- To jest garderoba zespołu, nie masz prawa tu być - warknął Kiki. - Wynocha.

Morelli przemierzył pomieszczenie trzema wielkimi krokami i przyparł go do ściany. Przez chwilę rozmawiali przyciszonymi głosami. Potem Morelli się wycofał.

- Miło było was poznać - rzucił członkom zespołu, którzy przyglądali się zajściu w spieszonym milczeniu. - Pogadamy później - dodał, zwracając się do Sally'ego.

Kiedy wychodziliśmy, Kiki ciągle stał w kącie. Jego oczy, małe i zimne, dziwnie nie pasowały do lalkowatej twarzyczki.

- Rany boskie - jęknęłam. - Coś ty mu powiedział?

- Spytałem, czy ma coś wspólnego z tymi bombami.

- I co ci powiedział?

- Niewiele.

- Ale piękna z niego kobieta.

Morelli wzdrygnął się i pokręcił głową z oszołomieniem.

- Przez chwilę nie wiedziałem, czy chcę się z nim umówić, czy walnąć go w pysk.

- Zostaniemy, żeby obejrzyć występ?

- Nie. Pójdziemy na parking i sprawdzimy mercedesa, a potem Kikiego.

Mercedes był czysty, podobnie jak Kiki. Gregory Stern miał

kartotekę czystą jak lza. Przed domem Morellego natknęliśmy się na dwa radiowozy. Pierwszym policjantem, którego spotkaliśmy, był ni mniej, ni więcej, tylko Carl Constanza.

- Czekałem na was - oznajmił. - Nie wiedziałem, czy mamy zabić okno deskami.

- Nie. Przez noc jakoś wytrzymamy, a rano wezwę szklarza.

- Jedziesz z nami czy zgłosisz to jutro?

- Jutro.

- Gratulacje - zwrócił się do mnie Constanza. - Słyszałem, że będziesz mamuszką.

- Nie będę!

Constanza objął mnie ramieniem.

- chciałybyś?

Przewróciłam oczami,

- Jak chcesz, ale nie zapominaj o mnie, gdybyś zmieniła zdanie.

Jakiś staruszek w szlafroku podszedł do Morellego i dał mu szturchańca łokciem.

- Całkiem jak za dawnych lat, co? Pamiętam, jak Ziggy Kozak tak oberwali z karabinu maszynowego, że wyglądał całkiem jak ser szwajcarski. To dopiero były czasy!

Morelli wszedł do domu i wrócił z bombą, którą wręczył Carlowi.

- Zdejmijcie odciski palców i zachowajcie to jako dowód. Czy ktoś już przesłuchał sąsiadów?

- Nikt nie widział zajścia. Byliśmy w każdym domu.

- A samochód?

- Jeszcze go nie znaleźliśmy.

Policjanci odjechali. Tłum się rozproszył. Weszłam w ślad za Morellim do salonu, gdzie przez jakiś czas przyglądaliśmy się odłamkom szkła na dywanie.

- Bardzo cię przepraszam - powiedziałam. - To przeze mnie. Nie powinnam tu przychodzić.

- O nic się nie martw, przynajmniej jest ciekawie.

- Mogę się wyprowadzić.

Morelli złapał mnie za podkoszulek i przyciągnął do siebie.

- Po prostu masz stracha, że się złamiesz i będziesz musiała mi zapłacić pięćdziesiąt dolców.

Miałam ochotę się uśmiechnąć.

- Dzięki.

Pocałował mnie. Czułam jego kolano pomiędzy nogami i jego język w ustach. Przeszył mnie gorący dreszcz, a żołądek wykonał jakiś dziwny skok.

Morelli cofnął się i wyszczerzył zęby.

- Dobranoc.

Zamrugałam nieprzytomnie oczami.

- ...Dobranoc.

Morelli uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Mam cię!

Zgrzytnęłam zębami.

- Idę spać.

- Będę na dole, jeśli poczujesz się samotna. Dziś śpię na kanapie, żeby nikt nie wlaźł mi przez okno i nie wyszedł z telewizorem.

ROZDZIAŁ 12

Wstałam wcześniej, ale Joe był szybszy. Zdążył posprzątać odłamki szyby i właśnie zajadał lazanię na śniadanie, kiedy zjawiłam się w kuchni. Nalałam sobie kawy i tęsknie spojrzałam na lazanię.

- Nie krępuj się - powiedział Morelli.

Gdybym zaczęła dzień od lazanii, musiałabym zdobyć się na jakiś wysiłek, na przykład na przebiegnięcie paru kilometrów. Mało zachęcające. Moim ulubionym ćwiczeniem fizycznym jest chodzenie po sklepach. A zresztą co, może trochę pobiegam. Trzeba dbać o kondycję i tak dalej.

Usiadłam przy stole i zabrałam się za lazanię.

- Więc dziś wracasz do tej tajemniczej sprawy.

- Do obserwacji.

Nie znosiłam tego. Obserwacja oznacza, że trzeba siedzieć w samochodzie tak długo, aż tyłek ci zdrętwieje. A kiedy idziesz do ubikacji, nagle zaczynają się dziać niesamowite rzeczy, tylko ty tego nie widzisz, bo siedzisz na kiblu.

Morelli odsunął od siebie talerz.

- A co ty planujesz?

- Znaleźć Maxine.

- I...?

- I tyle. Nie mam pomysłu. Nie mam poszlak. Wszyscy mi zniknęli. Eddie Kuntz pewnie nie żyje. Pani Nowicki, Margie i Maxine również. Wszyscy martwi i pogrzebani.

- Kurczę, miło zobaczyć, jaka jesteś radosna od samego rana.

- Lubię dobrze zacząć dzień. Morelli wstał i opłukał talerz.

- Muszę iść do pracy. Gdybyś była zwyczajną osobą, powiedziałbym, żebyś na siebie uważała. Ponieważ jesteś, kim jesteś, życzę ci szczęścia. Aha, ktoś wpadnie o dziewiątej, żeby wstawić szybę. Możesz zaczekać?

- Jasne.

Morelli pocałował mnie w czubek głowy i wyszedł.

Spojrzałam na Rexa.

- To trochę dziwne - wyznałam. - Stałam się nagle gospodynią domową, a nie jestem do tego przyzwyczajona.

Rex stanął słupka i wbił we mnie nieruchome spojrzenie. Można by przypuszczać, że zastanawiał się nad tym, co powiedziałam. Choć bardziej prawdopodobne było, że chciał winogrono.

Z braku lepszego pomysłu zadzwoniłam do Eddiego Kuntza. Nic.

- Nie żyje - powiadomiłam Rexa. Miałam ochotę jeszcze raz porozmawiać z Betty, ale musiałam poczekać na szklarza. Wypiłam drugą filiżankę kawy. A potem zjadłam jeszcze kawałek lazanii. O dziewiątej przyszedł szklarz, a za nim kolejna Włoszka zjedzeniem. Tym razem czekoladowe ciasto. Zjadłam połowę, czekając, aż szklarz zakończy pracę.

Nie musiałam pukać, żeby zgadnąć, że dom Eddiego Kuntza jest pusty. Samochód nie stał na podjeździe. Ciemno. Okna ściśle pozamykane. Brakowało tylko klepsydry na drzwiach.

Wobec tego zapukałam do drzwi Betty.

- Co mogę powiedzieć? - usłyszałam. - Nie ma go w domu. Tak jak wspominałam, ostatnim razem widziałam go w niedzielę.

Nie wydawała się zmartwiona. Raczej wkurzona. Jakbym jej w czymś przeszkodziła.

- Czy często to robi? Może powinniśmy powiadomić policję?

- Poszedł w tango - rzucił Leo z fotela przed telewizorem. - Poderwał jakąś lafiryndę, gdzie się zamelinowali. I tyle. Wróci, kiedy wróci.

- Pewnie ma pan rację - powiedziałam. - Ale nie zaszkodzi się rozejrzeć. Może powinniśmy zajrzeć do jego mieszkania. Czy macie klucz? Leo okazał więcej zdecydowania.

- Eddie poszedł w tango, mówię ci. I nie można włamywać się komuś do domu tylko dlatego, że poszedł w tango. Poza tym czemu się nim tak interesujesz? Myślałem, że szukasz Maxine Nowicki.

- Zaginięcie Eddiego może mieć z nią coś wspólnego.

- Mówię po raz ostatni, że on nie zginął.

To brzmiało jak odprawa, ale może mi się tylko wydawało. Wróciłam do buicka i pojechałam do domu pani Nowicki. Wyglądał jeszcze gorzej niż za pierwszym razem. Nikt nie strzygł trawnika, a jakiś pies narobił dokładnie na środku ścieżki. Dla

porządku obeszłam dom i zajrzałam w okna. Nigdzie ani żywego ducha.

Wróciłam do samochodu i pojechałam do domu Margie. Skręciłam w Olden i zauważyłam sfatygowanego fairlane'a, którego Morelli używa do celów obserwacji. Stał naprzeciwko delikatesów, w których niegdyś pracowała Helen Badijian. Morelli współpracował z policją federalną, więc przyjął, że chodzi o narkotyki, choć tak naprawdę mogło to być wszystko, od handlu bronią po nielegalne adopcje. A może po prostu zatrzymał się tutaj, żeby coś przegryźć albo się zdrzemnąć.

Dom Margie był lepiej utrzymany niż dom pani Nowicki, ale też nikogo w nim nie zastałam. Zajrzałam przez okno, zastanawiając się, co Margie zrobiła z kotem.

Sąsiadka z naprzeciwka wystawiła głowę z okna i przyłapała mnie na zagładaniu do mieszkania Margie.

- Szukam Margie - wyjaśniłam. - Pracuję z nią w jadłodajni i od paru dni jej nie widziałam, więc zaczęłam się martwić. Chyba jej nie ma w domu.

- Wyjechała na wakacje. Powiedziała, że trudno jej pracować z tak skaleczonym palcem, więc wzięła wolne. Chyba pojechała nad morze. Dziwię się, że pani tego nie wiedziała.

- Wiedziałam, że nie pracuje. Nie wiedziałam, że pojechała nad morze. - Rozejrzałam się. - A gdzie jej kot? Zabrała go ze sobą?

- Nie. W domu, który wynajęła, nie pozwolili jej go trzymać. Ja go karmię. Nie ma sprawy.

Ujechałam spory kawałek, kiedy nagle uderzyła mnie nowa myśl. Palec! Margie musi chodzić na zmianę opatrunku. I czeka ją wyjęcie szwów. A matka Maxine też pewnie wymaga opieki lekarskiej. W Point Pleasant miała zabandażowaną głowę.

Wpadłam do agencji, żeby zadzwonić do biura numerów. Connie malowała paznokcie, a Lula miała na uszach słuchawki walkmana. Siedziała do mnie tyłem, koraliki na jej głowie szczękały przy każdym ruchu, siedzenie kołysało się na boki w żwawym rytmie. Dostrzegła mnie kątem oka, wyłączyła walkmana i odwróciła się do mnie.

- Oho! Koniec seksu - zauważyła.

- Skąd wiesz? - Złapałam się za głowę. - To jakiś koszmar!

Vinnie wyjrzał zza drzwi.

- O co ten wrzask?

- Przyszła Stephanie - mruknęła Connie.

Vinnie trzymał w zębach cygaro wielkie jak armatnia lufa.

- Gdzie Maxine? Za pięć dni stracę pieniądze, na litość boską.

Nie powinienem odwoływać tej Barnhardt.

- Spokojnie, zbliżam się do finału.

- Tak - warknął Vinnie. - Mojego.

Schował się w gabinecie i trzasnął drzwiami.

Znalazłam adres Margie w książce telefonicznej i dowiedziałam się, jak brzmi jej nazwisko. W Trenton są trzy szpitale. Szpital imienia Heleny Fuld znajduje się w pobliżu domu pani Nowicki. Margie mieszka w połowie drogi pomiędzy Heleną Fuld i Świętym Franciszkiem.

Wróciłam do domu Joego, poczęstowałam się jeszcze jednym kawałkiem ciasta czekoladowego i zadzwoniłam do kuzynki Evelyn, która pracuje u Heleny Fuld. Podałam jej te dwa nazwiska i poprosiłam, żeby się nimi zainteresowała. Policja nie poszukiwała żadnej z nich, więc - zakładając, że jeszcze żyją - z pewnością pojawią się u swojego lekarza. Ich jedyną troską było chronienie Maxine przede mną.

Dochodziła trzecia, a ja z nadzieją oczekiwałam kolejnej Włoszki z jedzeniem. Od czasu do czasu wyglądałam przez okno, ale nie zauważyłam żadnego wielkiego czarnego samochodu z obiadem dla mnie. To mogło oznaczać problemy, bo myśl o krzątaniu się po kuchni Morellego nasuwała mi głównie skojarzenia z filmami z Doris Day.

Evelyn oddzwoniła i powiedziała, że mam szczęście. Obie kobiety leczyły się u Fuld. Obie zgłaszały się do lekarzy na badania. Przekazała mi nazwiska tych lekarzy. Wyraziłam jej swoją wdzięczność. Powiedziała, że będziemy kwita, jeśli opowiem jej z detalami, jaki Morelli jest w łóżku.

Zadzwoniłam do obu lekarzy i nakłamałam recepcjonistkom ile wlezie. Kupiły bajeczkę, że zapomniałam, na którą jestem umówiona. Margie i pani Nowicki miały wizytę w środę. Cholera, dobra jestem.

Morelli wszedł do domu, powłócząc nogami. Otworzył

lodówkę i wsadził do niej głowę.

- Muszę zainstalować klimatyzację.

Według mnie w porównaniu z wczorajszym dniem pogoda była całkiem znośna. Dziś za dziwną mgielką w powietrzu widać było żółtą poświatę, zdradzającą obecność słońca.

Morelli wyjął głowę z lodówki, rzucił broń na stół i wziął sobie piwo.

- Kiepski dzień?

- Przeciętny.

- Widziałam cię w północnej dzielnicy.

- Śledziłaś mnie?

- Rozpoznałam samochód. Domyśliłam się, że obserwujesz delikatesy.

- Obserwowałam. Długo.

- Narkotyki?

- Falszerstwo pieniędzy.

- Myślałam, że miałeś mi nie mówić.

- Chrzanię to. Ta sprawa jest tak popieprzona, że już nic jej nie zaszkodzi. Od pięciu lat z Trenton wychodzą fałszywe dwudziestki. Może nawet dłużej. Ministerstwo Finansów jest zaniepokojone. Szukają drania. Nie znajdują matryc. Ani papieru. Ani niczego. W tym również żadnych śladów obrotu fałszywkami. Nawet nie możemy nikogo aresztować. Wyglądamy jak banda debili. I nagle, ni z tego, ni z owego, w sklepie na Olden pojawia się parę dwudziestek. Więc zaczynamy od początku. Sprawdzamy, kto wchodzi do tego sklepu.

- Ekspedient nie wiedział, od kogo je dostał?

- Zorientowano się dopiero w banku.

- I co sądzisz?

- Że po raz pierwszy mamy drania. Tylko coś się stało i nie znaleźliśmy niczego.

- Właśnie coś dziwnego mi wpadło do głowy. Wiązaliśmy śmierć Helen Badijjan z Maxine. A może ma coś wspólnego z fałszywkami?

- Też mi się tak zdawało, ale koroner łączy ją z Maxine. Przyczyną śmierci Badijjan było uderzenie w głowę, ale ktoś jej odciął palec.

Do głowy wpadło mi coś jeszcze dziwniejszego, ale nie odezwałam się, żeby nie zrobić z siebie idiotki.

Zadzwonił telefon. Morelli podniósł słuchawkę.

- Tak, pani Plum - powiedział.

Zerwałam się na równe nogi i kłusem ruszyłam do drzwi. Byłam już w połowie salonu, ale Morelli chwycił mnie za koszulkę i mocno szarpnął ku sobie.

- Twoja matka - powiedział, wręczając mi słuchawkę.

- Stephanie - usłyszałam głos mamy. - Dlaczego wszyscy mówią, że jesteś w ciąży?

- Nie jestem w ciąży. Wynajmuję pokój, a nie zakładam rodzinę.

- Wszyscy mówią, że jesteś w ciąży. Co mam powiedzieć pani Crandle?

- Że nie jestem w ciąży.

- Ojciec chce z tobą pomówić.

Na chwilę w słuchawce zapadła cisza, a potem usłyszałam sapanie.

- Tato?

- Taaa. Jak się sprawuje buick? Musisz go oddać do przeglądu, wiesz?

- Nie martw się, zawsze to robię. - Nigdy w życiu nie oddałam tego grata do przeglądu. Nie zasługiwał na to. Był brzydki.

Ojciec oddał słuchawkę matce. Byłam pewna, że przewróciła oczami.

- Mamy dzisiaj smakowity gulasz. Z groszkiem i ziemniakami.

- Dobra, przyjdę.

- Z Josephem.

- Nie, on nie może.

- Mogę - odezwał się Joe. Westchnęłam głęboko.

- Joe też przyjdzie.

Rozłączyłam się i oddałam mu telefon.

- Będziesz tego żałować.

- Kobieta w ciąży zawsze promienieje - oznajmiła babcia.

- Może i promienieję, ale nie jestem w ciąży.

Babcia spojrzała na mój brzuch.

- Ale tak wyglądasz.

Cholerna włoska kuchnia!

- To przez ciasto.

- Pewnie zechcesz się pozbyć tego ciasta do ślubu - zauważyła babcia. - Bo będziesz musiała kupić taką empirową sukienkę bez talii.

- Nie będzie ślubu - warknęłam.

- A może w sali?

- W jakiej sali?

- Pomyślałyśmy, że można by urządzić wesele w sali Domu Polskiego. To najlepsze miejsce, a Edna Majewski powiedziała, że ktoś się wycofał, więc jest szansa, tylko trzeba działać szybko.

- Chyba nie wynajęłyście sali na moje wesele?

- No, nie wpłaciłyśmy depozytu. Nie znamy jeszcze daty.

Spojrzałam na Joego bezradnie.

- Ty im to wytłumacz.

- Ktoś podpalił mieszkanie Stephanie, więc wynajmuję jej pokój do czasu zakończenia remontu.

- A seks? - palnęła babcia z wielkim zainteresowaniem. - Uprawiacie seks?

- Nie. - Przecież to prawda. Od niedzieli.

- Na twoim miejscu bym uprawiała.

- Jezu! - mruknął ojciec.

Matka podała mi ziemniaki.

- Mam dla ciebie formularze ubezpieczeniowe. Ed oglądał twoje mieszkanie i powiedział, że nic z niego nie zostało. Podobno ocalała tylko baryłeczka na ciastka.

Spojrzałam na Morellego wyzywająco, tylko czekając na jakąś uwagę o baryłeczce, ale on z zajęciem nakładał sobie groszek. Rozległ się dzwonek telefonu i babcia podreptała do kuchni, żeby go odebrać.

- Do ciebie, Stephanie! - krzyknęła.

- Obdzwaniam całe miasto, żeby się znaleźć! - zawołała zdenerwowana Lula. - Mam nowe wiadomości. Joyce Barnhardt przed chwilą dzwoniła do Vinniego i Connie ich podsłuchała. Joyce powiedziała Vinniemu, że zmusi go, żeby szczekał jak pies, jeśli tylko odda jej tę sprawę z powrotem, i jak myślisz, co się

stało?

- Chyba wiem.

- Tak, a potem powiedziała Vinniemu, skąd bierze nowe poszlaki w sprawie Maxine. I znamy nazwisko tego małego padalca, który jej pomaga.

- Ha!

- Więc tak mi się zdaje, że powinniśmy złożyć mu wizytę.

- Teraz?

- Masz coś lepszego do roboty?

- Nie. Może być i teraz.

- Przyjadę po ciebie, żeby nie tłuc się tym buickiem. Kiedy wróciłam do stołu, wszyscy przestali jeść.

- No i...? - spytała babcia.

- To była Lula. Muszę szybko zjeść i spadam. Mamy nowy trop.

- Też mogłabym pojechać, tak jak poprzednim razem.

- Dzięki, ale wolałabym, żebyś została w domu i porozmawiała z Joem. Babcia puściła oko do Morellego, który miał taki wyraz twarzy, jakby się czymś dławiał.

Dziesięć minut później usłyszeliśmy pisk opon i potwornie głośny łomot rapu. Potem rap umilkł jak nożem uciął i Lula stanęła w progu.

- Mamy mnóstwo gulaszu! - zawołała do niej babcia. - Chcesz trochę? Moja matka zerwała się na równe nogi i pobiegła po dodatkowy talerz.

- Gulasz - powtórzyła Lula. - Kurczę, jak ja lubię gulasz.

- Zawsze chciałam siedzieć przy stole z Murzynką - wyznała babcia z oczami rozjaśnionymi szczęściem.

- A ja zawsze chciałam siedzieć przy stole z taką chudą białą starowiną, więc pewnie obie mamy szczęście.

Babcia i Lula wykonały jakiś dziwny uścisk ręki.

- W dechę - powiedziała babcia.

Po raz pierwszy w życiu jechałam nowym firebirdem i zżerała mnie zazdrość.

- Jak to możliwe, że stać cię na taki samochód? I jak to możliwe, że już ci wpłacili odszkodowanie, a ja ciągle czekam?

- Po pierwsze, w mojej okolicy wszystko jest tanie. A po drugie, ja je biorę w leasing. Jak spalę jeden wozik, to dają mi drugi. Spoko wodza.

- Może też tak powinnam zrobić.

- Tylko im nie mów, że twoje samochody ciągle wylatują w powietrze. Jeszcze by pomyśleli, że jesteś ryzykowną inwestycją. - Lula skręciła w Hamilton. - en klient, Bernie, pracuje w supermarkecie przy trasie 33. Kiedy nie sortuje pomarańczy, zajmuje się sprzedażą dobrych papierosków, co tłumaczy jego związki z Barnhardt i mamuszką Nowicki. Nowicki gada do niego, a on gada do Barnhardt.

- Joyce powiedziała, że to kontakty z kimś, kto robi w handlu detalicznym.

- A nie? Z tego, co podsłuchała Connie, wynika, że ten facet jest optycznie upośledzony.

- Ślepy?

- Brzydki.

Lula skręciła na parking przed sklepem. O tak późnej porze nie było tu wielu klientów.

- Joyce powiedziała, że to mały jurny troll, więc jeśli nie chcesz kupować prochów, może zaproponuj mu jakąś przysługę.

- Na przykład seksualną?

- Nie musisz dotrzymywać obietnicy. Wystarczy obiecać. Sama bym się tym zajęła, ale on jest chyba bardziej w twoim typie.

- co to za typ?

- Biały.

- Jak go mam znaleźć?

- Nazywa się Bernie. Pracuje w dziale owoców. Wygląda jak mały jurny troll.

Przyjrzałam się sobie w lusterku wstecznym, napuszyłam włosy i pomalowałam usta.

- Jak wyglądam?

- Z tego co słyszałam, facetowi nie zrobiłoby różnicy, nawet gdybyś szczełała i ganiała za samochodami.

Znalazłam Berniego bez problemu. Stał odwrócony do mnie plecami i metkował winogrona. Miał bujne kędzierzawe włosy na skroniach i łysinę na czubku głowy, która wyglądała jak wielkie

różowe jajo. Był niziutki, a budową ciała przypominał hydrant.

Włożyłam do wózka torbę ziemniaków i ruszyłam ku niemu.

- Przepraszam...

Bernie gwałtownie odwrócił się, zadarł głowę i spojrzał na mnie. Lekko rozchylił grube usta, łudząco podobne do rybiego pyska, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

- Ładne jabłka - powiedziałam.

Bernie coś zabełkotał, a jego oczy ześliznęły się ku moim piersiom.

- Czy są narkotyki? - dodałam grzecznie.

- Że co? To jakieś żarty?

- Moja przyjaciółka powiedziała, że mogę kupić u pana prochy.

- Ach, tak? A co to za przyjaciółka?

- Joyce Barnhardt.

Oczy mu zabłyśły w sposób zdradzający, iż Joyce prawdopodobnie nie musiała płacić gotówką za marihuanę.

- Znam Joyce, ale nie twierdzę, że sprzedawałem jej prochy.

- Mamy jeszcze inną wspólną przyjaciółkę.

- Kogo?

- Nazywa się Nowicki.

- Nie znam żadnej Nowicki.

Opisałam mu ją.

- A, to pewnie Francine. Fajna jest. Tylko nie znałem jej nazwiska.

- Dobra klientka?

- Aha. Kupuje mnóstwo owoców.

- Widział ją pan ostatnio?

Spojrzał na mnie przebiegle.

- Jak wiele to dla ciebie znaczy?

O, to nie brzmiało dobrze.

- A czego pan chce?

Bernie wydał z siebie obłeśny odgłos.

- Ohyda!

- To dlatego że jestem niski, tak?

- Nie, nie, skąd. Lubię niskich mężczyzn. Bardziej się... starają.

- Więc to przez te włosy? Lubisz owłosionych, tak?

- Włosy się nie liczą. Nic mnie nie obchodzą. Poza tym ma pan

mnóstwo, włosów. Tylko nie na czubku głowy.

- Więc o co chodzi?
- Nie wolno wydawać takich dźwięków do kobiet! To... tanie.
- Myślałem, że przyjaźnisz się z Joyce.
- Aaa, teraz rozumiem,
- Więc jak?
- Prawdę mówiąc, pan mnie nie pociąga.
- Wiedziałem. Wiedziałem! To dlatego że jestem niski.

Ten biedny palant miał prawdziwego fioła na tle swego wzrostu. Całkiem jakby mógł coś poradzić na to, że urodził się mały, a jego głowa przypominała kulę do kręgli. Nie chciałam pogłębiać jego kompleksów, ale nie przychodziła mi do głowy żadna sensowna odpowiedź. A potem przypomniałam sobie o Sallym.

- Nie chodzi o wzrost - oznajmiłam w natchnieniu. - Tylko o mnie. Jestem lesbijką.

- Zalewasz!

- Nie. Naprawdę.

Obejrzał mnie od stóp do głów.

- Na pewno? Jezu, co za strata! Nie wyglądasz jak lesbijka.

Pewnie mu się wydawało, że lesbijki mają na czołach wypalone wielkie L. Chociaż ja też nie jestem wyrocznią w tych sprawach, bo nigdy nie znałam żadnej lesbijki.

- Masz dziewczynę? - spytał Bemie.

- No jasne. Czeka w samochodzie.

- Chcę ją zobaczyć.

- Po co?

- Bo ci nie wierzę. Pewnie chcesz być dla mnie miła.

- Słuchaj, Bernie, muszę się czegoś dowiedzieć o Nowicki.

- Dopiero jak zobaczę twoją dziewczynę.

To się zaczęło robić komiczne.

- Ona jest nieśmiała.

- Dobrze, więc ja tam pójde.

- Nie! Przyprowadzę ją.

Jezu!

Wróciłam truchtem na parking i zajrzałam przez okno do Luli.

- Mam tu problem. Musisz mi pomóc. Potrzebuję lesbijki.

- Mam ci kogoś znaleźć? Czy nią być?

Wyjaśniłam jej całą sytuację i razem wróciliśmy do Berniego, który układał grejpferty.

- Sie ma, kurduplu - powiedziała Lula. - Jak leci?

Bernie podniósł głowę znad grejpfertów i omal nie wyskoczył z butów. Pewnie się nie spodziewał, że moja dziewczyna jest stukilową Murzynką w różowym sportowym ubranku.

- Stephanie mówi, że znasz starą Nowicki.

Bernie pokiwał gorliwie głową.

- Widziałeś ją ostatnio? Bernie wybałuszył oczy.

- Halo, Ziemia do Berniego! - dodała Lula.

- Hę?

- Widziałeś ostatnią starą Nowicki?

- Wczoraj. Przyszła kupić tych, no... owoców.

- Jak często kupuje te owoce?

Bernie zagryzł dolną wargę.

- Trudno powiedzieć. To nie jest stała klientka.

Lula objęła go ramieniem po przyjacielsku i omal go nie zadusiła prawą pierśią.

- Widzisz, mały, rzecz w tym, że chcemy pogadać z tą Nowicki, ale nie możemy jej znaleźć, bo się wyniosła z domu. Jeśli nam pomożesz, będziemy wdzięczne. Naprawdę wdzięczne.

Po łysinie Berniego zaczęły spływać strużki potu.

- A niech to - powiedział. Ton jego głosu wskazywał, że zdecydował się nam pomóc.

Lula uścisnęła go mocniej.

- I jak?

- Nie wiem, nie wiem. Ona wiele nie gada.

- Zawsze przychodzi sama?

- Tak.

Dałam mu moją wizytówkę.

- Jeśli sobie coś przypominasz albo ją zobaczysz, natychmiast do mnie zadzwoń.

- Jasne. Nie ma sprawy.

Wsiadłyśmy do samochodu i znowu nawiedziła mnie dziwna myśl.

- Poczekaj tutaj - rzuciłam Luli. - Zaraz wracam.

Bernie stał na środku sklepu i przyglądał się nam przez szybę.

- Co znowu? - spytał. - Czegoś zapomniałaś?

- Czy Nowicki zapłaciła ci za te owoce dwudziestką? Spojrzał na mnie z zaskoczeniem.

- Tak.

- Nadal ją masz?

Przez chwilę przyglądał mi się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Chyba... - Wyjął portfel i zajrzał. - Jest. Dostałem tylko jedną. To na pewno ta.

Pogrzebałam w torbie i wyjęłam dwie dziesiątki.

- Zamieńmy się.

- To wszystko?

Uśmiechnęłam się chytrze.

- Na razie...

- Wiesz, mógłbym na was popatrzeć.

Poklepałam go po łysinie.

- Trzymaj się tej myśli.

Wróciłam do samochodu.

- Niewiele nam z tego przyszło - zauważyła Lula.

- Wiemy, że wczoraj była w Trenton.

- Nie ma tu wiele miejsc, w których kobieta mogłaby się zatrzymać. Nie tak jak na wybrzeżu, gdzie jest masa hoteli i pokoi do wynajęcia. Tutaj są tylko hotele na godziny.

To prawda. Mieszkam w stolicy stanu, która nie ma prawdziwego hotelu. Można by z tego wywnioskować, że nikt nie chce się zatrzymywać w Trenton, ale to na pewno nieprawda. W Trenton jest fajnie. Mamy tu wszystko... z wyjątkiem hoteli.

Oczywiście fakt, iż mamuśka Nowicki robiła interesy z Berniem, nie oznaczał jeszcze, że musi mieszkać w Trenton.

Po raz ostatni objechałyśmy dom Eddiego Kuntza, dom Nowicki i Margie. Wszystkie były ciemne i puste.

Lula wysadziła mnie przed domem Morellego i pokręciła głową.

- Ten Morelli ma fajną dupcię, ale nie wiem, czybym chciała mieszkać z gliniarzem.

Dokładnie to samo myślałam.

Okna w domu były otwarte, żeby zrobić przeciąg, a dźwięk z telewizora niósł się po całej ulicy. Morelli oglądał mecz. Dotknęłam maski jego samochodu. Jeszcze ciepła. To znaczy, że niedawno przyjechał.

- Hej! - wrzasnęłam. - Jest tam kto?

Morelli pojawił się bosy w korytarzu, żeby mi otworzyć.

- Szybko się uwinęła.

- Nie za szybko.

Morelli wrócił przed telewizor.

Mecze lubię oglądać w naturze. Siedzi się wtedy na słońcu, pije się piwo i je hot dogi i wszystko wygląda jak majówka. Mecz w telewizorze doprowadza mnie do stanu śpiączki. Pogrzebałam w kieszeniach, wyłowiłam dwudziestkę i podałam ją Morellemu.

- Zatrzymałam się w północnej dzielnicy, żeby kupić sobie napój, i dostałam tę dwudziestkę jako resztę. Pomyślałam, że fajnie będzie sprawdzić jej autentyczność.

Morelli łypnął na mnie podejrzliwie.

- Ustalmy fakty. Kupiłaś napój i dostałaś dwadzieścia dolców reszty. To co dałaś, pięćdziesiątkę?

- No dobrze, na razie nie chcę ci mówić, skąd to mam. Morelli przyjrzał się banknotowi.

- Jasna cholera - powiedział. Spojrzał na niego pod światło. Potem poklepał kanapę.

- Musimy porozmawiać.

Przysiadłam nieufnie na wskazanym miejscu.

- Falszywka, tak?

- Tak.

- Tak myślałam. Czy to łatwo poznać?

- Jeśli się wie, czego szukać. W górnym prawym rogu jest cienka linia w miejscu, gdzie matryca miała rysę. Podobno papier też jest nie ten, ale ja tego nie umiem rozpoznać.

- Czy facet, o którego wam chodzi, jest z pomocnej dzielnicy?

- Nie. I jestem pewien, że pracował w pojedynkę. Falszerstwo to intymne zajęcie. - Morelli objął mnie ramieniem i pogładził palcem mój kark. - A teraz co do tej dwudziestki...

ROZDZIAŁ 13

Sytuacja stała się beznadziejna. Morelli uparł się, żeby wyrwać ze mnie tę informację.

- Dwudziestka pochodzi od Francine Nowicki, matki Maxine - wyjaśniłam ponuro. - Wczoraj dała ją handlarzowi narkotyków.

Opowiedziałam resztę historii. Kiedy skończyłam, Morelli miał bardzo dziwny wyraz twarzy.

- Jak to się dzieje, że zawsze mieszasz się w takie rzeczy? Zaczynam się ciebie bać.

- Może ja też mam wizje.

Pożalowałam swoich słów w chwili, w której padły z moich ust. Wizje są jak potwór pod łóżkiem. Lepiej ich nie wywoływać z ukrycia.

- Naprawdę uważałem, że tym fałszerstwem zajmuje się jeden człowiek powiedział Morelli. - Ten, którego obserwowaliśmy, dobrze pasował do charakterystyki. Obserwowaliśmy go przez pięć miesięcy. I nigdy nie zauważyliśmy, żeby ktoś mu pomagał.

- To by wiele wyjaśniało w sprawie Maxine.

- Tak, ale ciągle nie rozumiem. W czasie tych pięciu miesięcy facet ani razu nie skontaktował się osobiście z Kuntzem ani z Maxine.

- A widzieliście, jak puszczał pieniądze w obieg?

- Nie. To także część problemu. Mamy na niego tylko poszlaki i fakty uboczne.

- Więc dlaczego znowu się nim zajęliście?

- Bo dostaliśmy telefon z federalnej. Miały miejsce pewne wydarzenia, której utwierdziły nas w przekonaniu, że facet zaczął drukować.

- Ale okazało się, że nie.

- Przynajmniej nie pieniądze. - Morelli znowu spojrzał na dwudziestkę. - Bardzo możliwe, że kilka takich fałszywek krąży sobie po mieście, a matka Maxine nieumyślnie puściła jedną w obieg,

Ktoś zapukał do drzwi. Morelli poszedł otworzyć.

Za progiem stał Sally.

- Odbiło mu! - krzyknął. - Chciał mnie zabić! Ten biedny głupi

sukinsyn chciał mnie, kurwa, zabić!

Sally wyglądał jak przerośnięta pensjonarka z nadmiarem testosteronu. Spódniczka w kratkę, biała wykrochmalona bluzka, skarpetki i zniszczone reeboki. Brak makijażu, brak peruki, dwudniowy zarost i kudłata pierś widoczna przez rozpięty kołnierzyk.

- Kto cię chciał zabić? - spytałam. Podejrzewałam, że jego współlokator, ale w przypadku Sally'ego wszystko mogło się zdarzyć.

- Kiki. Odbiło zasrańcowi! Wyleciał z klubu od razu po występie w niedzielę i wrócił do domu dopiero godzinę później. Władował się do środka z galonem benzyny i zapalniczką i powiada, że sfajczy całe mieszkanie, bo mnie kocha. Uwierzylibyście?

- Coś podobnego!

- Potem zaczął wrzeszczeć, że wszystko było świetnie, dopóki ty się nie pojawiłaś, bo przestałem zwracać na niego uwagę.

- On nie wie, że nie jesteś gejem?

- Powiedział, że gdybyś się nie wtrąciła, z czasem bym go polubił. - Sally przesunął dłonią po swojej fryzurze buszmena. - Typowe. Jak już komuś wreszcie odbije na moim tle, to oczywiście musi być facet.

- Może to ma coś wspólnego z tym, jak się ubierasz.

Sally spojrział na swoją spódniczkę.

- Właśnie ją mierzyłem, kiedy ten świrus wleciał z benzyną. Zamierzam zmienić styl na pensjonarski.

Morelli i ja zagryźliśmy wargi.

- Więc co się stało? - spytał Morelli. - Podpalił mieszkanie?

- Nie. Wyrwałem mu ten kanister i wyrzuciłem przez okno. Usiłował podpalić dywan zapalniczką, ale nie chciał się zająć. Syntetyk. Wreszcie dał sobie spokój i poleciał po nowy kanister. Nie miałem ochoty czekać, aż zrobi ze mnie pieczeń, więc wrzuciłem swoje rzeczy do paru worków na śmieci i się zmyłem.

Morelli zmarszczył brwi.

- I przyjechałeś tutaj.

- No. Pomyślałem, że fajnie sobie z nim poradziłeś w klubie, a poza tym jesteś gliną i w ogóle, więc u ciebie będzie bezpiecznie. -

Uniósł dłoń. - Tylko na parę dni! Nie chcę się narzucać.

- Jasna cholera - mruknął Morelli. - Co jest, czy mój dom to schronisko dla niedoszłych ofiar mordercy?

- To nie taki zły pomysł - zauważyłam. - Jeśli Sally rozgłosi, że tu mieszka, może zwabimy Kikiego w pułapkę.

Muszę wyznać, że z serca spadł mi ogromny kamień. Wreszcie wiedziałam, kto spalił mi mieszkanie. I naprawdę wolałam, żeby to był Kiki. To lepsze niż mafia. I ten wariat, co odcina palce.

- Widzę tu dwa słabe punkty - powiedział Morelli. - Raz: nie podoba mi się, że mój dom może się zmienić w płonący stos. Dwa: złapanie Kikiego nie na wiele się nam przyda, skoro nie możemy go o nic oskarżyć.

- Spoko wodza - zapewnił go Sally. - Kiki opowiedział mi, że spalił mieszkanie Stephanie i chciał sfajczyć także ten dom.

- Zeznasz to w sądzie?

- Mam coś lepszego. Jego pamiętnik. Pełen smakowitych szczegółów.

Morelli oparł się o stół i splótł ręce na piersi.

- Zgodzę się, ale tylko pod warunkiem że oboje się stąd wyniesiecie. Ty powiedz wszystkim, że u mnie mieszkasz, i dwa razy dziennie wchodź i wychodź frontowymi drzwiami, żeby to uprawdopodobnić. Przenocujecie w bezpiecznym miejscu.

- Niech Sally przenocuje - powiedziałam. - Ja ci pomogę w obserwacji.

- Nie ma mowy! - oburzył się Sally. - Nie dam się wyślizgać z takiego ubawu!

- Jakie bezpieczne miejsce miałeś na myśli?

Morelli zastanawiał się przez chwilę.

- Pewnie mógłbym was umieścić u jakiegoś mojego krewnego.

- O nie! Twoja babka mnie odnajdzie i rzuci na mnie złe oko!

- Co to jest złe oko? - zaciekawiał się Sally.

- To takie przekleństwo. Włoskie.

Sally zadrzał.

- Nie lubię przekleństw. Raz przypadkiem przejechałem kurę jakiejś kobiety od wudu i ta kobieta powiedziała, że sprawi, żeby odleciał mi fajfus.

- I co? - spytał Morelli. - Odleciał?

- Jeszcze nie, ale mam wrażenie, że się kurczy,

Morelli skrzywił się boleśnie.

- Nie chcę słyszeć nic więcej na ten temat.

- Przenocuję u rodziców - oznajmiłam. - Sally może pójść ze mną.

Oboje spojrzeliśmy na jego spódniczkę.

- Masz w samochodzie jakieś spodnie?

- Nie wiem, spieszyłem się. Nie miałem ochoty czekać, aż Kiki wróci z nowym kanistrem.

Morelli zgłosił zajście na policji, a potem wynieśliśmy rzeczy Sally'ego z jego samochodu. Zostawiliśmy porsche za buickiem i zaciągnęliśmy rolety w oknach na parterze. Potem Morelli zadzwonił do swego kuzyna Moocha, żeby zabrał Sally'ego i mnie o dziewiętej z zaułka na tyłach domu.

Trzydzieści minut później Morelli otrzymał telefon z policji. Dwaj umundurowani policjanci pojechali sprawdzić mieszkanie Kikiego i zobaczyli pożar. Mieszkańcy budynku zostali ewakuowani. Nikt nie doznał obrażeń. A strażacy opanowali sytuację.

- Pewnie wrócił zaraz potem - zauważył Sally. - Chybaby nie podpalił mieszkania, gdyby wiedział, że mnie nie ma. Nie miałby serca spalić tych wszystkich ciast i placków.

- Rany, bardzo mi przykro - powiedziałaam. - Mam z tobą pójść? Chcesz zobaczyć to mieszkanie?

- Nie zbliżę się do niego, dopóki Kiki nie znajdzie się w wariatkowie. Poza tym ta chata nie jest moja. Ja tylko wynajmowałem pokój od Kikiego. Wszystkie meble należą do niego.

- Widzisz, tak będzie o wiele lepiej - oznajmiła matka, otwierając drzwi. - Już przygotowałam sypialnię. Zmieniłam pościel, jak tylko zadzwoniłaś.

- To bardzo miłe - wymamrotałam. - Jeśli pozwolicie, położę u siebie Sally'ego, a sama pójdę do babci. Tylko na parę dni.

- Sally?

- Zaraz tu będzie. Musiał wynieść torby z samochodu.

Matka spojrzała ponad moim ramieniem i znieruchomiała.

- Się ma, ludzie - przywitał się Sally.
- Jak leci? - zareagowała babcia.
- Jezusie Nazareński! - powiedział ojciec martwym głosem.
Zaniosłam Rexa do kuchni i postawiłam go na stole.
- Nikt nie powinien się dowiedzieć, że Sally i ja u was mieszkamy.

Matka wyraźnie pobladła.

- Nikomu nie powiem. I zabiję każdego, kto się wygada. Ojciec podniósł się powoli z fotela przed telewizorem.

- Co to za strój? - spytał, wskazując na Sally'ego. - Czy to kilt? Jesteś Szkotem?

- A gdzie tam - wyrwała się babcia. - To nie Szkot, tylko transwestyta. Ale nie przyplaszcza sobie dzyndzla, bo dostaje od tego wysypki. Ojciec przyjrzał się Sally'emu.

- To znaczy, że jesteś chłoptasiem? Sally wyprostował się na całą wysokość.

- O co chodzi?

- Jaki masz samochód?

- Porsche.

Ojciec wyrzucił obie ręce w powietrze.

- Widzicie? Porsche. Nawet nie jeździ amerykańskim samochodem. To właśnie im dolega. W tym kraju wszystko było jak należy, dopóki ludzie kupowali amerykańskie samochody. A teraz gdzie się tylko spojrzy, wszędzie te japońskie śmierdziele. I patrzcie, do czego nas to doprowadziło.

- Porsche to niemiecka marka. Ojciec przewrócił oczami.

- Niemiecka! Też mi państwo! Nawet wojny nie potrafią wygrać. Myślicie, że Niemcy dadzą wam emeryturę?

Złapałam jedną torbę.

- Zniosę to na górę.

Sally poszedł za mną.

- Na pewno mogę zostać?

- Jasne. Ojciec cię polubił. Widzę to.

- Nieprawda! - krzyknął ojciec z dołu. - To popapraniec! Poza tym mężczyzna, który chodzi w spódnicy, ma patriotyczny obowiązek siedzieć w zamknięciu, gdzie nikt go nie zobaczy.

Otworzyłam drzwi sypialni, wstawiłam torbę do środka i dałam

Sally'emu czyste ręczniki.

Sally stanął przed lustrem na drzwiach.

- Myślisz, że źle wyglądam w tej spódnicy?

Przyjrzałam się mu. Nie chciałam ranić jego uczuć, ale wyglądał jak mutant z „Planety małp”. Był prawdopodobnie najbardziej włochatym transwestytą, który kiedykolwiek nosił pas do pończoch.

- Może nie strasznie, ale myślę, że wąskie spódnice bardziej ci pasują. I dobrze wyglądasz w skórze.

- Dolores Dominatrix.

Bardziej Brunhilda Biały Kieł.

- Dobrze by ci było w stylu pensjonarki - dodałam - ale musiałbyś się dokładnie ogolić.

- Pieprzę to, nienawidzę się golić.

- To może depilacja woskiem?

- Raz spróbowałam. Bolało jak ciężka cholera.

Dobrze, że nie miewa owulacji.

- I co teraz? - spytał Sally. - Nie mogę iść tak wcześniej do łóżka. Jestem typem nocnego marka.

- Nie mamy samochodu, więc to pewne ograniczenie, ale Morelli mieszka o parę kroków stąd. Moglibyśmy pójść i zobaczyć, czy coś się nie dzieje. Przejrzyj swoje rzeczy, może masz coś czarnego.

Po pięciu minutach Sally zszedł po schodach w czarnych dżinsach i spranym czarnym podkoszulku.

- Idziemy na spacer - wyjaśniłam rodzinie. - Nie musicie czekać. Mam klucz.

Babcia przysunęła się ku mnie nieznacznie.

- Chcesz kopyto? - szepnęła.

- Nie, ale dzięki za propozycję.

Przez całą drogę do domu Morellego oboje zachowywaliśmy najwyższą ostrożność. W przeciwieństwie do Luli, która nie przyznaje się do strachu, zarówno Sally, jak i ja nie ukrywaliśmy, że boimy się Kikiego jak cholera.

Zatrzymaliśmy się za rogiem i zbadaliśmy sytuację na ulicy Morellego. Po drugiej stronie nie zauważyliśmy żadnych

samochodów. Ani furgonetek. Widziałam samochód Morellego, więc wywnioskowałam, że jego właściciel znajduje się w domu. Rolety nadal były spuszczone, a światła zapalone. Miałam nadzieję, że ktoś obserwuje dom z zewnątrz, ale nikogo nie dostrzegałam.

To miła okolica, podobna do tej, w której mieszkają moi rodzice. Nie aż tak zamożna. Domy przeważnie zajmowane przez starszków, którzy mieszkali tu przez całe dorosłe życie, lub przez młode pary na dorobku. Starszkwowie mają stałe dochody, kupują buty na wyprzedazach, remontują tylko to, co absolutnie konieczne, i cieszą się, że mają spłacone hipoteki. Młodzi mieszkają skromnie, licząc dni do chwili, kiedy kupią sobie większe domy w lepszej dzielnicy.

Odwrociłam się do Sally'ego.

- Myślisz, że Kiki przyjdzie po ciebie?

- Jeśli nie po mnie, to po ciebie. Był wściekły jak wszyscy diabli.

Stanęliśmy naprzeciwko domu Morellego. Za naszymi plecami rozległo się jakieś szurnięcie, a z cienia wyłoniła się postać. Morelli.

- Spacerek? - zagadnął.

Spojrzałam ponad jego ramieniem i zobaczyłam motocykl zaparkowany na małym podwórku.

- Czy to ducati?

- Tak. Nie jeżdżę na nim zbyt często.

Podeszłam bliżej. Ducati 916 superbike. Czerwony. Motocykl, za który warto umrzeć. Szybszy i bardziej zwrotny niż samochód. Nagle poczułam, że Morelli jakoś bardziej mi się podoba.

- Jesteś tu sam? - spytałam.

- Na razie. Roice przyjdzie o drugiej.

- Pewnie nie znaleźli Kikiego.

- Szukamy samochodu, ale na razie nic nam z tego nie wychodzi.

U wylotu ulicy pojawiły się światła reflektorów. Natychmiast cofnęliśmy się w cień. Samochód minął nas i skręcił się o dwie przecznice dalej. Wyszliśmy z ukrycia.

- Kiki ma jakichś przyjaciół spoza zespołu? - spytał Morelli.

- Masę przelotnych znajomości. Żadnych przyjaciół. Kiedy przyszedłem do kapeli, miał kochankę.

- Czy zwróciłby się do niego o pomoc?
- Raczej nie. Nie rozstali się w przyjaźni.
- A zespół? Spotykacie się regularnie?
- Próba w piątek. W klubie gramy w niedzielę.

Równie dobrze mogliby grać w przyszłym stuleciu. A Kiki pewnie nie będzie głupi i się nie pokaże. I tak zachował się idiotycznie, atakując Morellego. Policjanci robią się drażliwi, kiedy ktoś wrzuca bombę do domu jednego z nich.

- Skontaktuj się z pozostałymi członkami zespołu - poinstruował Morelli Sally'ego. - Powiedz im, że zostajesz ze Stephanie i ze mną. I spytaj, czy widzieli Kikiego.

Spojrzałam mu prosto w oczy.

- Zadzwoń, jeśli się coś wydarzy?
- Jasne.
- Masz numer mojego pagera?
- Wypalony w pamięci.

Już to przerabialiśmy. Nie zadzwoni do mnie. Dopiero kiedy będzie po wszystkim.

Sally i ja przeszliśmy na drugą stronę ulicy, weszliśmy do domu Morellego, przemaszerowaliśmy na przestrzal i wyszliśmy tylnymi drzwiami. Przez chwilę stałam na podwórku i rozmyślałam na temat Morellego, który znowu zniknął w cieniu. Ulica wydawała się zupełnie pusta. Przeszedł mnie dreszcz. Skoro Morelli mógł tak zniknąć, to Kiki pewnie też.

Babcia Mazurowa chodzi raz na tydzień do salonu piękności na mycie i układanie włosów. Czasami Dolly proponuje jej płukanek i wtedy babcia ma włosy koloru anemicznej brzoskwini, ale przeważnie zadowala się zwykłą siwizną. Jej włosy są krótkie i ułożone w zdyscyplinowane fale, przez które prześwieca różowa i lśniąca skóra. Fale pozostają niewiarygodnie świeże aż do końca tygodnia, kiedy trochę się przyplaszczają i tracą fason.

Zawsze chciałam się dowiedzieć, jak babcia dokonuje tego cudu. I wreszcie moje marzenie się spełniło. Cała sztuka polegała na tym, żeby zrolować poduszka w wałek i podłożyć ją sobie pod

kark tak, by głowa nie dotykała materaca. Poza tym babcia spała jak umarła. Ramiona skrzyżowane na piersi, ciało sztywne jak deska, usta otwarte. Przez całą noc nie ruszała nawet palcem i chrapała jak pijany drwal.

O szóstej rano wygrzebałam się z łóżka, z zapuchniętymi oczami i nerwami zszarpanymi na strzępy po strasznych nocnych przeżyciach. Spałam w sumie może z pół godziny. Zabrałam pierwsze łachy, jakie mi wpadły pod rękę, i ubrałam się w łazience. Potem poczłapałam po schodach do kuchni, żeby sobie zrobić kawy.

Godzinę później na schodach rozległy się kroki mojej matki.

- Strasznie wyglądasz - powiedziała. - Dobrze się czujesz?
- Próbowałam kiedyś spać z babcią?
- Śpi jak zabita.
- Właśnie,

Na górze trzasnęły drzwi i babcia wrzasnęła do ojca, żeby wyszedł z łazienki.

- Jestem stara! - ryknęła. - Nie mogę tu czekać przez cały dzień. Co ty tam robisz?

Potem nastąpiło jeszcze trochę trzaśnieć i ojciec przyczłapał do kuchni, gdzie usiadł za stołem.

- Dziś rano jeżdżę na taksówce - oznajmił. - Jones pojechał do Atlantic City, a ja obiecałem wziąć za niego zmianę.

Dom rodziców ma czystą hipotekę, a ojciec dostaje przyzwoitą pensję na poczcie. Nie musi sobie dorabiać. Ale koniecznie musi mieć jakiś pretekst, żeby prysnąć z domu, od matki i babci.

Skrzypnęły schody i w chwilę później Sally stanął w drzwiach, wypełniając je sobą całkowicie. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, oczy miał zapuchnięte i na wpół przymknięte. Stał, bosy i zgarbiony, z małpimi, włochatymi ramionami wystającymi z rękawków zbyt małego, puchatego i różowego szlafrocza.

- Ja cię kręcę - odezwał się ochryple. - Ten dom to piekło. Która godzina ?

- On znowu ma na sobie babskie ubranie - zauważył mój ojciec ponuro.

- Znalazłem w szafie - odparł Sally. - Pewnie jakaś wróżka mi zostawiła.

Ojciec otworzył usta, matka rzuciła mu ostre spojrzenie i ojciec zamknął usta

- Co jecie? - spytał Sally.

- Płatki.

- Klawo,

- Chcesz trochę?

Sally przyczłapał do kawiarki,

- Napiję się kawy.

Do kuchni wpadła zaaferowana babcia Mazurowa.

- Co się dzieje? Coś przegapiłam?

Stała za mną. Poczułam jej oddech na potylicy.

- Co znowu?

- Przyglądam się tej nowej fryzurze. Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś takiego. Takie wielkie łyse placki z tyłu! Zamknęłam oczy. To cholerne jajko!

- Bardzo źle to wygląda? - spytałam matki. Jakbym nie wiedziała.

- Może powinnaś zajrzeć w wolnym czasie do salonu piękności.

- Myślałam, że to punkowa fryzura - odezwał się Sally. - Dobrze by było, gdyby to przefarbować na fioletowo. I usztywnić.

Po śniadaniu razem z Sallym wybraliśmy się do domu Morellego. Staaliśmy w wąskim zaułku za jego domem. Zadzwoiłam do Morellego z komórkowego telefonu.

- Jesteśmy na twoim podwórku - powiedziałam. - Nie chciałam wejść do domu i zginąć.

- Nic się nie bój.

Morelli stał przy zlewie i płukał kubek po kawie.

- Właśnie chciałem wyjść. Znaleźli samochód Kuntza, zaparkowany przy jednym sklepie.

- I...?

- I tyle.

- Krew? Dziury po kulach?

- Zero. Jak spod igły. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że nic nie zginęło. Żadnych zniszczeń. Żadnych śladów walki.

- Był zamknięty?

- Tak. Podejrzewam, że ktoś go tam zostawił wcześniej rano.

Gdyby zrobił to wcześniej, już by się do niego włamali.

- Czy wczoraj w nocy coś się tu działo?

- Nic. Pełen spokój. Co planujesz na dzisiaj?

Poprawiłam włosy.

- Strzyżenie.

Usta Morellego zadrgały.

- Chcesz zniszczyć moje dzieło?

- Nie obciąłeś mi więcej włosów, niż to było bezwzględnie konieczne, prawda?

- Prawda - potwierdził Morelli, szeroko uśmiechnięty.

Zwykle strzyże mnie pan Alexander z salonu w domu towarowym. Niestety, dziś nie miał dla mnie czasu, więc wybrałam salon piękności, do którego uczęszcza babcia. „Strzyżenie i trwała” - głosił tam szyld.

Wyszliśmy przez drzwi frontowe. Naprzeciwko domu Morellego stała furgonetka.

- Grossman - wyjaśnił Morelli.

- Jest tam motocykl?

- Nie. Ale jest radiostacja plus krzyżówki i stój galaretki.

Zerknęłam na porsche. Miał siedzenia wykładane skórą mięciuteńką jak bita śmietana. I fajnie bym w nim wyglądała.

- Zapomnij - sprowadził mnie na ziemię Morelli. - Jedź buickiem. Jeśli będziesz miała kłopoty, buick jest pancerny jak czółg.

- Jadę do salonu piękności - zaprotestowałam. - Jakie kłopoty?

- Kwiatuzku, kłopoty to twoja specjalność.

Sally stał pomiędzy porsche'em i buickiem.

- No to jak?

- Porsche - oznajmiłam. - Kategorycznie porsche.

Sally usiadł i zapiął pasy.

- Ten wozik ma zryw jak skórkojad - powiedział i ruszył tak, że wbiło mnie w tapicerkę.

- Powoli! - wrzasnęłam. - Tu mieszkają emeryci!

Sally zerknął na mnie zza okularów przeciwsłonecznych.

- Lubię szybkość. Szybkość mnie kręci. Chwyciłam się deski rozdzielczej.

- Stój! Stóóój!!!

- Zatrzymuje się w pół sekundy - oznajmił Sally i nadepnął na hamulec.

Prawie grzmotnęłam głową w przednią szybę.

Sally pogładził czule kierownicę.

- Ten wozik to cudowny wynalazek.

- Jesteś na prochach?

- Coś ty! Za wcześnie dla mnie. A co, wyglądam jak menel?

Skręcił w Hamilton i zatrzymał się przed salonem piękności.

Przyjrzał się mu ponad okularami.

- Retro.

Dolly przekształciła parter swojego domku w salon piękności. Jako dziecko przychodziłam tutaj na podcięcie grzywki i od tego czasu nic się nie zmieniło. Gdyby to była sobota albo środek dnia, pewnie nie można by wetknąć szpilki. Ponieważ poranek jeszcze się nie skończył, pod suszarkami siedziały tylko dwie kobiety. Myrna Olsen i Doris Zayle.

- Rany boskie! - odezwała się na mój widok Myrna, przekrzykując szum suszarki. - Właśnie się dowiedziałam, że wychodzisz za mąż za Josepha Morellego. Gratulacje!

- Zawsze wiedziałam, że się pobierzecie - dodała Doris, wychylając się spod swojego hełmu. - Jesteście dla siebie stworzeni.

- Hej, nic nie wiedziałem - zdziwił się Sally. - Kurna, ale czad!

Wszyscy spojrzeli na niego z otwartymi ustami. Mężczyźni nigdy nie przychodzili do salonu Dolly. A Sally wyjątkowo wyglądał tego dnia jak mężczyzna... pominąwszy błyszczek na ustach i długie błyszczące kolczyki z kryształu górskiego.

- To jest Sally - powiedziałam.

- Cześć, kobitki - przywitał się Sally, unosząc pięść w raperskim geście. - Chciałem sobie zrobić manikiur. Paznokcie mi się połamały.

Wszyscy trwali w oszołomionym milczeniu.

- Sally jest drąg queen - wyjaśniłam.

- No coś takiego! - wyjąkała Myrna.

Doris podeszła do niego.

- Ubierasz się w sukienki?

- Głównie w spódnice - oznajmił Sally. - Mam za długą talię,

żeby nosić sukienki. Niekorzystnie w nich wyglądam. Oczywiście mam parę sukni wieczorowych. To coś innego. Każdy wygląda pięknie w sukni wieczorowej.

- Takie życie to dopiero musi być piękne - westchnęła Myrna.

- No pewno, przynajmniej dopóki nie rzucają we mnie butelkami po piwie.

Dolly przyjrzała się moim włosom.

- Coś ty sobie zrobiła, na miłość boską? Kto ci tak powycinał włosy?

- Pobrudziłam się jajkiem, które stwardniało, więc musiałam się go pozbyć. Myrna i Doris przewróciły oczami i wróciły pod suszarki. Godzinę później Sally i ja wsiedliśmy do porsche'a. Sally miał wiśniowe paznokcie, a ja wyglądałam jak babcia Mazurowa. Spojrzałam na siebie w lusterku wstecznym i omal się nie rozplakałam. Moje naturalnie kręcone włosy zostały krótko obcięte i zwinięte w pierścionki tuż przy skórze.

- Niezła fryzura - mruknął Sally. - Jak psie kupki.

- Powinieneś mi powiedzieć, co ona robi!

- Nie widziałem. Suszyłem paznokcie. Maniur pierwsza klasa.

- Odwieź mnie do domu Joego. Wezmę pistolet i się zabiję.

- Coś ty, to trzeba tylko trochę potargać - rzucił lekceważąco Sally. - Pozwól, ja to naprawię. Jestem w tym dobry.

Kiedy skończył, jeszcze raz spojrzałam w lusterko. Wyglądałam jak kopia Sally'ego.

- Widzisz? - powiedział Sally pogodnie. - Wiem, jak to się robi. Ja też mam naturalnie kręcone włosy.

Spojrzałam jeszcze raz. Zawsze to lepsze niż psie kupki.

- Pojedźmy do północnej dzielnicy - zaproponowałam. - Sprawdzimy, co słychać u Eddiego Kuntza. Może siedzi spokojnie na ganku? Sally wdepnął pedał gazu, a omie znowu wbiło w fotel.

- Ale ma zryw, skórkojad - powiedział Sally z zadowoleniem.

- Jak długo masz ten samochód?

- Trzy tygodnie.

Mój wewnętrzny radar zaczął wydawać alarmowe piski.

- Masz prawo jazdy?

- Kiedyś miałem. Ojejuniu!

Lincoln stał przed połową domu należącą do Glicków. Oczywiście przed połową Kuntza było pusto.

- To mi się nie podoba - powiedziałam do Sally'ego.

- Może stary dobry Eddie Kuntz zmienił się w pokarm dla ryb. Wydawało mi się, że skoro znaleziono pusty samochód Eddiego, jego ciotka i wuj wreszcie poczują niepokój. Może złamią się do tego stopnia, że wpuszcza mnie do jego mieszkania.

Leo Glick otworzył drzwi, zanim zdążyłam zapukać.

- Widziałem, jak podjechaliście - rzucił na powitanie. - Co to za paskudny samochód? Wygląda jak wielkie srebrne jajo.

- To porsche - wyjaśnił Sally.

Leo przyjrzał mu się podejrzliwie.

- Po co te kolczyki?

- Miałem ochotę się dzisiaj odstawić - poinformował go Sally i poruszył głową, żeby Leo mógł ocenić pełny efekt. - Widzisz, jak się błyszczą w słońcu? Piękne, kurna, nie?

Leo wycofał się, jakby Sally wydał się mu niebezpieczny.

- Czego chcesz? - warknął do mnie.

- Czy Eddie się z państwem skontaktował?

- Nie. I powiem ci, że mam już dość tych wszystkich ludzi, co o niego pytają. Najpierw gliny, żeby powiedzieć nam o samochodzie. Wielkie rzeczy. Zostawił samochód. Potem jakaś lalunia. I teraz ty, razem z tą Miss Ameryki.

- Jaka lalunia? Pamięta pan jej imię?

- Joyce.

Świetnie. Tego mi było potrzeba. Znowu Joyce.

- Kto to?! - zawołała Betty z głębi domu. Wyrzała zza ramienia Leo. - A, to ty. Dlaczego ciągle nas nachodzisz? Dlaczego nie pilnujesz własnych spraw?

- Dziwi mnie, że nie martwią się państwo zniknięciem siostrzeńca. A jego rodzice? Ich też to nie obchodzi?

- Jego rodzice są w Michigan. Z wizytą. Mamy tam krewnych - mruknął Leo. - A nie martwimy się, bo Eddie jest lumpem. Znosimy go tylko dlatego, że należy do naszej rodziny. Tanio wynajmujemy mu mieszkanie, ale to nie znaczy, że będziemy go niańczyć.

- Czy mogłabym się rozejrzeć w jego mieszkaniu?

- Nie, nie mogłabyś. Nie chcę, żeby ktoś mi szperał po domu.
- Od kiedy była tu policja, telefon się urywa - dodała Betty. -
Wszyscy chcą wiedzieć, co się stało.
- Jeszcze trochę, a przyjedzie telewizja i znajdziemy się w
dzienniku, bo jej siostrzeniec jest lumpem.
- To także twój siostrzeniec.
- Ale z twojej strony, więc się nie liczy.
- Nie jest taki zły.
- To lump. Lump!

ROZDZIAŁ 14

Stanęliśmy przy porsche i popatrzyliśmy na Glicków. Machali rękami, dając nam znaki, żebyśmy odjechali.

- Całkiem jak program dla głuchoniemych - powiedział Sally.

- Kiedy ich poznałam, odniosłam wrażenie, że raczej lubią Kuntza. Przynajmniej Betty. Zapraszała mnie na ciasto. I była miła. Nawet macierzyńska.

- Może to oni przepędzili naszego Eddiego. Może nie płacił czynszu. Może mu nie smakowało ciasto Betty.

Nie wydawało mi się, żeby Glickowie wyrzucili Kuntza na bruk, ale musiałam przyznać, że zachowują się dziwnie. Gdybym miała opisać ich emocje, powiedziałabym, że są przestraszeni i wściekli. Zdecydowanie nie życzyli sobie, żebym się nimi interesowała. A to znaczyło, że albo mają coś do ukrycia, albo mnie nie lubią. Ponieważ nie mieściło mi się w głowie, że ktoś mógłby mnie nie lubić, uznałam, iż starsi państwo mają coś do ukrycia. A najbardziej oczywistą uprawą byłoby to, że wiedzą coś na temat Eddiego Kuntza. Tak jakby porywacz się z nimi skontaktował i przeraził ich na śmierć.

A może było w tym coś jeszcze. Może Kuntz wmieszał się w fałszowanie pieniędzy i zszedł do podziemia. Może wiadomość, którą przekazał mu barman, była ostrzeżeniem. A może Kuntz powiedział wujkowi Leo, że jest cały i zdrowy, więc Leo zachowuje milczenie i nie pozwala, żeby ktoś wdarł się do mieszkania siostrzeńca... albo jeszcze lepiej, może jego szafy pękają w szwach od fałszywych dwudziestodolarówek!

Betty ciągle machała rękami, zaczęła także bezgłośnie wypowiadać słowo „jedźcie”.

- A może teraz ja będę prowadzić? - zaproponowałam nieśmiało. - Zawsze chciałam usiąść za kierownicą porsche.

I zawsze chciałam dożyć starości.

Mój pager zapiszczał; spojrzałam na numer. Z niczym mi się nie kojarzył. Wyciągnęłam telefon komórkowy i zadzwoniłam.

Głos, który usłyszałam, był zdławiony z emocji.

- Jezu, ale szybko!

Zerknęłam na telefon, jakbym mogła zobaczyć rozmówcę.

- Kto mówi?

- Bernie! No wiesz, chłopak z działu warzywnego. Mam dla ciebie dobre wieści. Właśnie przyszła Francine Nowicki. Chciała mój towar specjalny, kumasz?

Ha!

- Jest ciągle u ciebie?

- Tak. Byłem bardzo sprytny. Powiedziałem, że nie mogę jej niczego sprzedać, dopóki nie będę miał przerwy, i zaraz zadzwoniłem do ciebie. Twoja koleżanka powiedziała, że będzie mi wdzięczna.

- Już jadę. Dopilnuj, żeby pani Nowicki nie odjechała, zanim się pojawię.

- Twoja koleżanka jest z tobą, prawda?

Rozłączyłam się i wskoczyłam do samochodu.

- Właśnie nastąpił przełom w dochodzeniu! - rzuciłam, zapinając pasy i wsadzając kluczyk w stacyjkę. - Mamuśka Nowicki kupuje owoce.

- Klawo - ucieszył się Sally. - Owoce są w porządku. Nie chciałam mu mówić, jakiego rodzaju są te owoce, bo miałam obawy, że wykupiłby wszystko i nie zostawiłby ani grama dla matki Maxine. Wcisnęłam gaz do dechy.

- Oho! Wchodzimy w nadprzestrzeń - powiedział Sally. - W porządku. Po dziesięciu minutach - z dokładnością do paru sekund - zatrzymałam się na parkingu supermarketu. Napisałam do Berniego liścik, w którym prosiłam go, by dał Francine Nowicki tyle „owoców”, żeby starczyło tylko na jeden dzień i żeby kazał jej przyjść jutro po resztę. Na wypadek gdybym ją dzisiaj zgubiła. Pod pisałam: „Buziaczki, twoja nowa przyjaciółka Stephanie” i zaznaczyłam, że Lula także przesyła masę pocałunków.

- W dziale warzywno-owocowym jest taki mały facecik, który wygląda całkiem jak R2D2 - poinformowałam Sally'ego. - Daj mu tę kartkę i wyjdź. Jeśli zobaczysz matkę Maxine, nie zbliżaj się do niej. Tylko daj kartkę Berniemu i przyjdź do mnie, żebyśmy mogli za nią pojechać, kiedy wyjdzie.

Sally przemierzył parking kilkoma wielkimi krokami. Przy każdym ruchu jego kolczyki siały tęcze blaski, a rozkudłane włosy podskakiwały jak sprężynki. Wszedł przez szklane drzwi,

skręcił w stronę warzyw i owoców, po czym znowu się wyłonił ze sklepu.

- Była tam - rzucił, wciskając się do zbyt małego dla niego porsche'a. Widziałem, stała przy jabłkach. Nie można jej nie zauważyć, z tym grubym opatrunkiem na głowie. Narzuciła szal, ale i tak widać, że ma pod spodem bandaż.

Wybrałam miejsce trochę na uboczu, blisko furgonetki, która nas zasłaniała. W milczeniu zaczęliśmy wpatrywać się w drzwi.

- Jest! - wrzasnął Sally dyszkantem. - Wychodzi!

Pochyliliśmy się, żeby nas nie zauważyła, ale to okazało się zbędnym środkiem ostrożności. Pani Nowicki zaparkowała tuż przy sklepie. I nie dbała o ostrożność. Normalny dzień z życia gospodyni domowej.

Wsiadła do starego, zniszczonego forda escorta. Jeśli spała na fałszywych pieniądzech, z pewnością nie marnowała ich na środki transportu. Oczekałam sporą chwilę i pojechałam jej śladem. Po paru minutach nawiedziło mnie przykre przecucie. Po następnych paru miałam już pewność. Pani Nowicki jechała do własnego domu. Maxine nie była Albertem Einsteinem, ale nie zgłupiała do tego stopnia, żeby ukrywać się w domu matki.

Pani Nowicki zaparkowała przed domem i poczłapała do środka. Gdybym miała podstawy przypuszczać, że w tym domu znajduje się Maxine, jako łowca nagród miałam prawo wpaść do środka z wyciągniętą bronią. Nie zamierzałam tego zrobić. Po pierwsze, nie miałam przy sobie broni. A po drugie, czułabym się jak idiotka.

- Ale nie zawadzi z nią porozmawiać - odezwałam się głośno.

Zapukaliśmy i po chwili w polu naszego widzenia pojawiła się pani Nowicki.

- Co też ten kot znowu naniósł na schodki - powiedziała na powitanie.

- Jak się pani czuje? - spytałam w celu nawiązania stosunków przyjacielskich. Miałam nadzieję, że to zdezorientuje tę zapijaczoną, naćpaną kobiecinę całkiem ją rozkrochmali.

Kobiecina zaciągnęła się papierosem.

- Czuję się bosko. Jak się czuje twój samochód?

Tyle na temat przyjacielskich stosunków.

- Towarzystwo ubezpieczeniowe mnie pożałowało i dało mi porsche na pocieszenie.

- Akurat. Porsche należy do zbrodźcy.

- Czy ostatnio widziała pani Maxine?

- Nie, od czasu kiedy zniknęła.

- Szybko pani wróciła z wybrzeża.

- Znudził mi się ten piasek. Bo co?

Wyminęłam ją i weszłam do salonu.

- Czy mogę się rozejrzeć?

- Masz nakaz rewizji?

- Nie muszę go mieć.

Matka Maxine nie spuszczała mnie z oka.

- To najście.

Dom był bardzo mały, parterowy. Z łatwością stwierdziłam, że Maxine w nim nie ma.

- Widzę, że się pani pakuje.

- Tak, wyrzucam wszystkie łachy od Diora. Postanowiłam, że będę się ubierać tylko u Versace.

- Jeśli zobaczy pani Maxine...

- Tak, wiem. Zaraz do ciebie zadzwonię.

Na stoliku przy drzwiach leżała trzydziestkaósemka.

- Potrzebuje pani tego?

Pani Nowicki rozgniotła papierosa w popielniczkę obok broni.

- Ostrożności nigdy dosyć.

Kiedy wróciliśmy do samochodu, mój pager zapiszczał i wyświetlił numer telefonu rodziców.

W słuchawce rozległ się głos babci.

- Chciałyśmy się dowiedzieć, czy wrócisz na kolację.

- Pewnie tak.

- A Sally?

- On też.

- Widziałam, że włożył brylantowe kolczyki. Mam się przebrać w coś eleganckiego?

- Niekoniecznie.

Pojechaliśmy do supermarketu. Musiałam jeszcze uzgodnić z Berniem jeden szczegół.

W przyjemnie chłodnym, klimatyzowanym wnętrzu zastaliśmy

Berniego przy obrywaniu starych liści z główek sałaty. Na nasz widok zrobił wielkie oczy i zaczął podskakiwać w miejscu.

- O rany! - powtarzał. - Wróciłeś! Jasna cholera! - Wpatrywał się w Sally'ego takim wzrokiem, jakby doznał objawienia. - Tak mi się wydawało, że to ty, ale nie byłem pewien. A teraz cię znowu zobaczyłem i już wiem! Jesteś Sally Sweet! O mamusiu, ja cię uwielbiam! Uwielbiam! Byłem na wszystkich koncertach. Wspaniale! Jesteście wielcy. I ta Kiki. Jest najlepsza. Chyba się w niej zakochałem. To najpiękniejsza kobieta, jaką widziałem.

- Kiki to chłopak - powiedziałam.

- Nie zalewaj!

- Hej, znam się na tych rzeczach.

- Ano tak. Zapomniałem. Wyglądasz tak normalnie.

- Czy Francine Nowicki zapłaciła ci kolejną dwudziestką?

- Aha. Tutaj ją mam. - Wyjął ją z kieszeni koszuli. - I zrobiłem tak, jak mi kazałaś. Dałem jej tylko parę kawałków owoców. Szkoda, bo mogłem zbić fortunę. Miała przy sobie masę kasy. Cały zwitek dwudziestek, taki wielki, że koń by się nim udławił.

Odebrałam mu dwudziestkę i przyjrzałam się jej. Miała kreskę w rogu. Bernie zaglądał mi przez ramię. Do tego celu musiał się wspiąć na palce.

- O co chodzi z tymi dwudziestkami? Są znaczone czy jak?

- Nie. Tylko sprawdzam, czy jest prawdziwa.

- I co? Jest?

- Aha. - Prawdziwa fałszywka. - Musimy się już zbierać. Dzięki, że zadzwoniłeś.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Znowu wbił rozkochane spojrzenie w Sally'ego. - Co za szczęście, że mogłem z tobą porozmawiać. A mógłbyś mi dać autograf?

Sally wyjął z kieszeni Berniego czarny flamaster i napisał mu na łysinie „Gorące pozdrowienia od Sally'ego Sweeta”.

- Masz, bracie - powiedział.

- O rety! - pisał Bernie, nieprzytomny ze szczęścia. - O rety! Ale fajnie

- Często tak robisz? - spytałam.

- Tak, ale nieczęsto mam tyle wolnego miejsca do pisania. Przy okazji wstąpiłam jeszcze do działu cukierniczego, żeby

skombinować sobie coś na obiad. Zastanawiałam się, czy Morelli ciągle obserwuje delikatesy, Mogłam mu oszczędzić kłopotu. Byłam całkowicie pewna, że tylko matka Malinę rozprowadza fałszywe dwudziestki. Ten sklep znajdował się w jej dzielnicy. I nie wyglądała mi na osobę, która się zawaha przed puszczeniem w obieg fałszywki. Dobrą stroną poinformowania Morellego byłoby to, że zacząłby obserwować panią Nowicki i miałabym ją z głowy. Zła strona to ta, że pewnie by mi nie powiedział, gdyby wydarzyło się coś nowego.

Zdecydowaliśmy się na wielkie pudło fig i parę napojów. Zjedliśmy je w samochodzie.

- Więc nawijaj, o co chodzi z tym ślubem - powiedział Sally. - Wydawało mi się, że Morelli tylko cię dmucha.

- Nie będzie żadnego ślubu. A on mnie nie dmucha!

- Akurat.

- No dobrze, może kiedyś dmuchał. Przez bardzo krótki czas. Poza tym to nic było dmuchanie. To głupio brzmi. Jak coś z huty szkła. My tylko uprawialiśmy seks.

- To też pięknie.

Skinęłam głową i wsadziłam sobie do ust kolejną figę.

- Ale zdaje się, że coś do niego czujesz, nie?

- Nie wiem. Coś czuję. Tylko nie wiem co.

Przez jakiś czas żuliśmy figi w milczeniu.

- Wiesz, czego nie rozumiem? - odezwał się Sally. - Nie rozumiem, dlaczego pięć dni temu wszyscy tak się wysilali, żeby nas zmylić, a teraz stara Nowicki znowu mieszka w swoim domu. Weszliśmy do niej, a jej to nie obeszło.

Miał rację. Najwyraźniej coś się zmieniło. I bałam się, że Maxine mi przysnęła. Jeśli naprawdę odjechała w nieznane, żeby zacząć nowe życie, pani Nowicki mogła sobie pozwolić na więcej. Podobnie jak Margie. Nie wstąpiłam do niej, ale miałam przeczucie, że także ona pakuje rzeczy i tłumaczy kotkowi, dlaczego mamusia musi wyjechać na bardzo, bardzo długo. Pewnie za opiekę nad nim zapłaciła sąsiadce fałszywymi dwudziestkami.

Ale oczywiście jeszcze nie mogła wyjechać. Czekala ją wizyta u lekarza. Podobnie jak Francine. I dobrze, bo musiałam rozpocząć

obserwację. Nic mogłam się równać z FBI. Nie miałam takich fajnych gadżetów jak oni. Nie miałam nawet samochodu. Srebrny porsche, buick z pięćdziesiątego trzeciego i czerwony firebird nie całkiem nadają się do potajemnej obserwacji. Musiałam znaleźć jakiś niepozorny samochód, żeby od jutra zasiąść w nim przed domem pani Nowicki.

- Nie! - zapowiedział Morelli kategorycznie. - Nie pożyczę ci furgonetki. Jesteś zarażana samochody.

- Wcale nie!

- Kiedy ostatnio korzystałaś z mojego samochodu, wysadziłaś go w powietrze! Pamiętasz?

- No, skoro zamierzasz mi to wypominać...

- A twoja furgonetka? A honda? Wysadzone w powietrze!

- Z technicznego punktu widzenia honda się zapaliła.

Morelli zamknął oczy i wałnął się pięścią w czoło.

Było parę minut po czwartej. Sally oglądał telewizję w salonie, a ja siedziałam z Morellim w kuchni. Morelli właśnie przyszedł do domu i miał taką minę, jakby znowu mu się nie wiodło w pracy. Pewnie powinnam poczekać, aż się trochę rozpogodzi, i dopiero wtedy prosić o pożyczanie furgonetki, ale za godzinę musiałam się zjawić na kolacji u matki. Może powinnam wypróbować inną metodę. Powiodłam czubkami palców po jego przepoconym podkoszulku i przysunęłam się bardzo, bardzo blisko.

- Aleś ty... rozpalony.

- Kochanie, jestem tak rozpalony, jak to tylko możliwe.

- Może będę mogła coś na to poradzić?

Zmierzył mnie spojrzeniem zmrużonych oczu.

- Powiedzmy to sobie wprost. Proponujesz mi seks w zamian za furgonetkę?

- No, niezupełnie.

- Więc co proponujesz?

Tego nie byłam pewna. Zamierzałam utrzymać to wydarzenie w lekkim tonie, ale Morelli nie miał nastroju do żartów.

- Muszę się napić piwa - mruknął. - Miałem paskudny dzień, który się jeszcze nie skończył. Za godzinę muszę zastąpić Grossmana.

- Coś nowego w sprawie samochodu Kuntza?

- Nic.

- Coś nowego w delikatesach?

- Nic. - Sięgnął po piwo. - Co u ciebie?

- Nic. Nuda.

- Kogo chcesz obserwować?

- Panią Nowicki. Znowu wróciła do domu. Odwiedziłam ją i zobaczyłam, że się pakuje.

- To nie znaczy, że zaprowadzi cię do Maxine.

Wzruszyłam ramionami.

- Mam tylko to.

- Nieprawda. Coś ukrywasz.

Uniosłam brew.

Morelli wrzucił pustą butelkę do kosza na odpady szklane.

- Lepiej, żeby to nie miało nic wspólnego z fałszerstwem pieniędzy, którym się zajmuję. Nie chciałbym się dowiedzieć, że ukrywasz dowody.

- Kto, ja?

Morelli przystąpił do mnie i przycisnął mnie do stołu.

- Więc jak bardzo ci zależy na mojej furgonetce?

- Bardzo.

Jego spojrzenie opadło na moje usta.

- Jak bardzo?

- Nie aż tak.

Westchnął z dezaprobatą i wypuścił mnie.

- Kobiety!

Sally oglądał MTV, śpiewał razem z zespołami i machał do taktu głową.

- Rany - rzucił Morelli, zaglądając do salonu. - Cud, że jeszcze mu się coś nie oberwało.

- Nie mogę ci pożyczyć samochodu - powiedział ojciec. - Jutro muszę go oddać do przeglądu. Umówiłem się w warsztacie. Poza tym dlaczego nie chcesz jechać buickiem?

- Bo nie jest dobry do śledzenia ludzi - wyjaśniłam ponuro. - Wszyscy się na niego gapią.

Siedzieliśmy przy stole. Mama podała gołąbki. Płask, i na moim talerzu znalazły się cztery. Rozpięłam jeden guzik w szortach i sięgnęłam po widelec.

- Muszę kupić sobie samochód - oznajmiłam. - Gdzie są pieniądze z ubezpieczenia?

- Musisz mieć stałą pracę - wtrąciła matka. - Taką, która przynosi dochody. Nie robisz się coraz młodsza, wiesz? Jak długo będziesz ganiać za łobuzami po całym Trenton? Jeśli będziesz mieć stałą pracę, kupisz sobie samochód.

- Moja praca przynosi stałe dochody. Przeważnie. Tylko teraz utknęłam.

- Ledwie wiążesz koniec z końcem.

Co mogłam powiedzieć. Miała rację.

- Mogę ci załatwić pracę przy dowożeniu dzieciaków do szkoły - odezwał się ojciec, atakując gołąbki. - Znam faceta, który się tym zajmuje. Za prowadzenie szkolnego autobusu dostaje się dobre pieniądze.

- Widziałam w telewizji wywiad z kierowcami autobusów - wtrąciła babcia. - dwaj mieli krwawiące hemoroidy, bo siedzenia były do chrzanu.

Znowu poczułam tik w oku. Przycisnęłam powiekę palcem, żeby przestała mi drgać.

- Co ci się stało? - chciała wiedzieć matka. - Znowu ten tik?

- A, byłabym zapomniała - powiedziała babcia. - Była tu jedna twoja koleżanka. Powiedziałam, że jesteś w pracy, więc zostawiła ci kartkę.

- Mary Lou?

- Nie, nie Mary Lou. Nie znam jej. Bardzo ładna. Pewnie pracuje w dziale kosmetyków, bo miała bardzo grubą makijaż.

- Joyce!

- Nie. Mówię ci, że jej nie znam. Kartka leży w kuchni. Zostawiłam ją przy telefonie.

Poszłam po wiadomość. Była w małej, zaklejonej kopercie, na której widniało słowo „Stephanie” napisane ładnym, wyraźnym pismem. Wyglądała jak zaproszenie na przyjęcie. Otworzyłam kopertę i przytrzymałam się stołu, żeby nie upaść. Wiadomość była krótka: „Zginiesz, suko”. A mniejszymi literami zostało dopisane, że to się wydarzy, kiedy będę się najmniej spodziewać.

Najbardziej przstraszyło mnie to, że Kiki wszedł bez przeszkód do domu rodziców i wręczył list babci.

Wróciłam do stołu i pożarłam trzy gołąbki. Nie miałam pojęcia, co mam dalej zrobić. Musiałam ostrzec rodzinę, ale nie chciałam ich przestraszyć na śmierć.

- No? - spytała babcia. - Co tam było? Wyglądało jak zaproszenie.

- To kobieta, którą znam z pracy - powiedziałam ostrożnie. - Prawdę mówiąc, nie jest zbyt miła, więc jeśli znowu przyjdzie, nie wpuszczajcie jej do domu. Nawet nie otwierajcie drzwi.

- O Jezuniu! - jęknęła matka. - Kolejna wariatka. Powiedz, że nie chce cię zastrzelić.

- No cóż...

Matka zrobiła znak krzyża.

- Święta Mario, Matko Boża...

- Przestań, nie zaczynaj znowu - mruknęłam. - Nie jest aż tak źle.

- Więc co mam zrobić, jak znowu przyjdzie? - spytała babcia z ożywieniem. - Rozwalić jej łeb?

- Nie! Tylko nie zapraszaj jej na herbatkę!

Ojciec nałożył sobie drugą porcję gołąbków.

- Następnym razem daj mniej ryżu - powiedział.

- Frank, czy ty nas w ogóle słuchasz? - zapytała matka tonem pełnym rozpaczy.

Ojciec podniósł głowę znad talerza.

- Co?

Matka palnęła się w czoło.

Sally zasuwał gołąbki, jakby to był ostatni posiłek w jego życiu. Zrobił chwilę przerwy, spojrzał na mnie. Prawie widziałam, jak zaczynają mu się poruszać kółeczka w mózgu. Ładna dziewczyna. Gruby makijaż. Wiadomość. Niemiła osoba.

- Oho - mruknął pod nosem.

- Zaraz muszę się zbierać - powiadomiłam matkę. - W nocy będę pracować.

- Na deser są ciastka z czekoladą.

Położyłam serwetkę na stole.

- Zabiorę je ze sobą.

Matka zerwała się na równe nogi.

- Ja je zapakuję!

W Miasteczku mamy ścisły podział ról. Matki przygotowują torby z jedzeniem. Koniec, kropka. Nie ma wyjątków. W całym kraju ludzie stają na głowie, żeby się wykręcić od roboty. W Miasteczku gospodynie domowe dzielnie strzegą swoich praw. Nawet te, które pracują zawodowo, za żadne skarby nie zrezygnują z prawa do przygotowania obiadu albo pakowania resztek. Inni członkowie rodziny mogą od czasu do czasu dostąpić przywileju wycierania podłogi w kuchni, robienia prania, polerowania mebli. Ale nikt nie może nawet marzyć o pełnym zakresie funkcji gospodyni domowej.

Wzięłam torbę z ciastkami i oderwałam Sally'ego od gołąbków. Było jeszcze wcześniej i nie musieliśmy się spieszyć, ale chciałam uciec przed zbliżającym się krzyżowym ogniem pytań. Nie istnieje dobry sposób zakomunikowania mojej matce, że ściga mnie ogarnięta żądzą mordu drag queen.

Matka i babcia stanęły w drzwiach, przyglądając mi się. Wyprostowane, ręce splecione na piersiach. Prawdziwe Węgierki. Matka zastanawiała się pewnie, gdzie popełniła błąd, w wyniku którego jej córka prowadzi się z mężczyzną noszącym kolczyki z górskiego kwarcu. Babcia z pewnością żałowała, że nie może jechać z nami.

- Mam klucz! - zawołałam. - Więc lepiej zamknijcie drzwi.

- Tak - dodał Sally. - nie stawajcie przed otwartymi oknami.

Matka znowu się przeżegnała. Przekreśliłam kluczyk w stacyjce.

- To trzeba skończyć - powiedziałam do Sally'ego. - Zaczynam mieć tego dosyć. Ciągłe się boję, że Kiki skądś wyskoczy i podpali mi włosy.

- Gadałem z chłopakami z kapeli, ale żaden go nie widział.

Wjechałam w Chambers. Muszę wyznać, że użeranie się z Kikim już mi nosem wychodziło i chętnie bym się zrzekła tej rozrywki.

- Opowiedz mi o nim - zarządziłam. - To, co zeznałeś na policji.

- Mieszkamy razem od pół roku, ale nie wiem o nim zbyt wiele. Ma rodzinę w Ohio. Nie mogli mu wybaczyć, że jest gejem, więc wyjechał. W kapeli jestem od roku, ale na początku głównie trzymałem z kumplami z Wściekłych Psów. Pół roku temu Kiki cholernie się pokłócił z Johnem, swoim chłopakiem. John się

wyniósł, a ja się wprowadziłem. Ale nie byłem taki jak John. Chciałem tam tylko mieszkać.

- Kiki tak nie uważał.

- Chyba nie. Kurde, ale obsuwa. Byliśmy bardzo zgrani. Kiki lubi sprzątać, Skubaniec. Na okrągło. A ja, wiesz, ja się do tego nie mieszam, więc było naprawdę fajnie. Nie braliśmy się za łby o to, kto będzie odkurzał. A poza tym Kiki zna się na tych kobiecych sztuczkach. Wie wszystko o podkładach, różach i najlepszych lakierach do włosów. Szkoda, że mnie nie znałaś, zanim z nim zamieszkałem. Wyglądałem jak barbarzyńca. No wiesz, parę razy mieszkałem z jakimiś dziewczynami, ale nigdy nie zwróciłem uwagi, jak malują oczy. Te uprawy są skomplikowane. A Kiki się na nich dobrze znał. Nawet pomagał mi kupować ciuchy. Tylko to robiliśmy razem. Kiki ma zajoba na punkcie zakupów. Czasami przynosił do domu ubrania dla mnie. Nawet nie musiałem z nim chodzić do sklepu.

Wreszcie zrozumiałam, skąd wzięły się te wycięte szorty.

- Rozmawiał z babcią jako kobieta - powiedziałam. - Do tego, żeby się tak ucharakteryzować, potrzeba sprzętu. Nie sądzę, żeby zdążył coś wynieść z mieszkania. Więc albo ma drugie, albo kupił nowe.

- Pewnie kupił nowe. Kiki zarabia masę forsy. Pięć razy więcej ode mnie,

- Szkoda, że spalił mieszkanie. Moglibyśmy tam coś znaleźć.

- A jego pamiętnik jest na policji.

Rozsądek podpowiadał mi, że powinnam to zostawić Joemu, ale rachunek zysków nie wyszedł na moją korzyść. Policja już miała powody, żeby szukać Kikiego. Pewnie przykładają się do tego ze wszystkich sił. A my potrzebowaliśmy wsparcia z innej strony. Potrzebowaliśmy Rangera.

Zadzwoiłam na jego numer prywatny, na pager i wreszcie złapałam go w samochodzie.

- Pomocy - powiedziałam.

- Bez kitu.

Wprowadziłam go w sprawę.

- Bomba.

- Tak, bomba. I co ja mam teraz zrobić?

- Zepsuć mu samopoczucie. Wtargnąć na jego teren i zrobić coś, co go doprowadzi do szału.

- Innymi słowy, wystawić się na cel.

- Chyba że wiesz, gdzie mieszka. Jeśli tak, to pojedziemy i go zdejmujemy, Ale podejrzewam, że nie wiesz.

Spojrzałam w lusterko wsteczne i zobaczyłam czarne BMW Rangera.

- Jak mnie znalazłeś?

- Byłem w okolicy. Zobaczyłem, że skręcasz w Chambers. Czy ten gość ma kolczyki?

- Tak.

- Ładne.

- Dobrze, pojedziemy do ulubionych lokali Kikiego. Może go sprowokujemy.

- Idę za tobą jak wiatr, mała.

Ciekawe, co to znaczy.

- Znam wszystkie - pochwalił się Sally, zatrzymując samochód przy restauracji. - To nasz pierwszy przystanek.

Spojrzałam na szyld nad wejściem. „Piekło Dantego”. O matko.

- Nie przejmuj się nazwą - powiedział Sally. - To zwyczajna restauracja. Podają pikantne potrawy. Kiki lubi jeść ostro.

Restauracja mieściła się w jednej dużej sali. Ściany zdobiły freski przedstawiające sceny rodzajowe z życia satyrów i minotaurów, dokazujących w piekle i innych gorących miejscach. Kikiego nie było.

Dwaj mężczyźni pomachali do Sally'ego, który także do nich pomachał.

- Cześć, chłopaki - powiedział i podszedł do ich stolika. - Szukam Kikiego. Był tu dzisiaj?

- Nie widzieliśmy go od tygodnia - powiedzieli.

Po Dantem zrobiliśmy obchód po rozmaitych barach i knajpach, ale szczęście nam nie dopisało.

- Wiem, że szukamy Kikiego - odezwał się wreszcie Sally - ale prawda jest taka, że narobię w gacie, jak go zobaczę. To świrus. Mógłby mnie podpalić tą zapalniczką.

Usiłowałam o tym nie myśleć. Powtarzałam sobie, że Ranger

jest w pobliżu... prawdopodobnie. I starałam się zachowywać ostrożność, zawsze czujna, zawsze gotowa. Skoro Kiki uparł się zrobić ze mnie siekany kotlet, dam mu szansę. I tak pewnie by mu się udało. Nie sposób uniknąć kuli, jeśli ściga cię ktoś, kto nie ma nic do stracenia.

Słońce zaszło i zrobiło się ciemno, co nie wpłynęło pozytywnie na stan moich nerwów. Za dużo cieni. Wszędzie, gdzie zaglądaliśmy, Sally spotykał kogoś znajomego. Nikt nie przyznał, że widział Kikiego, co nie musiało być prawdą.

Środowisko gejów chroni swoich, a Kiki cieszył się ogólną sympatią. Miałam nadzieję, że ktoś go o nas powiadomi.

- Zostały nam jeszcze jakieś lokale? - spytałam.

- Parę klubów. W ostateczności możemy zajrzeć do „Sali Balowej”.

- Czy Kiki mógłby wyjść na miasto jako kobieta?

- Trudno powiedzieć. Zależy od nastroju. Jako kobieta czuje się bezpieczniej. Tak jak ja. Nakładam makijaż i od razu robię się boski. Wiesz: uwaga, nadchodzę!

Owszem, z tym się mogłam zgodzić. Także w moim przypadku intensywność makijażu zwiększa się proporcjonalnie do stopnia niepewności. Na przykład w tej chwili miałam straszną ochotę pomalować powieki turkusowym cieniem.

Wpadliśmy jeszcze do „Negliżu”, „Mamy Gouches” i „Kędziorka”. Wreszcie zostało nam tylko jedno miejsce. „Sala Balowa Liberty”. Bardzo stosowna nazwa. Przejechałam przez State Complex, który zawsze w nocy jest dziwnie opustoszały. Hektary wolnych parkingów, niesamowite światło halogenowych latarni. Puste budynki z czarnymi szklanymi taflami okien, wyglądające jak gwiazdy śmierci.

„Sala Balowa” znajduje się w sąsiedniej dzielnicy, tuż przy domu spokojnej starości, ogólnie znanym jako Magazyn.

Przez cały wieczór Sally informował wszystkich, że na koniec zatrzymamy się w „Sali Balowej”. Teraz, kiedy ta chwila nadeszła, czułam, że przechodzą mnie ciarki, a włosy stają mi dęba. Kiki groził mi śmiercią, jasno i bez ogródek. Wiedziałam, że go tam spotkamy. Wiedziałam, że na nas czeka. Zaparkowałam i rozejrzałam się w poszukiwaniu Rangera. Ani śladu. To dlatego że

idzie za mną jak wiatr, powiedziałam sobie. Wiatru się nie widzi. A może wiatr poleciał do domu i teraz już ogląda wtorkową walkę bokserską.

Sally wylaamywał sobie palce. On też to czuł. Spojrzeliśmy na siebie i skrzywiliśmy się jak na komendę.

- No to do dzieła - powiedziałam.

ROZDZIAŁ 15

Stanęliśmy w drzwiach i rozejrzeliśmy się po lokalu. Z przodu bar i stoliki. W głębi parkiet do tańczenia. Bardzo ciemno. Bardzo ciasno. Bardzo hałaśliwie. Wydawało mi się, że „Sala” jest knajpą dla gejów, ale najwyraźniej nie wszyscy goście nimi byli.

- Co tu robią ci wszyscy nie geje? - spytałam.

- To turyści. Właściciel knajpy był bliski plajty. Bar miał być dla gejów, ale w Trenton nie ma ich aż tylu, żeby zrobić na tym pieniądze. Więc Wally wpadł na wspaniały pomysł. Wynajął paru facetów, żeby ze sobą tańczyli i robili do siebie słodkie oczy. Chciał, żeby knajpa naprawdę wyglądała na gejowską. Poszła fama i „Sala” zaczęła się robić popularna. Każdy przychodził, żeby popatrzeć na homo i być poprawny politycznie. - Sally uśmiechnęła się dumnie. Teraz to modne.

- Tak jak ty.

- Taaa. Jestem modny, kurna.

Pomachał do kogoś.

- Widzisz tego klienta w czerwonej koszuli? To Wally, właściciel. Geniusz. Kolejny jego wynalazek to pierwszy drink gratis dla jednodniówek.

- Dla kogo?

- Takich, co chcą poudawać gejów przez chwilę. Powiedzmy, że jesteś facetem i myślisz sobie, że fajnie by było ubrać się w ciuchy żony i pójść do baru. I to jest właśnie ten bar! Dostajesz drinka gratis. A w dodatku jesteś modny, więc wszystko gra. Możesz nawet przyprowadzić żonę, która uderzy do jakiejś kobitki.

Kobieta obok mnie miała na sobie kamizelkę z czarnej skóry i obcisłe spodenki. Miała także drogą trwałą, po której jej rude włosy układały się w idealne fale na całej głowie, a usta pomalowała brązową szminką.

- Cześć! - powiedziała do mnie, rozpromieniona. - Zatańczymy?

- Dziękuję, ale nie. Jestem turystką,

- Ja też! Ale tu cudnie, no nie? Przyszłam z mężem. Gene chce, żebym zatańczyła przytulankę z kobietą!

Pojawił się Gene, bardzo elegancki w dockersach i sportowej koszulce z koniem wyhaftowanym na kieszonce. Trzymał w ręku szklankę.

- Cola z rumem - rzucił, opierając się na żonie. - Postawić ci?

Pokręciłam głową.

- W torbie mam pistolet - wycodziłam. - Duży.

Gene zabrał żonę i razem zniknęli w tłumie.

Sally dzięki wzrostowi miał nade mną przewagę. Rozglądał się na wszystkie strony ponad głowami ludzi.

- Widzisz go? - spytałam.

- Nie.

Nie czułam się dobrze, uwięziona w tym tłumie. Za ciasno, za ciemno. Ludzie mnie otaczali. Kiki z łatwością mógłby mnie kropnąć... jak Jack Ruby Lee Haryeya Oswalda. To właśnie może mi się przydarzyć. Jeden strzał w brzuch i przejdę do historii.

Sally położył rękę na moich plecach, żeby mnie popchnąć do przodu. Podskoczyłam nerwowo.

- Co? Co?! - wrzasnął Sally, rozglądając się na wszystkie strony.

Przycisnęłam dłoń do serca.

- Mogę być odrobineczkę nerwowa.

- Kurna, ledwie żyję - wyznał Sally. - Muszę się napić.

Pomysł był dobry, więc poszłam za nim do baru. Za każdym razem, kiedy mijaliśmy grupę ludzi, wszyscy odwracali się w naszą stronę i słyszeliśmy: „Rany, to Sally Sweet! Jestem twoim fanem!” A Sally odpowiadał: „Kurna, człowieku, to zajebiście”.

- Czego się napijesz? - spytał Sally.

- Piwa. Z butelki. - Doszłam do wniosku, że w razie czego mogę rozwalić Kikiemu łeb butelką. - Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś taki sławny. Wszyscy cię znają!

- Aha. Pewnie połowa ludzi w tej sali wsadziła mi kiedyś pięć dolców za pas od pończoch. Jestem lokalną sławą.

- Kiki tu jest - powiedział barman, podając Sally'emu piwo. - Prosił, żebyś ci to oddał.

Liścik znajdował się w takiej samej schludnej kopertce jak ta, którą Kiki wręczył babci Mazurowej. Sally otworzył ją i odczytał wiadomość.

- „Zdrajca”.

- I tyle?

- Aha. „Zdrajca”. - Sally pokręcił głową. - Ale go pogięło! Jest pieprznący jak królik Bugs. Tylko że Bugs jest śmieszny, a on nie.

Gołętał sobie piwa i zmusiła się do spokoju. No tak, Kiki troszeczkę odjechał. Mogło, być gorzej. Przypuśćmy, że ściagałby mnie ten facet, co odcina palce. To by było o wiele gorsze. Ten facet już popełnił morderstwo. Nie wiedzieliśmy, czy Kiki jest zabójcą. Podpalenie to jeszcze nie mord. Prawda? Nie ma się co martwić przed czasem.

Ranger niespodziewanie stanął obok mnie.

- Hej - powiedział.

- Hej.

- Jest tutaj?

- Najwyraźniej. Jeszcze go nie zauważyliśmy.

- Jesteś uzbrojona?

- W butelkę po piwie.

Ranger uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Dobrze wiedzieć, że nadażasz za modą. Przedstawiłam sobie Rangera i Sally'ego.

- Kurna - powiedział Sally, przyglądając się Rangerowi z otwartymi ustami. - Jezuniu!

- Powiedźcie, czego szukam. Właściwie nie byliśmy pewni.

- Blond peruka, czerwona krótka sukienka - poinformował nas barman.

Ten sam strój, jaki Kiki miał na sobie w klubie.

- Dobra - rzucił Ranger. - Przecheszymy salę i znajdziemy faceta. Udawajcie, że mnie tu nie ma.

- Znowu będziesz wiatrem? - spytałam.

Ranger wyszczerzył zęby.

- Mądrała.

Na widok uśmiechu Rangera kobiety wpadają na ściany i rozlewają drinki. Ostrożnie wycofaliśmy się na tyły sali, gdzie odbywały się tańce. Kobiety z kobietami. Mężczyźni z mężczyznami. I jakaś para koło siedemdziesiątki, mężczyzna i kobieta, najwyraźniej z innej planety.

Dwaj mężczyźni zatrzymali Sally'ego, żeby mu powiedzieć, iż

Kiki go szuka.

- Dzięki - powiedział Sally z poszarzałą twarzą.

Minęło dziesięć minut. Okrążyliśmy całą salę i nie znaleźliśmy Kikiego.

- Muszę się napić - wymamrotał półprzytomnie Sally. - Muszę sobie dać w żyłę.

Ta ostatnia uwaga przywiodła mi na myśl panią Nowicki. Nikt jej nie obserwował. Miałam tylko nadzieję, że nie odwoła wizyty u lekarza. Najpierw to, co najważniejsze, powiedziałam sobie. Pieniądze za złapanie zbiega na nic mi się nie przydadzą, jeśli będę martwa.

Sally podszedł do baru, a ja oddaliłam się do damskiej toalety. Otworzyłam drzwi z napisem WC i znalazłam się w krótkim korytarzu. Męska toaleta znajdowała się po jednej stronie, damska po drugiej. Drzwi zamknęły się za mną. Hałas przycichł.

W damskiej toalecie było chłodno i jeszcze ciszej. Spojrzałam pod drzwi trzech kabin. Nie zauważyłam dużych czerwonych szpilek. To głupie, pomyślałam. Kiki nie wszedłby do damskiego wychodka. Mimo wszystko to mężczyzna.

Zamknęłam się w kabinie. Usiadłam i zaczęłam się rozluźniać. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i usłyszałam kroki.

Nagle zdałam sobie sprawę, że nie słyszę zwykłych w tej sytuacji dźwięków. Kroki zatrzymały się na środku pomieszczenia. Nie rozległ się odgłos otwieranej torebki. Nie zaszumiała odkręcona woda. Nie trzasnęły drzwi sąsiedniej kabiny.

Ktoś stał w milczeniu. Świetnie. Schwytna w klozecie, ze spuszczonej majtkami. Najgorszy koszmar.

Być może, poniosła mnie wyobraźnia. Wzięłam głęboki oddech i zrobiłam wysiłek, żeby uspokoić serce, ale moje serce nie dawało się uspokoić, a płuca chyba zaczęły mi się palić. Gorączkowo zrobiłam w pamięci szybki przegląd zawartości torby i zdałam sobie sprawę, że jedyną prawdziwą bronią jest pieprz w aerozolu.

Usłyszałam zgrzytnięcie fleczków na kafelkach posadzki i w pole mojego widzenia weszły damskie szpilki. Czerwone.

Psiakrew! Zakryłam usta dłonią, żeby nie zacząć piszczeć ze strachu. Wstałam. Byłam już ubrana. I czułam się chora do szpiku kości.

- Chyba pora już wyjść - odezwał się Kiki.

Wyciągnęłam rękę ku torbie, wiszącej na haczyku na drzwiach, ale zanim zdołałam ją chwycić, Kiki otworzył moją kabinę i torba odjechała daleko ode mnie.

- Dałem mu wszystko - powiedział Kiki. Po policzkach płynęły mu strumienie łez. - Sprzątałem i gotowałem mu to, co lubił. I wszystko było dobrze... dopóki się nie pojawiłaś. Lubił mnie. Wiem, że mnie lubił. Zepsułaś wszystko. Teraz on myśli tylko o tym, żeby zostać łowcą nagród. Nie mogę spać. Przez cały czas się zamartwiam, że coś mu się stanie, że ktoś go zabije. On się nie nadaje na łowcę nagród.

Kiki trzymał rewolwer w jednej ręce, a drugą ocierał łzy. Obie dłonie mu się trzęsły, co przeraziło mnie jeszcze bardziej. Nie wierzyłam, żeby chciał mnie zabić, ale przypadkowy wystrzał jest równie śmiertelny jak wystrzał zaplanowany.

- Nie, to zupełnie nie tak - odezwałam się drżącym głosem. - Sally tylko łamie szyfry. Nie robi nic niebezpiecznego. Poza tym on cię lubi. Uważa, że jesteś niesamowity. Jest w sali. Szukał cię przez cały wieczór.

- Już się zdecydowałem. Tak musi być. Pozbędę się ciebie. Tylko tak mogę go bronić. Tylko tak mogę go odzyskać. - Wskazał bronią drzwi. - Musimy wyjść na dwór.

To dobrze, pomyślałam. Wyjście na dwór jest w porządku. Kiedy znajdziemy się w sali, Ranger go zabije. Ruszyłam powoli na korytarz, bardzo ostrożnie, żeby Kiki się nie zdenerwował.

- Nie, nie - powiedział. - Nie w tę stronę. - Wskazał rewolwerem drzwi u wylotu korytarza. - Tędy.

Cholera.

- Tylko bez głupot. Zastrzelę cię na śmierć - dodał. - Potrafię to zrobić. Dla Sally'ego zrobię wszystko.

- Już i tak wpakowałeś się w kłopoty - zaryzykowałam. - Nie musisz do tego dokładać morderstwa.

- Ach, właśnie muszę. Zaszedłem zbyt daleko. Cała policja mnie szuka.

A wiesz, co się ze mną stanie, kiedy mnie zamkną? Nikt się nie będzie ze mną delikatnie obchodził. Już wolę celę śmierci. Przynajmniej będę mieszkać sam. Podobno nawet pozwalają na

oglądanie telewizji.

- Tak, ale potem cię zabiją!

Po policzkach Kikiego spłynęło jeszcze parę łez, ale eyeliner mu się nie rozmazał. Ten facet naprawdę znał się na makijażu.

- Koniec gadania. - Odciągnął kurek rewolweru. - Na dwór. Już. Albo zastrzelę cię tutaj. Przysięgam, że to zrobię.

Otworzyłam drzwi i wyrztałam. Po prawej stronie miałam niewielki parking służbowy, po lewej dwa kontenery na śmieci. Cały teren oświetlała jedna żarówka. Za kontenerami znajdował się asfaltowy podjazd, za nim trawnik i dom starców. Bardzo dobre miejsce do zastrzelenia człowieka. Położone na uboczu, a dźwięk nie poniesie się daleko. I było tu kilka wyjść. Co więcej, Kiki mógł nawet wrócić do budynku.

Serce waliło mi tak, że omal nie wyskoczyło na zewnątrz.

- Chwileczkę - powiedziałam. - Muszę wrócić. Zapomniałam torby.

Kiki zamknął za sobą drzwi.

- Tam, dokąd idziesz, torba nie będzie ci potrzebna.

- A dokąd idę?

- Hm, nie wiem dokładnie. Tam, dokąd idą wszyscy zmarli. Wejdz do kontenera, to cię zastrzelę.

- Zwariowałeś? Nie wejdę. To obrzydliwe.

- Dobrze, świetnie, więc zastrzelę cię tutaj. - Kiki pociągnął za spust.

Rozległo się suche kliknięcie. W komorze nie było kuli. Standardowy środek ostrożności.

- Niech to - mruknął Kiki. - Znowu coś pokręciłem.

- Umiesz strzelać?

- Nie, ale nie wydaje mi się, żeby to było aż tak skomplikowane. - Przyjrzał się rewolwerowi z bliska. - Ach, już wiem, na czym polega problem. Facet, od którego to pożyczyłem, nie włożył jednego naboju.

Kiki wycelował we mnie broń, ale zanim zdążył nacisnąć spust, skoczyłam m jeden z kontenerów. Bang, dzyń! Kula uderzyła w blachę. I znowu: bang, dzyń! Oboje byliśmy tak przerażeni, że zachowywaliśmy się jak para idiotów. Ja miotałam się pomiędzy kontenerami niczym blaszana kaczką na strzelnicy, a Kiki kropił

gdzie popadło.

Wreszcie znowu usłyszałam wymowne kliknięcie. Kiki wystrzelał wszystkie naboje. Wyrzałam zza kubła.

- Cholera - powiedział Kiki. - Jestem żaloszny. Nawet nie potrafię nikogo zabić. Cholera.

Wsadził rękę w czerwoną torebeczkę i wyjął z niej rzeźnicki nóż. Stał pomiędzy mną i tylnymi drzwiami. Miałam tylko jedną szansę ucieczki - przez trawnik w stronę domu starców. Kiki był silniejszy ode mnie, ale miał na sobie szpilki i wąską spódnicę, a ja szorty i trampki.

- Nie poddałem się! - krzyknął. - Zrobię to gołymi rękami, jeśli będę musiał. Wyrwę ci serce!

Nie spodobała mi się ta obietnica, więc ruszyłam pełnym galopem przez trawnik do domu starców. Byłam już kiedyś w tym budynku. W nocy mieli tam ochroniarza. Dobrze oświetlony front, potem podwójne szklane drzwi i strażnik. Za strażnikiem hol, w którym przesiadują staruszkowie.

Kiki dyszał za moimi plecami i wrzeszczał, żebym się zatrzymała, bo musi mnie zabić.

Wpadłam przez drzwi i zaczęłam wzywać strażnika głosem, od którego aż trzęsły się ściany, ale nikt się nie zjawił. Zerknęłam za siebie i zobaczyłam opadający nóż. Odskoczyłam na bok; ostrze przeorało głęboko rękaw mojego swetra Rangersów.

W holu było pełno staruszków.

- Ratunku! - ryknęłam. - Dzwońcie po policję! Wezwijcie strażnika!

- Nie ma strażnika - wyjaśniła mi jedna kobieta. - Cięcia budżetowe.

Kiki znowu się na mnie zamierzył,

Odskoczyłam, wyrwałam laskę jakiemuś staremu piernikowi i zaczęłam okładać nią Kikiego.

Jak wielu ludzi, lubię sobie wyobrazić, że w chwilach zagrożenia zachowuję się po bohatersku. Ratuję dzieci ze szkolnych autobusów zawieszonych na skraju przepaści. Udzielam pierwszej pomocy podczas wypadków samochodowych. Wynoszę ludzi z płonących budynków. Prawda wygląda tak, że w sytuacji zagrożenia zupełnie odbiera mi rozum, a jeśli wszystko kończy się

dobrze, to na pewno nie dzięki mnie.

Machałam na oślep laską, z nosa mi ciekło i wydawałam zupełnie nieludzkie dźwięki. Przez czysty przypadek laska zaczepliła o nóż i wyrwała go Kikiemu z ręki.

- Suka! - zawył Kiki. - Nienawidzę cię! Nienawidzę! Rzucił się na mnie i runęliśmy na ziemię.

- W moich czasach kobiety nigdy się tak ze sobą nie biły - zauważył jakiś starszerek. - To przez tę telewizję.

Tarzałam się po ziemi z Kikim i krzyczałam: „Zadzwońcie na policję, zadzwońcie na policję!” Kiki trzymał mnie za włosy i szarpał, aż wreszcie udało mi się go walnąć w krocze kolaniem. Zakładam się, że wbiłam mu jądra do środka. Puścił mnie, zwinął się w kłębek i zwymiotował.

Opadłam na wznak. Nade mną stał Ranger. Znowu się uśmiechał.

- Pomóc ci?

- Czy się zmoczyłam?

- Nie widzę.

- Dzięki Ci, Boże.

Ranger, Sally i ja staliśmy przed domem starców i patrzyliśmy za oddalającym się radiowozem, w którym odjechał Kiki. Dygot prawie mi przeszedł, a podrapane kolana przestały krwawić.

- I co ja teraz zrobię? - odezwał się Sally. - Nigdy w życiu nie wbiję się w gorset o własnych siłach. A makijaż?

- Niełatwo być drąg queen - wyjaśniłam Rangerowi.

- No myślę - zgodził się Ranger.

Wróciliśmy na parking. Noc była parna i bezgwiezdna. Pod dachem klubu szumiał system klimatyzacyjny, a przez otwarte drzwi sączyła się muzyka z płyt i odgłos rozmów.

Sally odruchowo kiwał głową do taktu muzyki. Wsadziłam go do porsche'a i podziękowałam Rangerowi.

- Zawsze lubię popatrzeć na ciebie w akcji - powiedział Ranger.

Wycofałam samochód z parkingu i ruszyłam w kierunku Hamilton. Zauważyłam, że kostki moich dłoni są białe i podjęłam kolejny wysiłek, żeby się uspokoić.

- Ależ jestem nabuzowany! - odezwał się Sally. - Chyba

powinniśmy się zabawić. Znam jedno fajne miejsce w Princeton.

Przed chwilą strzelano do mnie, dziabano mnie nożem i duszono. Nie mogłam powiedzieć, żebym była aż tak nabuzowana. Chciałam spokojnie usiąść w jakimś kąciku i zjeść ciastka mojej matki.

- Muszę pogadać z Morellim - powiedziałam. - Daruję sobie kluby, ale ty możesz się nie krępować. Kiki nic ci już nie robi.

- Biedny mały fajfus. Nie jest taki zły.

Podejrzałam, że to możliwe, ale jakoś nie potrafiłam wyrzesać z siebie współczucia dla Kikiego. Zniszczył mi samochód i mieszkanie, a na koniec usiłował mnie zabić. I jakby tego było mało, pociął mi sweter Rangersów! Może jutro, kiedy odzyskam humor, znajdę w sobie więcej zrozumienia. Dziś skłaniałam się raczej ku złośliwej satysfakcji.

Skreśliłam w Chambers i stanęłam przed domem Morellego. Furgonetka zniknęła i nie widziałam też motocykla. Światła paliły się na parterze. Prawdopodobnie Morelli już się dowiedział o Kikim i zakończył obserwację. Wzięłam ciastku i wygrzebałam się z porsche'a.

Sally przesiadł się za kierownicę.

- To na razie - rzucił i ruszył z piskiem opon.

- Na razie - powiedziałam do pustej ulicy. Zapukałam do drzwi.

- Hej! - ryknęłam, żeby przebić się przez jazgot telewizora.

Morelli pojawił się w polu mojego widzenia. Otworzył drzwi.

- Naprawdę tarzałaś się po podłodze w domu starców?

- To już wiesz?

- Matka do mnie dzwoniła. Powiedziała, że zatelefonowała do niej Thelma Klapp i powiedziała, że właśnie robisz bitki z jakiejś ładnej blondynki. Dodała, że nie powinnaś się tak tarzać, skoro jesteś w ciąży.

- Ta blondynka nie była kobietą.

- Co masz w tej torbie? - zainteresował się Morelli.

Ten człowiek wyczuje ciastko z odległości kilometra. Wyjęłam jedno i wręczyłam mu torbę.

- Muszę z tobą porozmawiać.

Morelli rozwalił się wygodnie na kanapie,

- Słucham.

- O Francine Nowicki, matce Maxine.

Morelli znieruchomiał.

- Teraz naprawdę cię słucham. Co się stało?

- Puściła następną fałszywkę. A mój informator twierdzi, że Francine ma ich cały zwitek.

- To dlatego tak ci zależało, żeby ją obserwować? Myślisz, że jest zamieszana w fałszerstwo i może prysnąć z miasta... razem z Maxine.

- Myślę, że Maxine już prysnęła.

- Więc dlaczego się tym interesujesz?

Wzięłam sobie następne ciastko.

- Nie jestem pewna, czy naprawdę zniknęła. A może nie zniknęła aż tak, żeby nie mogła jej odszukać.

- Zwłaszcza jeśli matka albo koleżanka na nią doniosą.

Skinęłam głowę.

- Zawsze istnieje taka możliwość. Więc co, pożyczysz mi samochód?

- Jeśli pani Nowicki nie zniknie do rana, postawię przed jej domem policyjną furgonetkę.

- Jest umówiona do lekarza na trzecią.

- Dlaczego mi to mówisz?

Umościłam się wygodniej na kanapie.

- Potrzebuję pomocy. Nie mam odpowiedniego sprzętu, żeby prowadzić prawdziwą obserwację. I jestem zmęczona. Wczoraj prawie nie spałam, a dziś miałam koszmary. Ten idiota wystrzelał we mnie cały bębenek, a potem gonił mnie z nożem. Nienawidzę tego! - Usiłowałam zjeść następne ciastko, nie ręka trzęsała mi się tak, że nie mogłam trafić do ust. - Spójrz na mnie, jestem ruiną człowieka!

- Adrenalina - mruknął Morelli. - Kiedy tylko się spali, zaśniesz jak zabita.

- Nie wymawiaj tego słowa!

- Rano poczujesz się lepiej.

- Może. Na razie z radością przyjmę wszystko, co możesz mi dać.

Morelli wstał i otrzepał się z okruszków.

- Dam ci mleka. Chcesz?

- Pewnie.

Wyciągnęłam się na kanapie. Morelli miał rację co do adrenaliny. Przestałam się trząść i poczułam straszne zmęczenie.

Otworzyłam oczy i przeżyłam krótką chwilę dezorientacji. Potem uświadomiłam sobie, że zasnęłam na kanapie Morellego. Był ranek. Przez okna lało się słoneczne światło, a z kuchni dochodził zapach parzonej kawy. Morelli zdjął mi buty i okrył mnie lekką kołdrą. Szybko sprawdziłam, czy reszta mojej garderoby jest nietknięta, a dopiero potem pozwoliłam sobie na poczucie wdzięczności.

Poczłapałam do kuchni i nalałam sobie kawy.

Morelli zapinał pas z bronią.

- Muszę lecieć - powiedział. - Wczoraj zadzwoniłem do twojej matki i powiedziałem, że jesteś u mnie. Pomyślałem, że pewnie zacznie się niepokoić.

- Dzięki. To bardzo miłe.

- Częstuj się, czym chcesz. Jeśli coś się wydarzy, znasz numer mojego pagera.

- Będziesz obserwował panią Nowicki?

Morelli znieruchomiał.

- Zniknęła. Kazałem sprawdzić w nocy. Dom jest pusty.

- Psiakrew!

- Może jeszcze ją złapiemy. Ogłosiliśmy alarm. Ministerstwo Finansów daje na to środki.

- Ale lekarz...

- Nowicki odwołała wczoraj wizytę.

Wypił kawę jednym łykiem, odstawił kubek do zlewu i ruszył do wyjścia. Zatrzymał się na środku jadalni i przez jakąś minutę przyglądał się swoim butom. Rozmyślał. Potem pokręcił głową. Odwrócił się, wszedł do kuchni, złapał mnie w ramiona i pocałował. Aktywny język. Natarczywe ręce.

- Rany - mruknął i wypuścił mnie z objęć. - Jestem w fatalnym stanie.

I poszedł sobie.

Kiedy weszłam do kuchni, matka spojrzała na mnie wyczekująco. No i... ? - wyczytałam z jej oczu. Spałaś z nim?

Babcia siedziała nad filiżanką herbaty. Ojciec gdzieś zniknął. A Sally zajmował miejsce u szczytu stołu. Zajadał ciastka i znowu miał na sobie mój szlafroczek.

- Się ma - powiedział na mój widok.

- Sally opowiedział nam, co się wczoraj wydarzyło - odezwała się babcia. - Rany, jaka szkoda, że mnie tam nie było. Sally powiedział, że byłaś pierwsza klasa.

- Musiałaś to zrobić w domu starców? Już nie ma innych miejsc? - wtrąciła matka. - Wiesz, jak oni plotkują?

- Już trzy osoby do nas dzwoniły. Po raz pierwszy od rana mam czas, żeby usiąść i napić się herbaty. Całkiem jakbyśmy byli gwiazdami!

- Co nowego? - spytałam Sally'ego. - Masz plany na ten dzień?

- Wyprowadzam się. Znalazłem nowe mieszkanie. Wczoraj spotkałem paru kumpli, którzy akurat szukają kogoś, kto by z nimi zamieszkał. Mają dom na Yardley.

- Cholerka - zmartwiła się babcia. - Szkoda, że już cię nie zobaczę w tym różowym szlafrocuku.

Zaczekałam, aż Sally opuści dom. Potem wzięłam prysznic i posprzątałam w pokoju. Nie byłam zadowolona ze zniknięcia pani Nowicki. To by się nie zdarzyło, gdybym w porę opowiedziała Morellemu o wszystkim.

- Cholera! - wrzasnęłam. Jeszcze tego brakuje, żeby Joyce Barnhardt złapała Maxine. - Niech to szlag!!

Matka zapukała do mojego pokoju.

- Wszystko w porządku?

Otworzyłam drzwi jednym szarpnięciem.

- Nic nie jest w porządku. Jestem wściekła! Wszystko popsułam, a teraz jeszcze muszę się martwić, że Joyce Barnhardt złapie mojego zbiega! Matka wzięła się pod boki.

- Joyce Barnhardt? Joyce Barnhardt nie jest godna ci czyścić butów! Jesteś od niej sto razy lepsza!

- Tak myślisz?

- Napraw to, co się popsuło. Na pewno nie jest aż tak źle. Ta kobieta musi tu gdzieś być. Ludzie nie znikają ot, tak sobie.

- To nie takie łatwe. Nikt mi już nie może pomóc. - Z wyjątkiem Berniego, tego obleśnego faceta, co sprzedaje

narkotyki. Nie miałam najmniejszej ochoty go znowu zobaczyć.

- Na pewno nikt? Hm, może jednak...

- Masz rację - powiedziałam. - Nie zawadzi sprawdzić parę rzeczy. - Złapałam torbę i zbiegłam po schodach.

- Wrócisz na kolację? - zawołała za mną matka. - Będzie pieczony kurczak, biszkopty i kruchy placek z truskawkami!

- Wrócę.

Mój entuzjazm nieco opadł, kiedy zobaczyłam czekający na mnie samochód. Trudno być Wonder Woman w buicku. Znacznie łatwiej byłoby na motocyklu marki Ducati, na przykład.

Usiadłam na wielkim fotelu i spojrzałam ponad wielką kierownicą na ciągnące się przede mną kilometry błękitnej maski. Przekreśliłam klucz w stacyjce. Samochód powoli wytoczył się na ulicę.

Morelli postawił policjanta przed domem pani Nowicki, ale nikt nie obserwował Margie. Istniała słaba szansa, że pani Nowicki mogła być u Margie.

Kiedy znalazłam się na miejscu, jeszcze bardziej podupałam na duchu. Samochód Margie zniknął z podjazdu. Drzwi były zamknięte na klucz. Nikt nie odpowiedział, kiedy zapukałam. Obeszłam dom na paluszkach i zajrzałam do okien. Ani śladu żywego ducha. Nie zauważyłam talerzy na stole ani skarpetek na podłodze. Ani kota drzemącego w fotelu. Sąsiadka nie wyszła zapytać, co tu robię. Może się już przyzwyczała, że zawsze podglądam.

Podeszłam do jej drzwi i zapukałam.

Najpierw spojrzała z zaskoczeniem, potem mnie rozpoznała.

- Jesteś koleżanką Margie!

- Tak. I ciągle jej szukam.

- Minęłyście się. Była przez jeden dzień w domu, a potem znowu wyjechała.

- Nie wie pani dokąd?

- Nie pytałam. Myślałam, że znowu na wybrzeże.

- Dziękuję. Może kiedyś ją wreszcie złapię.

Wróciłam do samochodu i przez parę minut wymyślałam sobie od idiotek.

Potem doszłam do wniosku, że skoro i tak wyjechałam z domu,

jeszcze raz sprawdzę dom matki Maxine. A co tam, cholera. Przynajmniej będę mieć spokojne sumienie.

Przez domem pani Nowicki również nie stał żaden samochód, ale mimo wszystko podeszłam do drzwi i zapukałam. Otworzyły się.

- Dzień dobry! - zawołałam. Nikt mi nie odpowiedział. Sprawdziłam kolejno wszystkie pokoje i na szczęście nie zauważyłam żadnych ciał, oskalpowanych czy porąbanych na małe kawałeczki.

Matka Maxine nie żyła w luksusie. Materac podwójnego łóżka zapadał się żałośnie. Prześcieradła były przetarte aż do osnowy. Wytarta kapa z szenili służyła zarazem jako narzuta i kołdra. Była w paru miejscach przepalona papierosami. Meble były stare i porysowane. Dywany brudne jak święta ziemia. Zlewy poplamione i pełne zacieków. Kosz na śmieci pękał w szwach od butelek po wódcę. A w całym domu śmierdziało pleśnią i papierosowym dymem.

Nie znalazłam żadnych notatek z planem podróży. Żadnych reklam biur turystycznych z zakreślonymi ofertami. Żadnych porozrzucanych fałszywych dwudziestek. Pani Nowicki zniknęła i chyba nie zamierzała wrócić. Doszłam do wniosku, że otwarte drzwi są wymownym symbolem. Niech padlinożercy oczyszczą dom. Ja się wyprowadzam.

Wróciłam do buicka i zaczęłam się zastanawiać, ale nie miałam wystarczających informacji. Wiedziałam, że Margie, Maxine i jej matka trzymają się razem. Oraz że Francine Nowicki ma sporo fałszywych pieniędzy. Podejrzewałam, że Eddie Kuntz chciał odnaleźć Maxine z innego powodu niż listy miłosne. A ktoś tak bardzo pragnął wiadomości na jej temat, że mógł z tego powodu posunąć się do morderstwa.

Najbardziej denerwującym elementem tej sytuacji było zniknięcie Eddiego Kuntza. Nikt go nie widział od czterech dni. Miałam silne podejrzenia, że w tej chwili Eddie płynie z prądem po oceanie.

Sprawdziłam Margie i Maxine, więc powinnam także sprawdzić Eddiego Kuntza. Niestety, strasznie mi się nie chciało znowu spotykać z Betty i Leo. Wizyty u nich robiły się coraz

mniej przyjemne. Oczywiście mogłabym przypadkowo przejeżdżać obok ich domu i wstąpić. To by wyglądało nieco inaczej.

Wjechałam w Muffet Street i zatrzymałam się przed domem Glicków. Obie połówki wydawały się puste. Na podjeździe nie było widać lincolna. Palce mnie swędziały, żeby sprawdzić, czy drzwi Eddiego Kuntza nie są otwarte, tak jak drzwi pani Nowicki. A skoro w pobliżu nie było nikogo, mogłabym im trochę pomóc.

Serce mi podskoczyło. Stephanie, Stephanie, Stephanie, nawet nie myśl o tym, o czym myślisz! A jeśli cię ktoś przyłapie? Tak, musiałam przyznać, że to by mnie uziemiło. Potrzebny był mi współnik, który by stanął na świecy. Potrzebowałam Luli. Agencja znajdowała się o dziesięć minut drogi od domu Glicków.

Więc zadzwoniłam.

- Jasne - powiedziała Lula. - Jestem cholernie dobra na świecy. Zaraz będę.

- Zamierzam tam wejść. Zabiorę telefon z sobą. Ty stań po drugiej stronie ulicy i zadzwoń, jeśli zobaczysz Betty albo Leo. Wyjdę tylnymi drzwiami.

- Możesz na mnie liczyć - zapewniła mnie Lula.

Minęłam dom Glicków, skręciłam w inną ulicę i zatrzymałam samochód. Potem wróciłam piechotą i weszłam na ganek Betty i Leo. Zapukałam. Cisza. Zajrzałam przez okno. Nikogo. Powtórzyłam manewr po stronie Kuntza. Nacisnęłam klamkę. Zamknięte. Poszłam na tyły domu. To samo. Pomyślałam, że trzeba było zadzwonić do Rangera. On umie obchodzić się z zamkami. Kiedyś nosiłam ze sobą zestaw wytrychów, ale jakoś nigdy nie trafiła mi się okazja, żeby z nich skorzystać, więc je wyrzuciłam.

Spojrzałam na okno Eddiego, blisko tylnych drzwi. Było uchylone! Po stronie Kuntza nie było klimatyzacji. Na podłodze pewnie można by usmażyć jajecznicę. Delikatnie popchnęłam okno. Stawiło mi opór. Rozejrzałam się. Dzielnica wyglądała jak wymarła. Nikt nie podlewał trawnika, nie widziałam psów ani dzieci. Zbyt gorąco. Wszyscy siedzieli w domach przy włączonej klimatyzacji i oglądali telewizję. Bardzo dobrze.

Przytoczyłam kubek na śmieci pod okno i wspięłam się na

niego. Przyklekłam, mocno popchnęłam okno i proszę! Otworzyło się. Nikt nie wrzasnął „Hej, ty! Co robisz?“, więc doszłam do wniosku, że szafa gra. W końcu się nie włamałam, bo wszystko było całe i nienaruszone. .

Zamknęłam okno i pobiegłam do drzwi, żeby się upewnić, że Glickowie nie wracają do domu. Nigdzie nie zauważyłam lincolna, więc trochę się uspokoiłam, a moje serce prawie odzyskało normalny rytm. Zaczęłam poszukiwania od pokoi na piętrze. Potem zesłam na dół i jeszcze raz wyjrzałam przez okno. Czerwony firebird stał o dwie przecznice dalej. Kuchnię zostawiłam sobie na koniec. W lodówce znajdował się otwarty karton mleka. A na górze w sypialni brudne ubrania leżały na podłodze. To kazało mi podejrzewać, że Eddie nie planował żadnej wycieczki.

W szufladzie przy zlewie znalazłam dwa komplety kluczy. Na jednym kółku znajdowało się ich kilka: do samochodu, do domu, do skrytki. Na drugim był tylko jeden. Moja matka też mieszka w bliźniaku i także ma dwa komplety kluczy. Jeden to klucze zapasowe. Drugi otwiera drzwi sąsiedniego mieszkania.

ROZDZIAŁ 16

Spojrzałam na zegarek. Byłam w tym domu już pół godziny. Pewnie nie powinnam prowokować losu, ale miałam straszną ochotę na szybkie zwiedzenie połowy zamieszkaney przez Glicków. A może znajdę tam jakąś ważną wiadomość, powiedzmy - na kuchennym stole? Klucz w szufladzie wołał do mnie: weź mnie, weź mnie! No dobrze, załóżmy, że to zrobię. Co się mi może przydarzyć najgorszego? Glickowie mnie przyłapią i będą mi głupio. Ale do tego nie dojdzie, bo Lula ma dom na oku.

Wzięłam klucz, przymknęłam okno i spróbowałam otworzyć drzwi Glicków. Bingo!

Było tu cudownie chłodno, najwyżej dziesięć stopni. Całkiem jakbym weszła do lodówki. Wszystkie urządzenia kuchenne były nowe. Linoleum na podłodze lśniło czystością. Kuchnia została urządzona w stylu wiejskim. Na ścianach drewniane serca, czerwone i błękitne, z wykaligrafowanymi porzekadłami i mądrościami ludowymi. Solidne blaty, jak w sklepie u rzeźnika. Mały składany stolik z sosnowego drewna pod oknem. Toster otulony ślicznym pokrowcem. Wieszaki i ręczniki zdobiły haftowane koguciki, a w kolorowej, ręcznie malowanej miseczce znajdowało się pomarańczowe potpourri.

Problem w tym, że to potpourri nie zagłuszało potwornego smrodu, który się unosił w kuchni. Betty Glick powinna chyba przeczyścić urządzenia kanalizacyjne. A może raczej wynieść śmieci. Przejrzałam szafki i szuflady. Nic nadzwyczajnego. Jak również brak zdechłych szczurów lub gnijących resztek kurczaka. Kosz na śmieci był wyszorowany i wyłożony plastikowym workiem. Więc co tak cuchnęło? Zauważyłam telefon, ale bez sekretarki, więc nie mogłam przesłuchać wiadomości. Notes leżał tuż obok, czekając na wiadomości, które można by w nim zapisać. Zajrzałam do lodówki i schowka na szczotki, przerobionego na spizarkę.

Po tej stronie kuchni smród był silniejszy i nagle zdałam sobie sprawę, że go znam. O mamusiu, pomyślałam, spadam stąd! Ale wcale tego nie zrobiłam. Zbliżyłam się ostrożnie w stronę, z której dochodził ten straszny fetor. Ku drzwiom piwnicy tuż koło

schowka na szczotki.

Telefon komórkowy miałam w torbie, a torbę na ramieniu. Zajrzałam do niej, żeby się upewnić, że jest włączony. Owszem. Był włączony.

Otworzyłam drzwi i włączyłam światło.

- Haloooo! - zawołałam. Gdyby mi ktoś odpowiedział, pewnie bym dostała zawału.

Zeszłam do połowy schodów i wreszcie zobaczyłam zwłoki. Spodziewałam się, że to będzie Eddie albo Maxine. Nic z tego. Ciało należało do jakiegoś nieznanego faceta w garniturze. Pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat. Od dawna martwy. Leżał na folii. Nigdzie ani śladu krwi. Nie znam się specjalnie na tych sprawach, ale wytrzeszczone oczy i wywalony język świadczyły, że nie było to naturalne zejście.

I co to miało znaczyć, do pioruna? Dlaczego Betty trzyma czyjeś zwłoki w piwnicy? Wiem, że to zabrzmiało idiotycznie, ale dziwiło mnie to głównie dlatego, że Betty jest taką dobrą gospodynią. Piwnica miała podłogę wykładaną kafelkami i dźwiękochłonny sufit. Po jednej stronie pralnia, po drugiej składzik, w którym pod inną foliową płachtą leżały jakieś narzędzia. Piwnica, jakich wiele... jeśli nie liczyć martwego faceta.

Wróciłam do kuchni dokładnie w chwili, kiedy Betty i Leo weszli przez frontowe drzwi.

- Co to ma znaczyć?! - zawołał Leo. - Co to ma znaczyć, do cholery?!

Nie miałam pojęcia, co się dzieje, ale miałam wrażenie, że dłuższe pozostawanie w kuchni Betty będzie szkodliwe dla mojego zdrowia. Rzuciłam się pędem do drzwi kuchennych.

Bang! Kula gwizdnęła mi koło ucha i zaryła się we framudze drzwi.

- Stój! - wrzasnął Leo. - Ani kroku dalej!

Rzucił na podłogę pudełko, które niósł pod pachą, i wycelował we mnie półautomatyczny pistolet. Wyglądał o wiele bardziej profesjonalnie niż Kiki.

- Tylko dotknij tych drzwi, a cię zabiję - zapowiedział. - A przedtem odrąbię ci wszystkie palce.

Zamarłam z wytrzeszczonymi oczami i otwartymi ustami.

Betty westchnęła.

- Ty i te twoje palce - mruknęła z dezaprobatą.

- To mój znak firmowy!

- Według mnie to głupie. Poza tym już to pokazali w tym filmie o kurduplu, pamiętasz? Wszyscy pomyślą, że małpujesz.

- Więc będą w błędzie. Ja na to wpadłem pierwszy. Odcinałem palce bardzo dawno temu, jeszcze w Detroit.

Betty podniosła pudełko i postawiła je na stole. Odczytałam napis na boku. Była to nowa piła łańcuchowa, Black and Decker, sto dwadzieścia koni mechanicznych, przenośna, O mamusiu!

- Pewnie mi nie uwierzycie - odezwałam się - ale w waszej piwnicy leżą jakieś zwłoki. Chyba powinniście powiadomić policję,

- Jak się coś zaczyna psuć, to zaraz robi się z tego jedna katastrofa - powiedział Leo. - Zauważyłaś?

- Kto to jest? - spytałam. - Ten człowiek w piwnicy.

- Nathan Russo. Co ciebie nie powinno interesować. Mój partner w interesach. Zaczął się robić nerwowy, więc musiałem go uspokoić.

W mojej torbie zadzwonił telefon.

- Boże - mruknął Leo. - Co to? Ta, jak jej tam... komórka?

- Tak. Chyba powinnam odebrać. To pewnie moja matka.

- Połóż torbę na stole.

Posłuchałam. Leo pogrzebał w niej wolną ręką, znalazł telefon i go wyłączył.

- Coś strasznego, ile mam roboty - pożalił się. - Jakby było mało, że muszę się pozbyć jednego ciała. A teraz drugie!

- Mówiłam ci, żebyś nie robił tego w piwnicy - wtrąciła Betty. - Mówiłam!

- Nie miałem czasu. Nie zauważyłem, żebyś mi pomagała zarabiać. Myślisz, że to takie łatwe?

- Wiem, że to głupie pytanie - przerwałam im. - Ale co się stało z Eddiem?

- Eddie! - Leo złapał się za głowę. - Nic by się nie wydarzyło, gdyby nie ten wyrzutek społeczeństwa!

- Jest młody - powiedziała Betty. - To dobry chłopak.

- Dobry? Zrujnował mnie! Cały dorobek mojego życia... puf! W

powietrze! Gdyby tu był, też bym go zabił.

- Nie życzę sobie takiego gadania. To nasz krewny.

- Ha! Poczekaj, aż się znajdziesz na ulicy, bo przez naszego siostrzeńca straciliśmy emeryturę. Poczekaj, aż będziesz potrzebować całodziennej opieki. Myślisz, że dadzą ci miejsce w domu starców za piękne oczy? O nie, nie ludź się moja droga!

Betty postawiła torbę z zakupami na stoliku i zaczęła wyjmować z niej produkty. Sok pomarańczowy, chleb, żytnie płatki, opakowanie potrójnie wzmocnionych gigantycznych toreb na śmieci.

- Tych toreb powinniśmy kupić więcej - zauważyła z troską.

Przełknęłam ślinę. Zaczęło do mnie docierać, co można zrobić z piłą łańcuchową i torbami na śmieci.

- Więc wracaj do sklepu - warknął Leo. - Ja zacznę pracować w piwnicy, a ty przyniesiesz torby. I tak zapomnieliśmy o sosie do steku. Dziś wieczorem będziemy grillować.

- Mój Boże! - jęknęłam. - Jak możecie myśleć o stekach, skoro w piwnicy macie martwego faceta?

- Człowiek musi się odżywiać - powiedział Leo.

Małżonkowie Glick stali odwróceny plecami do okna. Spojrzałam ponad ramieniem Leo i zobaczyłam Lulę, zaglądającą na palcach do wnętrza kuchni. Jej włosy z nanizanymi paciorkami zawirowały.

- Słyszysz to śmieszne klikanie? - spytał Leo.

- Nie.

Oboje zaczęli nasłuchiwać.

Lula zajrzała w okno po raz drugi.

- Znowu!

Leo rozejrzał się, ale Lula już zniknęła.

- Masz halucynacje - oznajmiła Betty. - To przez ten stres. Powinniśmy wyjechać na wakacje. W jakieś miłe miejsce, na przykład do Disney World.

- Jak mówię, że słyszałem, to słyszałem - obraził się Leo.

- No tak. Może byś się pospieszył i wreszcie ją zabił. Nie podoba mi się, że tak stoimy. A jeśli wpadnie do nas jakiś sąsiad? Jak to będzie wyglądało?

- Do piwnicy! - rzucił do mnie Leo.

- I nie naróbcie tam bałaganu - dodała Betty. - Bo niedawno sprzątałam. Uduś ją, tak jak Nathana. To dobry sposób.

Po raz drugi w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin grożono mi śmiercią. Dawno przekroczyłam granicę strachu i znalazłam się gdzieś pomiędzy lodowatym przerażeniem a prawdziwym, szczerym wkurzeniem. Żołądek ścisnął mi się spazmatycznie. Miałam cholerną ochotę złapać Leo za gors i tak długo tłuc nim o ścianę, aż powypadają mu wszystkie plomby.

Miałam nadzieję, że Lula wezwała policję. Musiałam grać na zwłokę, choć logiczne myślenie przychodziło mi z dużym trudem. W chłodnej kuchni Betty spływałam potem. Był to zimny pot człowieka patrzącego śmierci prosto w oczy. Nie chciałam umierać.

- Nie rozu- u- umiem - wyszczełam. - Dlaczego popełniacie t- e morderstwa?

- Zabijam tylko wtedy, kiedy muszę - wyjaśnił Leo. - Nie robię tego na łapu- capu. Tej dziewczyny ze sklepu bym nie zabił, gdyby nie ściągnęła maski Betty.

- Wyglądała miło - dodała Betty. - Ale co można było poradzić?

- Ja też jestem mi- i- ła - zapewniłam ich z naciskiem.

- I nawet nic nam nie powiedziała. Odciąłem jej palec, żeby wiedziała, że nie żartuję, a ona ciągle nie chciała mówić. Co to za ludzie teraz? Powtarzała tylko, że Maxine jest w Point Pleasant. Wielkie rzeczy. Point Pleasant. Maxine i dwadzieścia tysięcy innych ludzi.

- Może tylko tyle wiedziała.

Leo wzruszył ramionami.

W panice zaczęłam szukać następnego pytania.

- Wiecie, czego jeszcze nie rozumiem? Nie rozumiem, dlaczego oskalpowaliście panią Nowicki. Wszyscy inni mieli odcięte palce.

- Zapomniałem nożyczek - powiedział Leo. - A ona miała tylko taki brudny nóż do warzyw. Taki nóż jest zupełnie do niczego, chyba żeby go porządnie naostrzyć.

- Ciągle ci powtarzam, żebyś brał ginkgo - rzuciła Betty z naganą. - Pamięć cię zawodzi.

- Nie będę brał żadnego głupiego ginkgo. Nawet nie wiem, co to jest.

- Takie ziolo. Wszyscy je biorą.

Leo przewrócił oczami.

- Wszyscy. Litości!

Lula znowu pojawiła się w oknie. I tym razem trzymała w ręce broń. Zmrużyła oczy, wycelowała i bum! Szyba rozsypała się w drobny mak, a wiszący na przeciwległej ścianie wieszak z kogucikiem podskoczył w miejscu.

- O Jezusie Nazareński! - Leo uskoczył w bok i obrócił się do okna.

- Rzuć broń, ty walnięty staruchu! - ryknęła Lula. - Bo ci zrobię durszlak z tyłka!

Leo strzelił w okno. Lula odpowiedziała ogniem i skasowała kuchenkę mikrofalową. Betty i ja schowałyśmy się pod stołem.

W oddali zawłyły syreny.

Leo rzucił się do drzwi frontowych, gdzie znowu rozpętała się strzelanina i dały się słyszeć przekleństwa, rzucane zarówno przez niego, jak i przez Lulę. Cała kuchnia rozbłysła migotaniem kogutów i zrobiło się jeszcze głośniejsze.

- Nie znoszę tego momentu - powiedziała Betty.

- Już to przerabialiście?

- No, niezupełnie to samo. Poprzednim razem wszystko przebiegło bardziej sprawnie.

Ciągle jeszcze kuliłyśmy się w naszej kryjówce, kiedy Morelli wszedł do kuchni.

- Przepraszam - odezwał się, zaglądając pod stół. - Chciałbym porozmawiać z panią Plum na osobności.

Betty wyszła na czworakach spod stołu i wstała. Wyglądała tak, jakby nie wiedziała, co ze sobą zrobić.

Ja także wyszłam.

- Pewnie będziesz chciał ją aresztować - powiadomiłam Morellego.

Betty znalazła się pod opieką umundurowanego policjanta, a Morelli zmierzył mnie groźnym wzrokiem.

- Co tu się dzieje, do wszystkich diabłów? Odebrałem telefon, a tam Lula wrzeszczy, że ktoś do ciebie strzela.

- No, tak właściwie jeszcze nie zaczął.

Morelli pociągnął nosem.

- Co tak cuchnie?

- Martwy facet w piwnicy. Partner Leo.

Morelli obrócił się na pięcie i pomaszerował na dół. Po chwili powrócił, rozpromieniony jak słoneczko.

- To Nathan Russo.

- I co z tego?

- Nasz znajomy dystrybutor fałszywek. Ten, którego obserwowaliśmy.

- Jaki ten świat jest mały.

- Na dole jest też matryca. Pod folią.

Poczułam, że twarz mi się krzywi, a oczy zachodzą łzami.

- Chciał mnie zabić!

- Znam to uczucie. - Morelli objął mnie i pocałował w czubek głowy.

- Nie znoszę płakać. Cała się robię w czerwone placki i cieknie mi z nosa.

- Na razie nie jesteś w czerwone placki. Jesteś biała. Ten gość z piwnicy ma zdrowszy kolor twarzy niż ty. - Morelli zaprowadził mnie na ganek, gdzie Lula przechadzała się nerwowo. Posadził mnie na schodku i powiedział, żebym się pochyliła i wsadziła głowę między nogi.

Po chwili dudnienie w skroniach minęło i przestałam mieć mdłości.

- No, już mi lepiej - wymamrotałam. Lula usiadła obok mnie.

- Pierwszy raz widzę białego, który naprawdę jest biały.

- Nigdzie nie odchodźcie - nakazał Morelli. - Będę chciał z wami porozmawiać.

- Ma się rozumieć, szefuniu - zapewniła go Lula.

Morelli przykucnął obok mnie.

- Chyba nie byłaś tu nielegalnie, co? - spytał cicho.

- Nie. - Pokręciłam głową z przekonaniem. - Drzwi były uchylone. Zostałam zaproszona. Powiał wiatr i okno się otworzyło...

- Może się na coś zdecydujesz?

- Które wyjaśnienie ci się najbardziej podoba?

- Chryste!

Morelli wrócił do domu Glicków, gdzie teraz aż roiło się od

policjantów. Przyjechała sanitarka, ale nie była potrzebna. Nikt nie odniósł żadnych ran, a zwłoki z piwnicy mogły się zabrać furgonetką coronera. Wokół sanitarki zaczęli się zbierać sąsiedzi. Inni wychodzili na ganki. Betty i Leo siedzieli w dwóch radiowozach. Od tej pory będą trzymani i przesłuchiвани osobno.

- Dzięki, że przyszedł mi na ratunek - powiedziałam do Luli. - Kurczę, aleś przywaliła w ten wieszak.

- Aha, ale celowałam w Leo. Dobrze, że od razu dodzwoniłam się do Morellego.

Na końcu ulicy czarny jeep zatrzymał się z piskiem opon i wyskoczył z niego nagi mężczyzna.

- A niech mnie! - zawołała Lula. - Ja znam tego gołego skubańca.

Poderwałam się na równe nogi i ruszyłam biegiem. Tym gołym skubańcem był Eddie Kuntz! Zobaczył zbiegowisko przed swoim domem i momentalnie dał nura w krzaki. Dopadłam krzaka, w którym się zaszył, i wytrzeszczyłam oczy. Kuntz przedstawiał rzadki widok. Był wytatuowany od stóp do głów kolorowymi napisami w rodzaju: „Fiucik jak ołówek”, „Damski bokser” i „Lubię dużych facetów”.

- O mamusiu! - jęknęłam, starając się nie porównywać napisów z uwidocznionym sprzętem.

Kuntz był bliski szaleństwa.

- Trzymały mnie w niewoli! Wytatuowały mnie!

Lula stanęła u mego boku.

- Chyba przesadziły z tym ołówkiem - powiedziała. - Według mnie to jakby wytarta gumka myszka.

- Zabiję ją- zapowiedział Kuntz z obłędem w oczach. - Znajdę ją i zabiję.

- Maxine?

- I niech ci się nie zdaje, że zobaczysz te tysiąc dolarów.

- A ten samochód, z którego wysiadłeś...

- Należy do tej drugiej. Tej, co też jest łowcą nagród. Powiedziała, że podsłuchiwała wiadomość na policyjnej częstotliwości i jedzie za Maxine. Zgarnęła mnie przy Olden. Tam, gdzie wyrzuciła mnie Maxine. Na Olden! Przed tymi delikatesami!

- Wiesz, dokąd jedzie Maxine?

- Na lotnisko. Wszystkie trzy. W błękitnej hondzie civic. I cofam to, co powiedziałem o tym tysiącu dolców. Przeprowadź mi tę sukę, a będziesz spać na pieniądzach.

Odwrociłam się i pogalopowałam do firebirda.

Lula pędziła za mną z tętentem.

- Ja też! Ja też!

Obie wskoczyłyśmy do samochodu. Lula ruszyła z takim zrywem, że nie zdążyłam zamknąć drzwi po swojej stronie.

- Chcą pojechać autostradą numer jeden - rzuciła. - To dlatego wysadziły go na Olden. - Skręciła na dwóch kołach, znalazła zjazd i już po chwili byłyśmy na autostradzie.

Byłam tak rozgorączkowana, że zapomniałam spytać, o które lotnisko chodzi. Podobnie jak Lula przyjął, że o Newark. Zerknęłam na szybkościomierz. Prułyśmy sto osiemdziesiąt na godzinę. Lula przydepnęła gaz do dechy, więc złapałam się za tablicę rozdzielczą i zamknęłam oczy.

- No to przerobiły tego małego gnojka - zauważyła Lula. - Prawie nie mam serca aresztować Maxine. Nie można jej nie podziwiać. Ta kobieta ma klasę.

- I jest pomysłowa - dodałam.

- Właśnie.

Tak naprawdę uważałam, że jednak trochę przeholowała. Owszem, nie lubiłam Eddiego Kuntza, ale na myśl o nakłuwaniu go od stóp do głów musiałam się skrzywić.

Szukałam wzrokiem błękitnej hondy oraz samochodu Joyce. Nic dziwnego, że znalazła Kuntza przede mną. Joyce wyczuje nagiego mężczyznę z odległości kilometra.

- Tam są! - wrzasnęłam. - Na poboczu!

- Widzę - mruknęła Lula. - Zdaje się, że Maxine wpadła na gliniarzy.

Nie, to nie byli gliniarze. Maxine dostała się w ręce Joyce Barnhardt, która postawiła na dachu swojego samochodu czerwonego przenośnego koguta. Zatrzymałyśmy się obok i wysiadłyśmy, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Joyce stała na poboczu i trzymała Maxine, panią Nowicki i Margie na muszce. Wszystkie trzy leżały na ziemi z rękami skutymi kajdankami na plecach.

Joyce uśmiechnęła się na mój widok.

- Troszkę się spóźniłaś, kochana. Już aresztowałam zbiega. Szkoda, że jesteś taką oferumą.

- Ha - sapnęła Lula i zmrużyła oczy.

- Skułaś aż trzy osoby, Joyce, a tylko jedna z nich jest poszukiwana. Nic masz prawa aresztować dwóch pozostałych.

- Mogę aresztować, kogo tylko mi się spodoba. Ciskasz się, bo cię uprzedziłam.

- Ciskam się, bo zachowujesz się jak idiotka.

- Uważaj, co do mnie mówisz - nadęła się Joyce. - Bo jak się zdenerwuję, to ty i ta beka smalcu też się znajdziecie na ziemi. Zostało mi jeszcze parę kajdanek.

- Najmocniej przepraszam - wtrąciła Lula. - Powiedziałaś: beka smalcu? Joyce wymierzyła broń w Lulę i mnie.

- Daję wam trzydzieści sekund na to, żebyście zabrały stąd te tłuste dupska. I lepiej obie zaczniecie szukać innej roboty, bo teraz to ja jestem łowcą nagród numero uno.

- Aha - zgodziła się Lula. - Gdzie nam do ciebie. Nawet już się zastanawiałam, czy się nie zatrudnić w takiej nowej knajpie, „Smaczek Kurczaczek”. Podobno dają jeść za darmo, ile wlezie. Nawet dodają takie biszkopty, co je można odświeżyć w piekarniku. Pozwól, pomogę ci wsadzić te baby do samochodu.

Podniosła Maxine z ziemi, a kiedy popchnęła ją w stronę Joyce, ta wydała z siebie śmieszny dźwięk i padła na ziemię.

- O - powiedziała Lula. - I znowu zemdląca.

Na tylnym siedzeniu samochodu Luli znajdowała się wypchana torba. Przeszukałam ją i znalazłam w niej kluczyki do kajdanek. Uwolniłam panią Nowicki i Margie.

- Jesteście wolne - powiedziałam. - Nie mam prawa was aresztować, ale już was szukają, więc będzie lepiej, jeśli się same zgłosicie na policję.

- Ano pewnie - mruknęła pani Nowicki. - Jasne, że to zrobię. Lula otrzepała Maxine z piasku, a pani Nowicki i Margie przyglądały się temu z zakłopotaniem, przestępując z nogi na nogę.

- A Maxie? - spytała Margie. - Nie możecie jej puścić?

- Przykro mi, Maxine musi się zgłosić na policję.

- O nic się nie martwcie - rzuciła Maxine do matki i Margie. - Wszystko się wyprostuje.

- Nie chcę cię tak zostawiać - jęknęła pani Nowicki.

- Nic się nie dzieje - uspokoiła ją Maxine. - Spotkamy się, kiedy wszystko załatwię.

Pani Nowicki i Margie wsiadły do błękitnej hondy i odjechały. Joyce nadal leżała na ziemi, ale jej kończyny zaczęły lekko drgać, a jedno oko się otworzyło. Nie chciałam, żeby ktoś ją wykorzystał, zanim odzyska przytomność, więc razem z Lułą wepchnęłyśmy ją do jeepa i zamknęłyśmy w środku. Teraz już była bezpieczna. Czerwony kogut na dachu jej samochodu ciągle błyskał. Ponieważ nie wolno używać takich gadżetów, istniała możliwość, że Joyce zostanie aresztowana. Choć może jednak nie. Joyce zawsze jakoś potrafiła się wybronić od płacenia mandatów.

W drodze na posterunek Maxine nie była rozmowna. Wyglądało na to, że obmyśla bajeczkę, którą sprzeda glinom. Wyglądała młodziej niż na fotografii. Była bardziej zadbana. Może tak się dzieje, kiedy się wyładowuje gniew? Całkiem jakby w płuca topielca wtłoczono świeże powietrze. Dobre powietrze do środka, złe powietrze na zewnątrz. A może chodziło raczej o fryzurę i farbowanie za sto dolarów oraz podkoszulek za siedemdziesiąt? Maxine robiła wrażenie osoby, która nie musi się liczyć z groszem.

Posterunek policji w Trenton mieści się przy ulicy North Clinton. To budynek z czerwonej cegły, brzydki i funkcjonalny. Parking znajduje się przy Brooklyn South. Mniej więcej pół hektara powierzchni wylanej kiepskim asfaltem i ogrodzonej siatką o wysokości trzech i pół metra. Podobno władze mają nadzieję, że w ten sposób zapobiegną kradzieżom policyjnych samochodów, ale nikt nie daje na to gwarancji.

Zatrzymałyśmy się na parkingu. Dwa samochody były zaparkowane na zapleczu budynku. Z jednego wysiadał Leo Glick. Spojrzał na nas. Jego oczy płonęły.

- Nie ma sensu znowu wszczynać awantury - odezwałam się słabym głosem. - Wprowadzimy Maxine przez drzwi frontowe, żeby nie musiała się spotykać z Leo.

Czasami, kiedy sąd akurat obraduje, zdarza mi się zaprowadzić

zatrzymanego bezpośrednio na salę, ale dziś był dzień wolny, więc odtransportowałam Maxine do odpowiedniego policjanta. Dałam mu dokumenty i przekazałam zatrzymaną.

- Mam dla ciebie wiadomość - oznajmił porucznik. - Morelli dzwonił jakieś pięć minut temu i zostawił ten numer. Chce, żebyś się do niego odezwała. Możesz skorzystać z telefonu w świetlicy.

Wykręciłam numer i czekałam, aż Morelli podejdzie.

- Skoro jesteś na posterunku, to pewnie przyprowadziłaś Maxine - odezwał się wreszcie.

- Zawsze dostaję to, czego chcę.

- To dość przerażające.

- Miałam na myśli sprawy zawodowe.

- Potrzebuję zeznania odnośnie do wydarzeń w tym domu. Gładko prześliznęłam się nad kwestią wejścia do mieszkania Kuntza i opowiedziałam resztę.

- Jak to możliwe, że znalazłeś mnie tak szybko? - spytałam na koniec.

- Znowu obserwowałem delikatesy. - Po drugiej stronie zapadła chwila ciszy. Słyszałam szmer rozmów w tle. - Kuntz współpracuje - odezwał się znowu Morelli. - Jest tak wściekły, że powie nam wszystko. Podobno Maxine pojechała na lotnisko.

- Tak. Złapałam ją na autostradzie.

- Była sama?

- Nie.

- No i...?

- Były z nią Margie i pani Nowicki.

- I...?

- I je wypuściłam. Nie miałam prawa ich aresztować.

I nie zależało mi na tym. Nie chciało mi się uwierzyć, żeby były zamieszane w fałszerstwo pieniędzy. Prawdę mówiąc, nie miałam ochoty oddawać Maxine w ręce policji. Podejrzewałam, że wymusiła pieniądze od Leo i zamierzała urządzić sobie godziwe życie. To straszne, naprawdę, ale w głębi serca chciałam, żeby się jej udało.

- Powinnaś mi od razu powiedzieć! Wiedziałaś, że chcę porozmawiać z matką Maxine.

Morelli był wściekły jak cholera. Mówił głosem policjanta.

- Coś jeszcze? - spytałam.

- Na razie to wszystko.

Pokazałam język słuchawce i rozłączyłam się. Czułam się bardzo dorosła.

Ojciec leżał rozwalony w fotelu i oglądał mecz. Babcia spała na siedząco, z głową na oparciu kanapy. Matka siedziała obok niej i robiła na drutach. Tak było co wieczór. Jakiś rytuał albo co. Nawet dom wydawał się drzemać w błogim zadowoleniu po umyciu naczyń.

Ja siedziałam na zewnątrz, na schodkach i pławiłam się w lenistwie. Mogłam zrobić coś wartościowego - na przykład pomyśleć o swoim życiu... albo o życiu matki Teresy... albo o życiu jako takim, ale jakoś nie miałam do tego serca,

Po oddaniu Maxine w ręce policji poszłam do swojego mieszkania i z zaskoczeniem przekonałam się, że remont wrze pełną parą. Odwiedziłam panią Karwatt i panią Delgado, a potem wróciłam do Morellego i spakowałam rzeczy. Zagrożenie minęło, więc dalsze pozostawanie w towarzystwie Morellego trąciło już stałym związkiem. Niestety, problem w tym, że nie można było mówić o związku między nami. Owszem, był wspaniały seks i pewien rodzaj uczucia, ale przyszłość wydawała się zbyt oddalona, by poczuć się bezpiecznie. A w dodatku Morelli doprowadzał mnie do szału. Umiał ze mną postępować tak, jakby miał jakąś instrukcję obsługi! Nie wspominając już o babci Belli. Oraz o plemnikach Morellego, przebijających się przez prezerwatywę. Powieka zaczęła mi drgać, więc przycisnęłam ją palcem. Widzicie? Tak właśnie wygląda wpływ Morellego. Tik w oku.

Lepiej będzie zamieszkać z rodzicami. Przetrwam te parę tygodni, potem wprowadzę się do odnowionego mieszkania i życie znowu wróci do normy. A wtedy pozbędę się tego cholernego tiku.

Dochodziła dziesiąta i ruch na ulicy zamarł. Powietrze było nieruchome i gęste. Temperatura spadała. Na niebie mrugało parę gwiazd, usiłujących się przebić przez gęsty smog nad Trenton. Niespecjalnie się im to udawało.

O parę ulic ode mnie ktoś grał w koszykówkę. Szumiały klimatyzatory, a w którymś ogródku ćwierkał samotny świerszcz.

Usłyszałam warkot motocykla i pomyślałam leniwie, że może znam kierowcę. Ten dźwięk sprawiał, że krew krążyła mi szybciej. Silny, ale nie prymitywny. Motocykl zbliżył się i w świetle latami ujrzałam jego sylwetkę. Ducati. Szybkość, zwinność i włoski urok. Idealny motocykl dla Morellego.

Morelli zatrzymał się przy krawężniku i zdjął kask. Miał na sobie dżinsy, wysokie buty i czarny podkoszulek. Wyglądał jak mężczyzna, którego trzeba się wystrzegać. Podeszedł do mnie.

- Ładna noc. W sam raz na wieczorne przechadzki. Nie wiem dlaczego, ale przypomniały mi się czasy, kiedy pojechałam na obóz skautowski, usiadłam zbyt blisko ognia i spaliłam sobie buty.

- Wydawało mi się, że będziesz ciekawa, czego się dowiedzieliśmy. To mnie poderwało z miejsca. Oczywiście, że byłam ciekawa!

- Ubaw, jakich mało. Jeszcze nie widziałem tylu ludzi naraz, którzy by tak się nawzajem pogrążali. Okazuje się, że Leo Glick ma kartotekę na kilometr. Wychowywał się w Detroit, pracował dla rodziny Anglo. Utrzymywał dyscyplinę. Dwadzieścia lat temu uznał, że robi się za stary do pracy fizycznej, więc został pomocnikiem drukarza, którego poznał w więzieniu. Joe Costa, rzeczony drukarz, miał parę bardzo dobrych matryc. Leo spędził z nim trzy lata na nauce zawodu, a pewnego dnia Costa umarł. Leo nie wie, jak to się mogło stać.

Przewróciłam oczami.

- Właśnie, ja też tak myślę. W każdym razie Leo i Betty wyjechali z Detroit i zamieszkali w Trenton, a po paru latach rozpoczęli działalność. Leo znał Nathana Russo z Detroit. Nathan był księgowym Anglo. Wszystko wyglądało nieźle. Nathan prowadził pralnię, Betty była łączniczką i przenosiła towar w czystym praniu. Bardzo higienicznie.

- Straszne.

Morelli wyszczerzył zęby.

- A Maxine? - spytałam.

- Maxine kochała Kuntza, ale to prawdziwy palant. Damski bokser. Maxine nie była pierwsza. Poza tym znieważał ją na inne sposoby. Powtarzał Maxine, że jest głupia. Pewnego dnia doszło do potwornej awantury i Maxine prysnęła samochodem Kuntza.

Kuntz uznał, że jej pokaże, więc wniósł sprawę i kazał ją aresztować. Maxine wyszła za kaucją, wściekła do nieprzytomności. Wróciła do Kuntza i udała, że nadal go kocha, choć tak naprawdę chciała mu tylko skopać tyłek. Kuntz zaczął się chwalić, jaki to z niego wielki gangster i jaki jest świetny w fałszowaniu pieniędzy. Maxine zaczęła go namawiać, żeby jej pokazał matryce, więc Eddie, który ma bardzo mały rozumek, wykorzystał chwilę, gdy Leo i Betty poszli do sklepu, i przyniósł matryce, księgę rachunkową i worek pełen dwudziestek. Wtedy Maxine go przeleciała, wysłała go pod prysznic, żeby się przygotował na drugi akt, i zmyła się z całym majątkiem.

- Maxine jest boska.

- Aha. Maxine jest tak boska, że nawet nie masz pojęcia. Na początku to miała być tylko zemsta. Wiesz, żeby Kuntz poznał smak strachu. Wysłała go na poszukiwanie skarbu, które prowadziło do wszystkich diabłów. Ale w końcu Leo się zorientował i zaczął się o nią dowiadywać. W stylu Detroit. Przepytał Margie i matkę Maxine i okazało się, że o niczym nie mają pojęcia.

- Choć bardzo je zachęcał do szczerości.

- Właśnie. Leo nie zna się na psychologii. Nie wie, że nie wytoczy krwi z kamienia. No, a kiedy Maxine się dowiedziała o obciętych palcu koleżanki i oskalpowaniu matki, dostała amoku z wściekłości i postanowiła, że je także dopuści do zysków. Przeczytała całą księgę rachunkową, więc wiedziała, że głównym sprawcą jest Leo. Zadzwoiła do niego i przedstawiła mu swoje warunki. Milion w prawdziwych banknotach za matryce i księgę rachunkową.

- Czy Leo miał tyle pieniędzy?

- Chyba tak. Oczywiście Maxine temu zaprzecza.

- Gdzie się podział ten milion?

Morelli miał taką minę, jakby ta część opowiadania podobała mu się najbardziej.

- Nikt tego nie wie. Uważam, że gdzieś w kraju. Może Maxine zostanie oskarżona tylko o kradzież samochodu. Właściwie nie istnieje żaden dowód na to wymuszenie.

- A porwanie Eddiego Kuntza?

- Kuntz nie wniósł oskarżenia. Myślę, że gdybyś miała na tyłku wytatuowane „Fiucik jak ołówek”, pewnie nie chciałabyś tego wyjawiać ogółowi. Poza tym większość tych tatuaży z czasem zejdzie. Kiedy Maxine porwała Eddiego, zamknęła go w pokoju z butelką dzinu. Kuntz zalał się w trupa, a kiedy odzyskał przytomność, był już królem tatuażu.

Spojrzałam na motocykl Morellego i pomyślałam, że byłoby fajnie, gdybym taki miała. Wtedy to ja byłabym boska.

Morelli trącił mnie kolanem.

- Chcesz się przejechać?

No pewnie, chciałam. Omal nie umarłam, taką miałam ochotę objąć nogami te sto dziewięć koni mechanicznych i dać im solidnego kopa.

- A będę mogła prowadzić?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo to mój motocykl.

- Gdybym ja taki miała, pozwoliłabym ci prowadzić.

- Gdybyś go miała, nie odezwałabyś się do takiego pierwotniaka jak ja.

- Pamiętasz, jak miałam sześć lat, a ty osiem i namówiłeś mnie, żeby się bawić w pociąg w garażu twojego ojca?

Morelli zmrużył oczy.

- Co, znowu będziemy to przerabiać?

- Nigdy nie byłam pociągiem. Zawsze tunelem. To ty byłeś pociągiem!

- Bo miałem lepsze warunki.

- Jesteś mi coś winien.

- Miałem osiem lat!

- A wtedy, jak miałam szesnaście lat, a ty mnie uwiodłeś za gablotą z ekierkami?

- No to co?

- Zawsze byłam na dole, nigdy na górze.

- To coś zupełnie innego.

- Wcale nie!

- Jezu! - powiedział Morelli. - Wsiadaj na ten motocykl.

- Będę prowadzić, tak?

- Tak, będziesz prowadzić.

Przesunęłam dłonią po motocyklu. Był smukły, gładki i czerwony.

Morelli miał zapasowy hełm przy siodełku. Odpiął go i podał mi.

- Szkoda tłamsić te śliczne loczki.

- Za późno na pochlebstwa.

Prawdę mówiąc, minęło sporo czasu, odkąd ostatnio jeździłam na motocyklu. Usadowiłam się i przyjrzałam się oprzyrządowaniu. Morelli usiadł za mną.

- Chyba umiesz tym jeździć, co? Zastartowałam silnik.

- Jasne.

- I masz prawo jazdy?

- Zrobiłam jeszcze wtedy, kiedy byłam żoną Dickiego. Jest aktualne.

Morelli objął mnie w talii.

- Teraz będziemy kwita.

- Niezupełnie.

- Zupełnie. Zobaczysz. Ta jazda będzie taka fajna, że pod koniec to ty będziesz mi coś winna.

O mamusiu!